

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nr 43 (100)

Rok III

Kraków, dnia 27 października 1946 r.

JÓZEF SIERADZKI

„Za prawdę muszę być gotów oddać życie”...



Ignacy Fik

WYZNANIA

„Mój osobisty światopogląd, moje zasady moralne i usposobienie, moje możliwości, ideały i ambicje życiowe, mój rodowód społeczny (dziadek-chłop, ojciec-proletariusz), moje wreszcie szczęście osobiste — wiążą mnie nierozłącznie z atmosferą, w której rodzą się idee demokratyczne”.

Intymne wyznania Ignacego Fika w ankiecie rozpisanej przez redakcję „Sygnałów”, wyjaśniały równie przedmiotowo jak uczciwie — „dlaczego jestem demokratą?”. Lektura wszystkich jego wierszy, essayów i prac potwierdza podobieństwo Ignacego Fika z duchowym portretem, który sam nakreślił, niby miniaturę: rzeczowo, ściśle, nieomal oschle, a jednak z żarem prawdy w każdym słowie. I z konsekwencją dialektyka, który sam siebie czynił przedmiotem poznawczej teorii, stosowanej do świata, obiektem wciąż poszukującej świadomości.

„Pragnę życia, które by w każdym epizodzie było zgodne z moimi przekonaniem rozumowymi, które by nie zadawało gwałtu moim uczuciom, a woli pozwoliło uczestniczyć w zbiorowych działaniach swobodnie i odpowiedzialnie. Tego samego chcę dla wszystkich innych ludzi” („Sygnały”, 1938).

Mało komu dane jest tak o sobie pisać, przedstawić kartę zapewnioną jednym charakterem wiary i równą linią życia.

BIO- I BIBLIOGRAFIA

Ignacy Fik miałby dziś 42 lata. Jego umysł kształtował się, a samowiedza wzrosła w okresie międzywojennym. Wstępował weń jako chłopiec, wyszedł jako człowiek dojrzały i twórczy pracownik kultury. W jednym z notatników zestawiał „wypadki z życia”: 1910 szkoła powszechna, 1911 śmierć ojca, 1914 wojna, 1915 gimnazjum w Wadowicach, 1920 służba ochotnicza, Kraków, 1923 drużyna harcerska, matura, uniwersytet w Krakowie, studia filozoficzne, 1925 „Życie”. Pracował w prowincjonalnych gimnazjach: „1927: Borszczów”, „1928: posada w Pińczowie”, „1930: Brzeżany”, „1931: posada w Oświęcimiu”, „1938: Mysłowice”. To było ostatnie, przed wrześniem 1939 roku, miejsce pracy zawodowej — choć talentem, wiedzą i rozległością horyzontów usuwał w cień niejednego wybrańca na uniwersyteckiej katedrze. 1932 „znajomość z Kicią” — Heleną Moskwianką, 1936 małżeństwo, 1937 narodziny Marty. — Chłopak z Przeciszowa w Wadowickim miał już za sobą „Uwagi nad językiem C. Norwida” (1930), trzy tomiki poezji „Kłamstwa lustra”, 1931, „Przemia-

ny”, 1932, „Plakaty na murze”, 1936), w rękopisie „Przygodę własną Andrzeja”, nie drukowaną dotąd powieść „prowincjonalną” (1933). W latach 1938—1939 ogłosił traktat polityczny „O żywą treść demokracji” i syntezę historii nowej i najnowszej literatury polskiej („Rodowód społeczny literatury polskiej” i „Dwadzieścia lat literatury polskiej (1918—1938)”. Ponadto na dorobek pisarza składało się wiele wierszy rozsypanych po czasopiśmie, sto kilkadziesiąt essayów i dużo recenzji. Był współpracownikiem dwudziestu kilku pism, w tym „Naszego Wyrazu”, „Sygnałów”, „Okolicy poetów”, „Kameny”, „Albo-Albo”, „Orki na Ugorze”, „Gazety Artystów”, „Tygodnika Artystów”, „Miesięcznika Literatury i Sztuki”.

Niektóre jego wystąpienia skupiały na sobie ogólną uwagę i dawały impuls do rozległych dyskusji: „Literatura Choromaniaków”, „Poezjo precz! jesteś tyranem!”, „Racje racjonalizmu”, „Awangarda i awangardziści”, „Grzech anielstwa”, „Światopogląd recenzencki”. „Dziesięć lat literackich” — nazwał w swoim pedantycznie prowadzonym notatniku okres życia od 1930 do 1939.

Pozostały i rzeczy nie drukowane, głównie późniejsze: zeszyt poezji zatytułowany „Przymierze”, nowele „Mimo wyobraźni” (1941), „Dobranoc” — „powieśnotatka”, „Pomyśły”, „Notatki o sztuce”, grube zeszyty z zapiskami, streszczeniami, cytatai z lektury, raptularze i kroniki w kalendarzach, w których uderza rozległość zainteresowań, systematyczność w pracy i benedyktyńska wytrwałość.

Notował wszystko: sprawy szkolne, lekturę, życie artystyczno-społeczne, ważniejsze wydarzenia i drobne, drobiazgowo nieraz szczegóły np.:

1939, kwiecień: „silne nastroje wojenne”, „zajęcie Albanii przez Włochy”, „mowa Hitlera — żądanie Gdańska i korytarza”, „samobójstwo Sławka”, „utworzenie Stronnictwa



Ignacy Fik

Demokr., rozmowa z Mietkiem” (Lewińskim), „zabawa gimnazjalna”, „wizyta Lewińskich, zabawki dla Tusi”, „kupuję płaszcz wiosenny”.



Helena Moskwianka w obozie oświęcimskim

Pedagog, poeta, krytyk, historyk literatury, działacz społeczny i oświatowiec, w ciągu krótkiego życia odbywał nieustanną drogę wzwyż, nie po stopniach kariery, albowiem nie wzra-

stał w przytulnym cieniu protekcji lub zacisznych gabinetach nauki, dobrze opierzonej, pewnej wpływów i dającej pewność kariery. Syn proletariackiej rodziny, nie odstąpił się od środowiska i wraz z sobą podnosił je ku światłu upartą pracą i osobistą zasługą.

Był realistą z urodzenia, życia i wyznania teoretycznej wiary.

POETA

Jako poeta nie miał Fik warunków do zajęcia wybitniejszego miejsca, z przyczyny niedostatku wyobraźni. Natomiast miał jej aż nadto dla uprawiania publicystyki i krytyki literackiej. Toteż, choć pozostawił i dobre wiersze (np. „Rzym”) — nie one stanowią o wartości jego dzieła, Wyraźny jest w nich pociąg do tematyki społecznej, w czym nie przestaje być wierny swojej idei.

Każdym pomysłem przyspieszyć próbuję czas świtu

(„Poeta”, 1934)

Poeta jak kret się wgrzyzie w trotuar, skwer, suteryny, krew się doszuka prawdziwej, wąwóz dokopie do serca: do serca do tego serca, co ziemię, co nową ziemię — ożywi.

(„Poezja”, 1936)

„Za najważniejsze dla poety uważam troskę o rozbudowę warstwy światopoglądowo-uczuciowej. Decydujący jest kontakt z życiem, intelektualny wysiłek zrozumienia sensu rzeczywistości ludzkiej, a wreszcie czynna postawa w tworzeniu nowych wartości życia” — („Jak powstaje wiersz”).

W wartościowaniu socjalnym upatrywał źródło dla klasyfikacji twórców: „na awangardę i epigonów”. Sam liczył się do awangardy i był jednym z wiernych uczniów Peipera. W walce o formę nie umiał po-



Ignacy Fik

konać nadmiaru metafory, — socjalna treść stanowiła dlań nie podlegającą dyskusji warunek twórczości i niemal wyłączny temat.

Dwadzieścia lat moich się spięło w mych ramion twarde muskuły, każda, jak żyła, potrzebna, jak ścięgno, czy włókno, One robią mi ręce zrzęczne, nieustające i czule — jak na zdobytych ratuszu wiejące czerwone sukno!

(„Drukarnia marzeń”, 1934)

Liryczną diatrybę „Do kobiet” zakończył też programową zapowiedzią: Lecz rośnie świat nowy w waszych sercach, żenicach i biodrach, czekał nie będzie swych dziewięć miesięcy, powietrze drzy cicho jak tętno i odra: akuszer czerwony u stóp naszych kłęczycy

(1937)

Mocna wiara i decyzja powzięta przez rozum i serce oddzieliły u niego dzień wczorajszy od jutra, o które re walczyli nieustępliwie:

Pomnóż smugi tych błysków przez wiarę upartą spróbuj: najlepiej stłysz dłoń położoną na sercu. („Dłoń na sercu”, 1938).

Racjonalista i człowiek sentymentalny, szukał rozstrzygnięć dyktowanych uczuciem i rozumem.

KRYTYK

„W stosunku do rzeczywistości jestem marksista. W ujmowaniu życia kieruję się metodą dialektyki”. W krytykach, essayach i recenzjach, w publicystyczno-literackich artykułach dla rewizji poglądów na literaturę i jej nowy obraz w świetle nowej teorii. Dwa tomiki Ignacego Fika, o rodowodzie społecznym literatury polskiej i jej dwudziestu latach po wojnie światowej, stanowią najważniejszy do dziś dorobek historyczno-literackiego piśmiennictwa szkoły materializmu dziejowego w Polsce.

Niestety, nie są one dość znane, a żadna firma wydawnicza nie wznowiła ich dotąd. Małe nakłady przedwojenne i konfiskata drugiego tomu (zarządzona co prawda pod koniec rozprzedaży) sprawiły, że książki Fika są dziś rzadkością bibliograficzną.

Fik, najwybitniejszy krytyk marksistowski i jeden z najwybitniejszych krytyków w Polsce w latach czterdziestych, poszedł w zapomnienie. Rzadko pojawia się jego nazwisko, podobnie jak nazwisko Mieczysława Lewińskiego, i to nie inaczej niż jako głucha reminiscencja, dekoratywny szczegół w artykule. Tymczasem Ignacy Fik i Mieczysław Lewiński są ozdobą polskiego intelektualizmu,

Z TEKI „WARSZAWA” T. KULISIEWICZĄ



Kościół garnizonowy na ul. Długiej (Warszawa, 1945)

szczytowymi pozycjami intelektualistycznej lewicy.

Niedawno w prasie literackiej toczyła się dyskusja na temat realizmu i, rzecz dziwna, zabrakło w niej głosu tych, którzy napisali pierwszy rozdział nowej teorii literackiej.

Kto jeden z pierwszych w krytyce naszej stawiał postulat aktywnego stosunku do współczesnej rzeczywistości cywilizacyjnej i społecznej? Popierał — przeciw passeistom — wynalazczą budowę artystyczną? Walczył o moralny, odpowiedzialny stosunek do twórczości? Zwalczał manierę mieszczańską. Nie oszczędzał nawet Boya, „szarej eminencji kultury mieszczańskiej” i piewcy ułatwionego życia. U Zegadłowicza potępiał ekshibicjonizm i egzaltację sentymentu. Bił, jak taranem, w wyznawców witalizmu, w piewców nonsensu i paradoksu, szerzycieli „bezmysłnej afirmacji, biernego potakiwania, bezkrytycznego pozytywizmu, tchórzliwego zgadzania się na wszystko”. („Literatura Choromaniaków”). Zdzierał siódmą skórę z grzebiących w piwnicach podświadomości i latających w stratosferze metafizyki. Nie mających poczucia odpowiedzialności społecznej traktował z dezaprobatą człowieka o świeżej, młodej i bezkompromisowej wrażliwości etycznej.

„Naprawdę nową, awangardową literaturę można poznać po jednym: stoi ona frontem do rzeczywistości społecznej i ma ambicję i siłę, by ją kształtować według jasno uświadomionych przez siebie celów”. Jakich?

„Jestem głęboko przekonany, że najistotniejszą rzeczywistością ludzką jest zawartość ideowo-społeczna danej epoki. I najsłabszym, a z drugiej strony i najtrudniejszym zadaniem jest dać jej wyraz artystyczny” („W sprawie autentyczności”).

Ale jaki?

Na to pytanie dziś jeszcze nie ma odpowiedzi. Nie dała jej dyskusja o realizmie, nie dali realności radziecy. „Jeżeli ktoś wam powie, że wie dobrze, co to jest realizm, powiedzcie mu, niech powie” — słyszeliśmy w bieżącym roku w Krakowie od redaktora miesięcznika „Oktabr”. Ale Fik przedzierał się do prawdy usilnie i nie bez wyników:

„Idea kierownicza sztuki nie jest wierność wobec irracjonalnego, zastygłego świata, ale wierność wobec tworzącego człowieka. Mimo wszelkich pozorów istota sztuki nie jest irracjonalizm i uniwersalizm kosmiczny. Przez sam fakt bowiem odtwarzania i określania procesów, które uchodzą dotychczas za irracjonalne, uświadomienie tego, co dotąd było nieświadome, sztuka przetrabia neutralny chaos w kształt ludzkich odczuć, humanizuje go i personifikuje w najszerszym tego słowa znaczeniu. Prześwietlił rzeczywistość elementem ludzkim, przedreformował ją rewelacją człowieka, przebudował na obraz i podobieństwo nasze — oto sztuka, której musi dokonać: sztuka. W ostatnich więc instancjach i sztuka jest racjonalistyczna” („Rzeczywistość sztuki”, „Sygnały”, 1937).

Deformacja obiektywnego świata — poznawanego i poznawalnego — sprowadzenie go do porządkującej zasady przez poznającego człowieka, — jest istotą zarówno nauki jak sztuki. Nie jest więc realizm szkołą fotografii ani produkcją dagerotypów. Wyznawany przez nas kierunek nie tylko nie odrzuca poszukiwań prawdy, ukrytej w wielości rzeczy, lecz głosi jej potrzebę i uprawia żarliwie kwerendę tej prawdy w, poza i ponad detalami przyrody i życia, w, poza i ponad szczegółami jednostkowych faktów, zbiorowych wydarzeń i szeregów wszelkich zjawisk w naturze i ludzkiej społeczności.

„Realizm wysuwa postulat nie samego odtwarzania rzeczywistości, lecz porządkowania jej przez sztukę i przez upraszczanie, selekcję określonych fragmentów itp., z tym jednak założeniem, że zmiany te nie powinny w niczym naruszać przyrodzonej, obiektywnej natury, ale mają jedynie ułatwić nam uświadomienie sobie czy przeżywanie jej istoty”. („O metaforze”, „Pion”, 1938).

Tak myślimy dziś i tak myślał Ignacy Fik. I walcząc z nieporozumieniami żądał szerokiego pola dla

psychologizmu, uznawał symbolikę, uprawiał metaforę, „skrót opisu przez porównanie”, walczył o miejsce dla fantastyki.

Sama w sobie nie jest ona ani dobra ani zła, ani fałszywa ani prawdziwa. „Fantastyka może fałszować świat, ale może go także wyrażać, może degradować życie, ale kiedy indziej nadawać mu pełny i żywy sens”. („Fantastyka we współczesnej literaturze polskiej”, „Nasz Wyraz”, 1937).

Instrumentacja poety i pisarza jest bogata i różnorodna i nie może zrezygnować z elementu wyobraźni, z niczego, co prowadzi do prawdy.

„Chcę jeszcze inaczej ujrzyć świat, podwoić rzeczywistość.

— Czesz wiernej, autentycznej prawdy!

— Nie wiem, co to jest absolutna prawda. Prawda sztuki nie jest rzeczywistością przyrodniczą czy matematyczną. Jest interpretacją, wartością, czynnikiem selekcji. **Prawda jest moją własną budową**. („Moralność i sztuka”, „Sygnały”, 1939).

Temperatura rozważań jest wysoka, a pasja poszukiwacza tajemnicy, głębokie pragnienie jej odkrycia bije z każdego słowa:

„Za prawdę muszę być gotów oddać życie, bo ona jest jego rdzeniem i sensem”.

W imaginowanym dialogu o moralności i sztuce, pisany w styczniu 1939 roku, pojawiał się ton biłjny. Przygotowanie do czynu i ofiary. Kilka lat później oddał życie w katowni hitlerowskiej na Montelupich, czy może w lesie pod Niepołomicami. Patos życia i śmierci był równie wielki.

HISTORYK LITERATURY

Niedoceniony krytyk jest także zapomnianym historykiem literatury. Zapewne. Dlatego, że jego rodowód — „Rodowód społeczny literatury polskiej” — polega na „doktrynie” o walce klas, na założeniu, że „właściwym motorem całej dynamiki społeczno-kulturalnej jest walka klas i wszystkie wytwory literatury mają przede wszystkim znamię twórczości klasowej”.

Teza Ignacego Fika opiewała: „Literatura narodowa jest niczym innym jak uogólnionym terminem na oznaczenie sumy literatur klasowych, a literatura powszechna zbiorem indywidualnych, tak pojętych literatur narodowych”.

Łatwo zrozumieć larum w „przybytkach nauki”, uświęconych pomazaniem, u dostojnych kapłanów narodowej kultury i ministrantów jej znicza. Tym więcej, że nie zabrakło u Fika uproszczeń i potknięć. Ale krytyka uznała w książce wiele bystrych sądów, kierunek rewizji za uzasadniony oraz niektóre tezy nawet za niesporne.

„Dwadzieścia lat literatury polskiej”, dalszy ciąg syntezy, nad którą usilnie pracował, jest nieocenionym przewodnikiem po kierunkach, szkołach i teoriach, od manifestacji mieszczańskiej ideologii kulturalnej do humanizmu społecznego, ideologii Ignacego Fika. Jest pouczającą wędrówką po wątkach i związkach, zagadnieniach i tematach, ujętych w karby ścisłej metody i zdeterminowanej społecznie myśli.

Obraz piśmiennictwa polskiego, w socjologicznym ujęciu historii kultury polskiej, wnął najpoważniejsze zmiany do podziału na okresy, zmiany, które mają wiele szans utrzymania się i utrwalenia. Tak oto nie rok odzyskania niepodległości po plerwszej wojnie światowej jest terminem narodzin nowej literatury, lecz rok 1905. Odzyskanie własnego państwa, „wywróciło parawany z malowanych frazesów patriotycznych, których zadaniem było mylić pozorem jedności narodowej rzeczywistością sytuację społeczną”. Przełomowy był rok 1905. Wtedy nastąpiło „ideowe przegrupowanie hierarchii klas społecznych, wywołane politycznym wystąpieniem chłopów i robotników”.

Początki nowej formacji społeczno-politycznej i narodziny nowej ludowej kultury wiążą się z sobą i chronologicznie i rzeczowo. Na ten sam czas przypada właściwy kres rozkwitu Młodej Polski.

Co poczną z takimi poglądami wychowankowie katedr w Krakowie, Warszawie i Poznaniu? „Idealistom” sży — i idą od tego ciarki po skórze, starostwo krakowskie skonfiskowało książkę, polcja zabierała egzemplarze z kiosków i księgarń. „Warszaw-

ski Dziennik Narodowy” zaliczył Fika od razu do Żydów. Już nieco przed tym Józef Łobodowski w „Kurierze Porannym” ukracał „materialistyczną ofensywę” i wyrzucił redakcji „Pionu” zbyteczny liberalizm w publikowaniu poglądów Fika, a Jerzy Zagórski przymawiał mu z dziwnym niedostatkiem katolickiej miłości bliźniego („gente Marx, natione mniejsza z tym”).

Tak było wtedy. Ale dlaczego dziś nie dano dotąd czytelnikom, świetlicom, nauczycielom zarysu historii literatury najnowszej Ignacego Fika? Może na małych tomikach ciąży wciąż jeszcze wspomnienie starościńskiej konfiskaty?

Trzeba to wydać natychmiast i przywrócić literaturze pozycję wypracowaną ciężkim trudem jednego pięknego życia. Tak samo należy zebrać i wydać artykuły i prace Fika, rozrzucone po czasopiśmie i nieodstępnie w książce, a pełne erudycji, wiedzy, rozumu, myśli i niesłabnącej aktualności. Żeby wymienić dla przykładu jeden tylko, perłę krytyczno-literackiej twórczości — „Krytycy zarejestrowani”. Trzeba zająć do rękopisów i zeszytów, które po nim pozostały.

CZYN

Obszerny nawet artykuł czy praca nie starczy za monografię o Ignacym Fiku, gdyż działalność jego była zbyt bujna i wielostronna. W szkicu jest ledwo miejsce na wzmiankę o politycznej rozprawie pt. „O żywą treść demokracji” (1938). Były w niej myśli trafne i myśli błędne. Były to kroki człowieka, szukającego drogi, gdy na świecie ciemniało już na dobre. Ale u Ignacego Fika nie było krzyki katastrofizmu, upadku wiary i pesymizmu. Humanista nie od parady i klasycyzmu czy klasycystycznego stroju, lecz z poglądu zdobytego móżolem, powagą i odwagą, był Ignacy Fik przygotowany na czas burzy.

JULIAN PRZYBOS

Zanim odpowiem na to pytanie, muszę się podzielić z czytelnikami zasadniczą wątpliwością. Nie wiem, doprawdy nie wiem, czy mam się uważać za pisarza. No tak, jestem członkiem Związku Zawodowego Literatów, pracuję w redakcji, ale czy jestem tym, kogo nazywają pisarzem, który pisze, kto lubi pisać. Wydaje się przecież naturalne, że pisarz to ktoś, kto pisze dużo i łatwo. Nie jestem takim pisarzem. Pisanie przychodzi mi bardzo trudno, piszę mało. Nawet wyznam, że staram się pisać jak najmniej, choć co prawda tak, aby w tym najmniej zawrzeć jak najwięcej: staram się pisać jak najwięcej.

Piszę więc, ale nie piszę ciągle i nie piszę systematycznie, nie mam jak w biurze, wyznaczonych godzin pracy i niekiedy zdaje się, że mógłbym i przez całe miesiące nie wziąć pióra do ręki. Mogłbym nie pisać tj. nie zapisywać poezji, które ciągle, stale, ustawicznie hoduję w sobie i bez których życie straciłoby dla mnie sens. Może więc nie jestem pisarzem, jeśli za pisarza uważa się kogoś, kto musi się uzewnętrzniać w pisaniu, ale jestem człowiekiem, który musi marzyć twórczo. Z od dawna, od wczesnych lat młodzieńczości nie miałem w swoim życiu takiego dnia, w którym opuściłoby mnie marzenie kształtujące się w wiersz. Ten wiersz może nie zostać napisany — ileż marzeń poetyckich ginie! — ale bez tego poczucia dojrzywania we mnie pomysłu poetyckiego — czułbym się bardzo nieszczęśliwy. Życie straciłoby dla mnie urok, byłbym smutny na śmierć.

Norwid powiedział, że poetą się bywa, a nie jest, tzn., że człowiek tworzący poematy nie zawsze ma dyspozycję poetycką, że stan poetycki jest stanem rzadkim i tylko od czasu do czasu nawiedza tych, których uważamy za poetów. Zdarzają się długie okresy jałowości i nudy, kiedy poeta przestaje być poetą, tj. tworzącym poezje, a staje się nim znowu wtedy, kiedy przyplwy twórczy pobudzi go do pisania. Tak więc — według Norwida — bywa się tylko od czasu do czasu poetą. Baudelaire w poemacie o Albatrosie uymbolizował tę dwoistość życia

W zapiskach jego trudno wyluskać coś o pracy konspiracyjnej, ukrywał to bowiem nawet w pisanych dla siebie notatkach. Choć tu i ówdzie znajdzie się jakiś szfyr, zagadkowy skrót, np.: „U Topolnickich” (koniec grudnia 1939), „Pela” (tj. Lewińska) — i niewyraźne znaki pisarskie. Pod 21 grudnia zapiska: „Sylwester u Wielowiejskich”. Było to na Kujawskiej pod jedenastym, gdzie w dwa lata później nastąpiło aresztowanie.

Ten sylwestrowy wieczór ma swoją historię. Co prawda nie u Heleny Wielowiejskiej, lecz u Mieczysława Lewińskiego, w jego mieszkaniu, przy ul. Mazowieckiej pod 64, odbyło się posiedzenie „piątki”: Lewiński, jego żona Pelagia (Barbara), Fik, jego żona Helena (Moskwianka, autorka nowel śląskich), Tadeusz Pilc. Przedmiotem narady była akcja przeciwko okupantowi, wynikiem pismo „R”. Jedną z najpierwszych odruchów myśli o wyzwoleniu, w chwili gdy faszyzm rozpoczynał swój zwycięski marsz po Europie, a humaniści o dawnej genealogii i uznanych tradycjach zaczęli serię hańbiących i haniebnych kapitulacji.

Już wtedy powstała komórka „Polski Ludowej” mająca kontakty z ZNMS, grupą po dawnej KPP, lewicą ZNP, wiciarzy, ludowców i socjalistów. Nawiązano łączność z robotnikami krakowskimi. Latem 1940 uzyskano przez Barbarę kontakt z warszawską grupą akademicką za pośrednictwem Hanny Sawickiej. W tymże roku wydano odezwę, w której znalazła się uderzająca trafnością sądu diagnoza polityczna i program walki i zapowiedź:

„Powstanie Republika Polska, oparta we współdziałaniu ze sąsiadującymi z nią republikami słowiańskimi znajdzie możliwość swej budowy społecznej i kulturalnej”. Rok 1940!

ANI Ignacy Fik, ani jego żona, ani Mieczysław Lewiński, ani Pilc nie do-

czekałi Republiki. Fik został aresztowany 26 października 1942, tegoż dnia Lewiński. Obaj osadzeni wprzód na Pomorskiej. Strasznie bici. Lewiński, skatowany, zginął od razu, Fik przewieziony został do więzienia na Montelupich. W dwa dni po jego areszcie zabrano Helenę. Był od niej grzys z Oświęcimia, z obozu do pięcioletniej córeczki: „Moje Ty Sreberko i Złotko pamiętaj, że Mamusia kocha Cię tak ogromnie i tak czeka na chwilę, kiedy zobaczy nareszcie swoją Dziewczynkę. Nic się o mnie nie martwcie, tylko bądźcie wszyscy zdrowi i dzielnie dajcie sobie razem radę. Mamusia myśli, że przeczekamy wszyscy tę niedobrą przygodę dzielnie i tym więcej będziemy się wszyscy sobą cieszyli”.

Nadzieja była płonna. 28 listopada widziano Ignacego Fika na Montelupich, na korytarzu, w białiznie. Prawdopodobnie w tym dniu zginął rozstrzelany. Helena zapadła na tyfus i uległa recydywie, w czerwcu 1943 roku.

Znałem dwu ludzi, wybitnych i wytrawnych filologów, którzy w więzieniu, przed podróżą „w nieznane”, do komór bełdeckich, prowadzili długie dialogi o nieśmiertelności duszy. Kształcili się na Platonie i byli idealistami wysokiej miary.

Ignacy Fik był materialistą i nosił „mundur marksisty”. Jego męczeństwo nie ustępuje w niczym cierpieniom krzyżowanych za wiarę i zbawienie człowieka.

„Za prawdę muszę być gotów oddać życie, bo ona jest jego rdzeniem i sensem”.

Słowo Ignacego Fika stało się ciałem. A między nami mieszka legenda o życiu i prawdzie, potwierdzonej śmiercią.

Fantastyka zaczerpnięta została z rzeczywistości.

Rzeczywistość ukształtowała myśl człowieka, który posiadał świadomość, a przez nią się do walki.

Józef Sieradzki

Moje początki

poety, który — gdy go pochwyli codzienność — staje się śmieszny, żalony i niezgrabny. Tylko w prelektorach poezji wygląda wspaniale.

Przytoczyłem tu niebacznie sądy dwóch poetów i nie wiem teraz, jak się skromnie schował w myślą dziurę, gdy muszę im na podstawie własnego doświadczenia zaprzeczyć. Od czasu, gdy odczułem, czym jest poezja — a nigdy tego nie wie się na pewno, za każdym razem na nowo się ją odkrywa — czuję się tak szczęśliwy, że marzenie poetyckie towarzyszy mi zawsze, ciągle i stale. Nie przypominam sobie takiego okresu w życiu, żeby się w nim nie nosił z nowym, jeszcze nie napisanym wierszem. Takiego wiersza, który dopiero dojrzewa w marzeniu, mogę nigdy nie pisać, ale ustawicznie mam świadomość, że jest do napisania, że noszę go w głowie czy w sercu. I ta świadomość jest mi nieodzowna do dobrego samopoczucia — powiem więcej — do życia i dlatego — mimo wielu nieszczęść, które we mnie były — uważam się za człowieka szczęśliwego. Nawet w najcięższych okolicznościach życia, na wojnie i w więzieniu nie opuszczała mnie zdolność marzenia twórczego, nawet w nędzy i bezdomności czułem — że tak ozdobnie powiem — gwiazdy nad głową. A nie są te gwiazdy łatwo pochwytnie i niemało trudu trzeba, by je ściągnąć na ziemię.

Jak się więc to stało, że zacząłem pisać wiersze? Stało się tak dawno, w dzieciństwie, że nie potrafię już tego wyjaśnić. Miałem chyba 8, może 9 lat, gdy zacząłem składać rymowane zdania. Robiłem to wzorując się zrazu na śpiewkach wiejskich, potem na czytanych w szkole wierszach. Z pewnością miałem przy tym jakieś dziecinne wzruszenia, wśród których górowała radość, gdy udało mi się znaleźć rym i dopasować nim dwa potrzebne mi słowa, ale częściej zamiast tej radości doświadczałem niewoli rymowania: szukałem rymów a nie treści. I zapewne ta dziecinna radość z doborania słów do rymu była na początku najpierwszych wierszy. Układałem je zwłaszcza wtedy, gdy mi dolegała samotność w czasie pasienia krów. By-

łem dzieckiem chłopskim, dzieliłem los tych „esclaves des bêtes” jak jakiś Francuz nazwał polskich pastuszków. Owszem, prócz uczucia zabawnej igraszki, towarzyszyły mi w tej mojej pastuszej poezji dziecięcej marzenia o tym, aby być sławnym, aby być w przyszłości poetą, który wszystkich zachwyca, ale wciąż jeszcze byłem przekonany, że cała sztuka na tym polega, żeby nie mieć kłopotów z rymem, żeby mówić wierszami tak jak się mówi zwykłą potoczną mową.

Wyjazd do miasta, do gimnazjum, spowodował w moim świecie pastucha wiejskiego tak gruntowną przemianę, że na pewien czas zapomniałem o wierszach, a potem dawne rymowanki śmieszyły mnie tylko i bardzo się ich wstydzilem. Osiem lat dawnego gimnazjum klasycznego to dla mnie jeden wciąż dalszy ciąg lektury samowolnej i niekontrolowanej przez nikogo. Czarodziejski świat książek nie kończył się na żadnym tomie, rozszerzał swoje granice z każdą nowo pochloniętą powieścią i poematem. Nauka szkolna nie sprawiała mi trudności, byłem uczniem celującym, na „przygotowanie się” do lekcji poświęcałem chwile — tak, że cały wolny czas przemieniałem w grę wyobraźni i poruszenia serca — pobudzonego przez lekturę. Czytałem zrazu bez wyboru, brałem się do dzieł poważnych i wcześniej poznałem „Dziady” niż bajki Grimma. Na wsi byłem pozbawiony tych wszystkich baśni, które urabiają fantazję dzieci w mieście. Nie kupowano mi książek na gwiazdkę, nie zaznałem tej radości dzieciństwa. Klasyczną literaturę dla dzieci poznałem z późno i uznałem za nieciekawą. Wolałem w trzeciej klasie „Słowo o pułku Igora” niż Karola Maya.

„Pan Tadeusz” i „Dziady” wprawiły mnie w zachwyt i obudziły chęć naśladowania, od tego czasu — pewnie miałem wtedy trzynaście lat — układałem już wiersze według reguł wersyfikacyjnych i ta namiętność poezjowania raz tylko jeszcze dozna w szkole zahamowania na chwilę, by potem towarzyszyć mi już na stałe we wszystkich kolejach losu. Przyszły pierwsze zachodania i pierwsze ołnienia wschodami i zachoda-

WACŁAW KUBACKI

Wczasy literackie

ml, pierwsze zachwyty nad niedostrzeżoną przedtem na wsi przyrodą — i zeszyty wierszy grubiałe z miesiącami i latami. Rymowałem wtedy sporo i próbowałem — wedle przepisów szkolnej poetyki i stylistyki — wszystkich gatunków i rodzajów: kropilem sążnisty — i na szczęście nigdy nie skończony — epos o „Jnie jakiegoś plemienia słowiańskiego z najeżdżąca germańskim (pamiętam nawet tytuł tej roboty „Krzysztof”)”, układałem pieśni, elegie, ronda, triolety, no i oczywiście sonety. Sądzę, że każdy pisarz ma za sobą wiele papieru zapisanego w szkolnej młodości takimi ćwiczeniami. Wielu mogłoby zebranymi tzw. „grafomaniami” wypełnić kosze. Ja miałem brulionów swojego chłopięctwa poetyckiego niemało, ale i nie za wiele.

Przyszedł moment, kiedy wzgardziłem tym wszystkim nie dlatego, że bym dojrzał artystycznie do tego stopnia, by ocenić właściwie te próby. Wzgardziłem słowem w ogóle, pryncypialnie, uznałem za jedyną wartość — „czyn”.

Były to ostatnie lata pierwszej wojny światowej, w zaborze austriackim po raz pierwszy chyba po wiośnie ludów ożyła szeroko konspiracja. Zanim zmieściliśmy się w kadrach P. O. W. — należałem do skrajnego kółka kształcącego się w teorii socjalistycznej i anarchistycznej i gotującego się do „akcji bezpośredniej”. Marzyłem wtedy — a raczej szkoliliem się surowo i rzeczowo (bo słówko „marzenie” uważałem za niegodne rewolucjonisty) w działalności społecznej — chciałem więc zostać trybunem i rewolucjonistą. Przemocą odrywałem się od swoich zeszytów z wierszami, zgadzając się w zupełności z kolegą, który głosił, że tylko czyn rewolucyjny uprawnia do posiadania godności ludzkiej! I przyszedł czyn, ale inny, pochłonięta nas Polska Organizacja Wojskowa, która po załamaniu się frontu włoskiego rozbroiła Austriaków. Poszedłem wraz z kolegami — z szóstej klasy — do wojska i na „wojenkę”, próbować „czynu”. Z paromiesięcznej wojenki wróciłem rozczarowany, wyleczony na zawsze z gorączki „czynu”. Wróciłem do poezji, czy raczej do pisania wierszy.

Wybrałem się na wojnę z karabinem piechoty i z dwiema książkami: „Róża” Żeromskiego i tomikiem Tetmajera. Te dwie książki charakteryzują ówczesny stan mojego smaku. Ulubionym moim poetą był też do czasu owej wyprawy wojennej Wyspiański. Opanowałem nowy dla mnie „dreszcz” młodopolski, opanowałem po powrocie także w tym znaczeniu, że mu przestałem ulegać. Nasłuchiwałem czujnie pierwszych ech powojennego ruchu literackiego. Wtedy dopiero obudziła się we mnie żądza oryginalności, zrozumiałem, że poezja to nie naśladowanie najlepszych nawet wzorów, lecz wyraz własny. Ale łatwiej i wcześniej uświadomiłem sobie własne i niepodobne do cudzych marzenia i wzruszenia. Znaleźć dla nich wyraz długo jeszcze nie potrafiłem.

Za pierwsze swój wiersz, za który mogę wziąć odpowiedzialność, uważam „Cieście”. Jak odkryłem prawdziwego siebie, jak napisałem ten wiersz? Ułożyłem go w swojej wsi rodzinnej i choć nie pamiętam szczegółów, pozostała mi po tym pierwszym zdarzeniu poetyckim pamięć tego szczególnego, radosnego i mocnego porywu i rozpedu wyobraźni, którego doświadczam odtąd, ilekroć piszę prawdziwy wiersz. To jest zapewne ten stan uczucia i wyzwolonej wyobraźni, który mianuje się natchnieniem.

Powiedziałem: gdy piszę prawdziwy wiersz — ale czy wiersz się pisze? Wierszem się żyje. Poetycki pomysł nosi się uważnie i tkliwie jak niemowlę. Zanim to niemowlę otworzy usta i powie pierwsze słowo, ileż trzeba trudu, uwagi, czuwania i nasłuchiwanie — i prawie zawsze się tak dzieje że wbrew temu skupionemu oczekiwaniu — pierwsze zdanie wiersza zjawia się jak niespodzianka. Nie można go zdobyć ani pilnością ani pracą, ani obmyślanym planem marzenia nie można przyspieszyć przynaglenie — wiersz musi sam dojrzeć i pierwsze jego tchnienie zjawia się musi jak dar. Nawet najhojniejszy z ludzi nie może obdarzać zawsze, nawet jeśli obdarowanym ma być on sam, jeśli jest poeta.

Julian Przybóś

Gdy patrzeć na rozłożone na mym biurku potężne tomy dzieł Woltera, przypominają mi się słowa Ignacego Krasickiego:

Leżą grzecznych bluźnierców dzieła na stoliku;
Gotowalnlane mędrcy, tajemnic badacze,
Przewodniki złudzonych, wieków poprawiacze.

(„Złość ukryta i jawna”).

Widocznie damy przestały czytać Woltera, bo drukuje się go w formatach, dla których trudno byłoby znaleźć miejsce w gotowalni pięknej pani. Przypomniałem te folianty dla jakichś poszukiwań historyczno-literackich, w najczystszych naukowym zamiarze. Człowiek jest jednak tylko człowiekiem. Zająrzałem do jednego woluminu, przekartkowałem drugi i w rezultacie utonąłem na parę tygodni w Wolterze. Zapomniałem w ogóle o głównym celu lektury. To były moje pierwsze wczasy, pierwsze przypadkowe wakacje od wielu, wielu lat.

Do Woltera doszedłem drogą okólną. W wykształceniu humanistycznym mego pokolenia Wolter był martwą pozycją. Tłumaczenie polskie, od którego się zwykle zaczyna znajomość z obcym pisarzem, nie mogło mnie porwać. Wolter moralista, publicysta, polemista i satyryk przesłonił Woltera pisarza. W kurzwale walki gdzieś się podział wdział wolterowskiemu stylu. To pióro, tak lotne u siebie, jakoś ocieżało pod naszym niebem.

Tłumacz kierował się w wyborze dzieł myślą, że aktualne i żywe są powiastki filozoficzne. Nie zgodziłbym się z tym sądem. Od czasów Woltera wykształcono w tym stopniu gatunki prozy powieściowej, że „opowieść” wolterowska nie może zadowolić nawet skromnych wymagań literackich. Wolter nie miał wyobraźni twórczej ani oczu otwartych na świat zjawisk. Jego fabuła jest dziecinna. Świat widzi on płasko i opisuje schematycznie. Gdzie mu tam do werwy Krasickiego z trybunalskiej partii „Doświadczyńskiego”! Wolter nie jest ani psychologiem ani socjologiem. „Listy perskie” Monteskiusza to cała gęba beletrystyka w porównaniu z powiastkami filozoficznymi fernejskiego filozofa. Jako publicystyka zaś są te powiastki zbyt naiwne.

Z pisarzami bywa tak nieraz, że niektóre utwory ich tematycznie, anegdotycznie czy ideologicznie zwierzeją, ale pisarstwo ich tchnie świeżością i czaruje! Od dawna dziwił mnie gust Goethego do Woltera. W rozmowach z Eckermannem stary smakosz zachwycał się wdziękiem wierszy Woltera. Kładłem to na karb epoki. Obecnie przekonuję się, że Goethe miał rację. Wolter jest czarującym pisarzem. Wówczas nie mówiono, że pisarz jest aktualny; nasi prapradziadkowie byli ściślejsi: powiadali, że ktoś tam pisze wdzięcznie, czy chropawo, uczenie lub zabawnie, sucho lub dowcipnie. To nie były zle określenia.

W osiemnastym wieku rojło się od buntowników, bluźnierców i bezbożników. Wielu ich jednak stało się groźnymi przeciwnikami dla starego porządku rzeczy. Wolter został patriarchą skażenia dlatego, że umiał pisać, że był „grzeczny bluźniercą”. W dziejach myśli nie stanowi on etapu. Nikt go dziś nie uważa ani za filozofa, ani za tragika, ani za epika. Wyznaje pokornie, że nie potrafiłbym przeczytać po raz drugi „Zairy”, którą zachwycono się u nas jeszcze w XIX wieku. Głośne paradygmatyczne poematy Woltera wydają się nam, którzy nie nosimy haftowanych fraków i koronek w mankietów, niesmaczne. Wolter jako wolnomyśliciel jest naiwny; jego egzegeza biblijna zdaje się być przeznaczona dla dobrych towarzyszy do biesiadnej uciechy. Nieuctwo i zrozumiałstwo Woltera zawstydzają nas dziś tak samo, jak dawniej gorszyło uczonych Niemców — a przecież papież oddawał pod jego sąd kwestie filologiczne! Tajemnicą tego nadzwyczajnego powodzenia była sztuka pisarska i zręczność literacka.

POŚMIERTNY LOS DANTEGO

Mam na myśli jego karierę u potomności. Wyjaśnienie to uważam za konieczne, od czasu jak badacze zaczęli się zastanawiać nad losem nieśmiertelnej duszy Dantego. Papini

doszedł nawet do wniosku, że piewca zaświatów mimo licznych kochanek, z którymi folgował swej chuci, tudzież mnóstwa innych nieprawości, dzięki nieprzebranemu miłosierdziu bożemu znajduje się prawdopodobnie w czyścisku. Szkoda, że nie udało się ustalić, na której serpentynie czyściskowego stożka pokutuje żywy Dante. W spisie najpilniejszych wydawnictw klasyków literatury powstającej, jaki ogłoszono w ubiegłym roku w „Odrodzeniu”, uderzyły mnie dwie pozycje negatywne, nie pomi-



Wolter

nięcie lecz świadoma banicja „Myśli” Pascala i „Boskiej komedii” Dantego.

Co do Pascala warto przypomnieć kronikę francuską w „Kuznicy” (nr 6), z której dopiero co przekonaliśmy o zbędności „Myśli” dowiedzieliśmy się nieoczekiwanie, że wspólczesna lewicowa Francja pośpieszyła się z paru wydaniami tego niepotrzebnego dzieła Pascala, a wśród nich są nawet luksusowe. Ciekawsza jest sprawa Dantego. Miał on zawsze przeciwników. Należał do grona wybranych, o których powiedziano, że im się sprzeciwić będą. W Polsce dość lekceważąco wyrażał się o nim Ignacy Krasicki. W dziele „O rymotworstwie i rymotwórcach” czytamy, że Dantes (tak go nazywa książdz biskup) „Wiele dzieł rytmem pisał: najślawniejsze to, któremu mniej przypisano tytuł — komedii, a następnie zbyt uprzedzeni ubóstwili ją nazywając la Divina Commedia. Opisuje w tym dziele piekło, czyściec i niebo; a że innego sposobu ani zemszczenia się ani zawdzięczenia (tj. wywdzięczenia się — przyp. mój) nad swój rymotworski nie miał, nieprzyjaciół w piekle osadził, a tym którym był wdzięczny, dał w nagrodę królestwo niebieskie”.

Znany cynik paradoksu, Fryderyk Nietzsche, nazwał Dantego hieną, która tworzy pośród grobów („Dante oder die Hyäne, die in Gräbern dichtet”). Obląkany Zaratustra nie szczędził zresztą ostrych aforyzmów także innym sławom: Wiktora Hugo nazywał latarnią morską na morzu bezsensu, George Sand mleczną krową z pięknym stylem, Zolę określał jako „die Freude zu stincken”, a Liszta „die Schule der Geläufigkeit — nach Weibern” („Götzendämmerung”). Wolter był tym pisarzem klasycystycznym, który bronił Dantego. Nie umiał wprawdzie umieścić go w przyjętej podówczas hierarchii literackiej, drażniło go nabożeństwo dantejskie, odprawiane we Włoszech, lecz przyznawał, że są w tym poemacie wiersze tak szczęśliwe i tak bezpośrednie, że nie zestarzały się od paru wieków i nie zesterzeją się nigdy. To jego własne słowa. A zresztą — dodawał — dzieło, w którym się pakuje papieżów do piekła, budzi zawsze żywą uwagę („Słownik filozoficzny”, art. „Dante”).

BON SENS

Dantego bronił Wolter po swojemu, ale bronił. Ile się nawydwarza z Miltona, z jaką niechęcią pisał nieraz o Szekspirze, ale pisał. W tamtych czasach to już było coś. Wolter czuł, że i tę odrobinę dobrej woli politycy mu historia za zasługę, dlatego tak dumnie przypominał, że był pierwszym, który zapoznał Francuzów z Miltonem i Szekspirem. W dyskusji nad regułami poetyckimi zajęł stanowisko odważne. W „Szkiecu o poezji epickiej” twierdził, że nie

łatwiejszego, jak tonem mistrza rozprawiać o rzeczach, których się nie umie robić, że na jeden poemat przypada sto poetyk, że pełno wszędzie nauczycieli wymowy, a nie widać ani jednego mówcy i że w świecie tłoczno od krytyków, którzy przy pomocy komentarzy, definicji i dystynkcji zdolał zaciemnić pojęcia najbardziej jasne i najprostsze. A wreszcie uderza prawie w romantyczny ton, gdy mówi, że Homer, Wergiliusz, Tasso i Milton słuchali tylko pouczeń własnego geniuszu. Z tym Wergiliuszem to nie bardzo mu się udało; wiek XVIII uważał mantuańskiego wieszczę przynajmniej za równego Homerowi. Od czasu renesansu nie mało było uczonych, którzy przenosili „Eneidę” nad „Iliadę”. Ważniejsze jest wyznaczenie, że nie wypada odmawiać miana komedii sztukom Calderona z tego jedynie powodu, że nie są w guście epoki. Po tych wszystkich pięknych wstępach dziwna nas ustanowienie dość niebezpiecznej dla sztuki zasady ogólnej: bon sens. Co to jest bon sens? Czy większość reguł nie da się sprowadzić do tego principium? Tak to nawet walcząc z tyranią zwyczajów i smaku epoki dźwigał Wolter jej ciężar na barkach — Atlas Oświecenia.

DOKTOR WSZECH NAUK

Czytając Woltera niesposób nigdy przewidzieć, na czym on skończy. W artykule o potopie można się spodziewać zarówno jakiejś fantastycznej paleontologii jak uwag o zgubnych skutkach karmienia piersią niemowląt. Przy temacie astronomicznym znajdziemy aluzje polityczne, a przy historycznym kpiny Lukianowe. Gdy żartowano sobie z ducha, którego niezręcznie wprowadził do „Semiramidy”, bronił się powołując na naukę Kościoła, który każe wierzyć w duchy...

„Nie wiem — pisał kiedyś indziej — kto pierwszy powiedział, że pszczoły mają króla. Prawdopodobnie nie był republikaninem człowiek, który wpadł na ten pomysł. Nie wiem, kto następnie dał pszczołom zamiast króla królową, ani kto pierwszy wyraził przypuszczenie, że ta królowa jest Messalina, która posiada wspaniały seraj i spędza życie na miłości i połogach, składając około czterdziestu tysięcy jaj na rok”. („O osobliwościach natury”, VI).

Rozprawiając o błądach fizycznych Lukrecjusza i Wergiliusza wspomina pochlebstwo starożytnego poety, który kazał skurczyć się Skorpionowi, aby zrobić miejsce na niebie dla cesarza Augusta. Wolter wtrąca, że byłoby lepiej, gdyby się Skorpion rozprężył, wyciągnął i ukłuł swym kolcem okrutnika i mordercę obywateli („O osobliwościach natury”, XXVI).

Żeby móc wynieść pod niebiosa usługi cywilizacyjne i kulturalne Piotra Wielkiego i Katarzyny, pograżył Wolter Rosję w ciemności i barbarzyństwie. Zapewnia nas z całym przekonaniem, że około 1700 roku nie znaleźlibyśmy w całej Rosji ani jednej książki z wyjątkiem mszałów i paru biblii u pijanych wódką popów („Słownik filozoficzny”, art. „Książki”).

GRANICE LIBERALIZMU I HUMANITARYZMU

Wśród wielu dyskusji, które w XVIII wieku doprowadziły mózgi obywateli do niebywałego w dziejach stanu wrzenia, był także temat: skąd się wzięło niewolnictwo? Rozważano sprawę systematycznie i naukowo. Uczony znawca prawa Puffendorf był zdania, że niewolnictwo powstało wskutek dobrowolnej umowy stron, przez kontrakt, w którym jeden zobowiązywał się pracować, a drugi żywić. Wolter ośmieszył te uczone wywody bardzo prosto: oświadczył że nie prędeż uwierzy Puffendorfovi, aż ten mu pokaże taki pierwszy kontrakt („Słownik filozoficzny”, art. „Niewolnicy”, III).

Wolter był z przekonaniem republikaninem, ze snobizmu arystokraty, z próżności i wyrachowania przyjaciele monarchów. Pogodzenie tego wymagało pewnej zręczności. Felietonowy stosunek do wszystkich zagadnień znakomicie ułatwiał zadanie. „Ustawicznie się ludzie biedzą nad pytaniem, czy system republi-

kański jest lepszy od monarchii? Dyskusja kończy się zwykle zgodnym stwierdzeniem, że trudno jest rządzić ludźmi. Żydzi mieli samego Pana Boga za szefa rządu i proszę popatrzeć, jak na tym wyszli: prawie zawsze ich bito i uprowadzano w niewolę, a dzisiaj, czy nie uważają państwo, jaką piękną rolę grają w świecie?” („Słownik filozoficzny”, art. „Demokracja”).

Z głównymi zaborcami Polski był Wolter w przyjaźni. Rozbiorem towarzyszyła propaganda, przedstawiająca Polskę w oczach oświeconej Europy jako siedlisko fanatyzmu religijnego, anarchii i obskurantyzmu. Powiązanie politycznych interesów polskich z równie rozdrapywaną i podobnie za ostatni bastion zacofania uważaną Turcją oraz wzięcia protekcja papieżstwa dolewały oliwy do racjonalistycznego ognia. Postanowiono ratować pacjenta gwałtem. Nikt tylko nie dostrzegł, że chirurg użył, a chory sechl. W wierszu napisanym z powodu zajęcia Chocimia przez wojska rosyjskie, zwraca się Wolter do Polaków:

De vos vrais intérêts devenez plus jaloux.
Rome et Constantinople ont été trop faibles;
Il est temps de finir ces horribles scandales;
Vous serez désormais fortunés malgré vous.

GOTOWALNIANY MĘDRZEC

Czytam uwagi z powodu kary śmierci, jaką Ateny wymierzyły swym admirałom za to, że po zwycięskiej bitwie z powodu burzy nie od razu zajęli się pogrzebem poległych żołnierzy i w ten sposób narazili ich dusze na smętne bląkanie się u wejścia do podziemi. Ówczesni historycy nie wiedzieli jeszcze, jakie nikczemne intrygi polityczne kazały, ateńskim sędziom tak gorliwie troszczyć się o zagrobowe szczątki greckich wojowników. Wolter miał tedy dobrą sposobność do wystąpienia przeciw zabobonom.

„Wielkie mi nieszczęście — powiada — że dusze niektórych Greków pospacerowały sobie tydzień lub dwa tygodnie nad brzegiem morza! Nieszczęściem było to, że żywych ludzi oddano w ręce katom i to ludzi, którzy wygrali wam bitwę...”

Najczęściej bywa przytaczane zdanie Woltera, że jedyną trwałą zdobyczą z wypraw krzyżowych był trąd i parchy („Słownik filozoficzny”, art. „Trąd i kila”).

„Bonjour, mon ami Job...” Tak się zaczyna w „Słowniku filozoficznym” artykuł o biblijnym Hiobie, który cierpliwie znosząc dopust boży, pozostawiający go dzieci, mienia i przyjaciół, gotów był jednak złorzeczyć dniowi, w którym się rodzi i nocy, w której się poczyna, człowiek. Wolter po krótkich uwagach historyczno-literackich zabrał się do przewarłościowania majątku Hioba na monetę bieżącą. Siedem tysięcy owiec, trzy tysiące wielbłądów, tysiąc wół i pięćset osioł — summa summarum biblijny bohater stracił trochę ponad pół miliona liwów. Kiedy czytelnik doszedł do szczytu zaciękania, ku czemu to wszystko zmierz, Wolter zwraca się do Hioba, pocieszając go, że był znacznie bogatszy od niego i choć stracił dużą część swoich dóbr i jest schorowany — nie szemrze przeciw Bogu.

Nie brak też w „Słowniku” artykułu o inkubach. Autor poważnie referuje poglądy wtajemniczonych demonologów na tę delikatną kwestię, której, jak wiadomo, poświęcali sporo uwagi pisarze i Ojcowie Kościoła. Uczeń znawcy cartowskich spraw tłumaczyli interwencją nieczystego ducha pojawienie się w zamierzchłej przeszłości dużej liczby herosów. Diabeł wywoływał lubieżne sny u mężczyzn a następnie owocem ich marzeń sennych zapładniał niewinne dziewczęta, które w ten sposób, nie posiadając mężów, wydawały na świat bohaterskie pokolenia.

Wolter dodaje do siebie, że szatan zupełnie niepotrzebnie zadawał sobie tyle pracy. Wystarczyło pozwolić zabawić się razem chłopcom i dziewczętom, a już oni sami zupełnie dobrze, bez pomocy jego czarnej mocy, dostarczyliby całego pocztu herosów!

Taki był ten osiemnasty wiek: bez przesądów i bez skrupułów, uczony i krotchwilny, wdzięczny i cyniczny. Przypomnijmy, jak się usprawiedliwiał Ignacy Krasicki przy końcu „Myszeł”:

Przebac, jeżeli muza zbyt wesota;
Nie dość nauczyć, trzeba, żebyś bawo!
Wacław Kubacki

JANINA PRĘGERÓWNA

POEMAT PEDAGOGICZNY

Jest to książka entuzjastyczna, jak świadczy sam tytuł. Pisana przez entuzjastę, porywa czytelnika.

Porusza zagadnienie wychowania nieletnich przestępców na ludzi wartościowych etycznie i zdanych do praktycznego życia, do budowy socjalistycznego państwa. Zagadnienie — mimo że powieść ogranicza się do spraw pedagogicznych — jest szersze. Czytając tę książkę poważną (a jakże pełną humoru — również i wzniosłości — przy całej prostocie i skromności formy) widzimy tuż za nią większą perspektywę — perspektywę całego społeczeństwa „normalnego”, które tak bardzo potrzebuje tego samego wychowania, a którego wychowanie jest tak samo niełatwym i dramatycznym problemem.

Książka jest kroniką kolonii im. M. Gorkiego z lat 1921—1923 i ma wszystkie znamiona autentyczności. Opiewa (mimo woli nasuwa się ten wyraz, nie inny — tak bardzo epicki jest charakter książki) założenie kolonii i dzieje jej pracy i walki przez dwa lata, które nie były latami spokoju i ogólnej stabilizacji warunków w Rosji Radzieckiej. Tłum akcji jest wieś ukraińska, związana niejedną nicią ukrytych sympatii i stosunków z tamtejszymi antysowietickimi atamanami. Na tym tle i w tych warunkach trzeba było właściwie z niczego, przy granicznym z nędzą braku środków materialnych, stworzyć ośrodek wychowawczy dla grupy chłopców o bujnym temperamencie i już pewnym doświadczeniu kryminalnym. Ich wychowawca, który jest narratorem tej pięknej opowieści, ma za zadanie wydobyć z ich charakteru i uczynić trwałą dyspozycją dobro, a kazać zapomnieć zło. Jego wychowankowie mają za zadanie zdobyć własny byt, gdyż wobec minimalnej pomocy państwowej kolonia musi być w dużej mierze samowystarczalna gospodarczo. Wychowawca musi dokonać najpierw „oswojenia” i zespolenia pierwszej grupy surowego materiału; stanie się ona później trzonem rozwijającej się kolonii. Wychowankowie muszą stworzyć sobie najpierw jakieś warunki materialnego bytu, puste chałupy zmienić w dom mieszkalny. Potem, ze wzrostem sił moralnych i przybytkiem liczebnym, zdobędą sobie majątek opuszczony przez właścicieli, walczących przeciw władzy radzieckiej, ruiny zagospodarują i stworzą bazę ekonomiczną dla szerszego rozwoju ich przedsięwzięcia wychowawczego. Tryumfalnie przenosiny na nową kolonię zakończają tom pierwszy.

Bardziej frapująca, nie pozbawiona dramatycznych spiek jest akcja w dziedzinie psychologii — walka o duszę. Spokojniejszym nurtem toczy się i coraz to błyska humorem — walka o byt materialny kolektywu.

Narrator, zarazem jedna z głównych postaci powieści, ma rolę bardzo czynną w akcji, prowadzi działania. W działaniu tym nie zawsze zwycięża. Książka jest pełna optymizmu — zarówno jak prawdy i szczerości; nie tai przeszkód, które napotyka pedagog w psychice ludzkiej — i w dalekiej od doskonałości codziennej rzeczywistości radzieckiej tych pierwszych, jakże trudnych lat. Przeważa dobre i budujące przekonanie pedagoga, że zło tak często jest winą przypadku i przyczyn zewnętrznych, że dobro tak często można znaleźć i ocalić; że tak często można człowiekowi pomóc — byle to uczynić w porę i z umiejętnością odnoszenia się do duszy ludzkiej, która w najordynarniejszym „dzikusie” z szerokich dróg tak bardzo jest wrażliwa i urażliwa. Ale nie zawsze tak bywa — i zdarzają się takie dyspozycje psychiczne, wobec których wychowawca staje bezradny. Dzieje tych usiłowań pedagoga-przyjaciela nieociosanych wychowanków, jego powodzenia i klęski ruchem wahadłowym pędzą akcję — od brzęgów wiary w duszę człowieczą — do głębin bezradności. Dlatego książka jest interesująca jak powieść kryminalna i jak ona dostępna dla zrozumienia każdego. Potencjał współ-

czucia czytelnika z narratorem jest bardzo wielki. Jego sprawa jest naszą sprawą.

Pierwszym warunkiem skuteczności pracy wychowawcy są: jego szczerłość, równość jego położenia materialnego jako członka grupy ze swymi wychowankami, los, który z nimi dzieli. Tylko człowiek biorący równy udział w trudzie i przyjemności, niosący równy ciężar walki i niedostatku — jest prawdziwie, a nie na niby, solidarny ze swymi alumnami i może mieć na nich wpływ wychowawczy. Wszelki brak, głód i chłód dzieli nasz pedagoga ze swymi uczniami — i dlatego zdobywa sobie prawo moralne do tego, by oni dzielili jego troskę wychowawczą i szczerze mu pomagali w wychowywaniu siebie i kolegów. Bo bez tej zgody wewnętrznej nikt nie może być wychowywany, a tym bardziej w tak wyjątkowych, zastrzonych warunkach, jak na kolonii nieletnich przestępców. Są to postulaty maksymalne wobec pedagoga, ale też taki pedagog może sobie powiedzieć, że jego sprawa jest sprawą jego wychowanków. W tym wypadku sugestia jest tym większa, że ta książka pedagogiczna — to powieść, dobra powieść, pisana z nerwem i życiem. Tezy wychowawcze podawane są w pełnej napięciu, angażującej czytelnika uczuciowo akcji.

Materiał jest trudny i zadanie trudne, przeszkody ciężkie i realne — a powieść mimo optymizmu — daleka od sielanki. Z napięciem śledzimy każdy krok naprzód i każde cofnięcie się zbiorowej pracy nad wprowadzeniem w krąg kultury ludzkiej zanurzonych w grupie tych ludzi pierwotnych. „Nasi chłopcy to na ogół tzw. silne charaktery. Poziom kulturalny ich jest jednak bardzo niski... W olbrzymiej większości byli to analfabeci lub półanalfabeci, prawie wszyscy przywykli do brudu i wsty, w stosunku do innych ludzi przybierający obronno-zaczepną pozę prymitywnego heroizmu...” — „W nadzwyczaj powolnym tempie przyswajali sobie zdobycze kultury ludzkiej, i tym wolniej, im byli biedniejsi i bardziej głodni...” — „Każdy dzień mojego życia w owym okresie to połączenie wiary, radości i rozpacz”. Charakter kolonii waha się między instytucją wychowawczą a meliną. Są stałe pokusy i nałogi: kradzieży, pojmovanej przez chłopców po spartańsku — jako zrzeczenia wyczyn, służącej do podtrzymania życia — i bandytyzmu z grzymaniem przygody. Prócz tych okoliczności, stanowiących stałe, powszechne lecz stosunkowo łatwiejsze do zwalczania niebezpieczeństwo — jest jeszcze groźniejszy problem indywidualnych predyspozycji do przestępczości.

Praca wychowawcy polega w obu wypadkach na umożliwieniu wystąpienia dobra tam, gdzie dotychczas występowało zło. Zuchwalstwo, zło-dziejstwo, bandytyzm udaje się wychowawcy po licznych trudach doprowadzić do minimum. Jednostki zanurzony w grupie udaje się opanować i stworzyć kadry wartościowego kolektywu. Jednak nie zawsze wysiłki zostają uwieńczone powodzeniem. Czasem wychowawca ponosi klęskę i musi takiego „zaraźliwego psychicznie” członka kolonii wyeliminować. Powiodło się z Zadorowem, Burunem, Karabanowem — nie powiodło z Mitiaginem. Walka o charakter chłopców idzie na ostre, wychowawca angażuje w to całe swoje życie i pełną odpowiedzialność — i czasami dochodzi do momentów bardzo dramatycznych.

Wszystko szło dobrze. Pierwsza grupa „założycieli kolonii” zdobyła już pewną zespołową solidarność i kulturę moralną. Przeszkody indywidualne zostały szczęśliwie rozwiązane. Ale oto pada podejrzenie, że ktoś z kolonii jest winien rabunków na drodze. Cała kolonia jest w napięciu. Choć chłopcy nie wierzą, by ktoś z ich gromady brał w tym udział, boją się tego przecież. Gdy się okazuje, że wśród nich jest sprawca — kierownik zgnębiony tym jak własną klęską, nie opanowuje odruchu — lecz do jego samobójstwa nie dopuszcza gromada wychowanków, wstrząśnięta i kochająca.

Sprawa ich jest wspólna. Jego los jest ich losem — i stąd jego władza moralna nad nimi. Praca niebezpieczna, pełna odpowiedzialności i ryzyka, a zarazem porywająca: poemat.

Ale poemat ten z całą trzeźwością ukazuje prawdę. Ta prawda, to są wszystkie „zewewnętrzne”, nie dające się lekceważyć przeszkody, jak bieda, dezorganizacja, biurokracja, sobkowski opór chłopca — i wewnętrzne: dane charakteru pewnego osobnika. Walka w obu tych kierunkach, wytrwała mimo różnych rezultatów, jest budująca. Prawdomówność autora budzi zaufanie i szacunek — a nie nastroj defetyzmu. Książka uczy mądrze godzić się z tym wszystkim, co jest, choćby to był chaos, byle tylko umieć wziąć to za łeb... Tego właśnie uczą się koloniści — mądrego liczenia się z okolicznościami, żeby wbrew nim przeprowadzić swój zamiar.

Uczą się nie przerażać obrazem niedoświadczenia, dezorganizacji, ruiny — aby tylko, wliczywszy to w plan działania, — zwyciężyć, zmienić. Dlatego autor nie lęka się prawdy, choćby nie była ona piękna. Tak np. pomocnik kierownika kolonii wyraża swój pogląd na gospodarke chłopką na opuszczonym folwarku: „Dzikusy rozumiesz, łotry, idioci! Toć przecie bogactwo — sale, stajnie! A życie sobie, psiekrwie, gospodarzcie, kawę popijajcie, a ty łajdaku co robisz? Walisz siekierą w taką ramę! A dlaczego? Bo musisz kłuski gotować i trzeba drzewa narabować... A udław się ty kłuską, ty w ciemni bity idioto! I zdechnie taki, rozumiesz, a nie zmieni się! Żadna mu rewolucja nie pomoże...! Ach łajdaki, łotry, bałwany przekłete!”

Tak samo sceptyczne poglądy wypowiada w kwestii pomocy sanitarnej. Kierownik odwozi chorych na tyfus do szpitala: „Głęboki wóz, przygotowany według planu Serdiuka i przypominający nieco trumnę, jest pełen aż po brzegi. Otuleni w kołdry siedzą nasi tyfusowi na dnie wozu. Na krawędzi trumny położono deskę i na niej siadam ja z Bratczenką. Ciężko mi na duszy, bo przeżuwałam, że powtórzysz się ta sama historia, co z Wietkowskim. I nie mam żadnego przeświadczenia, że chłopcy jadą leczyć się”.

Warunki niełatwe — i nikt sobie oczu nie zasłania. I to właśnie zachęca do walki — heroicznej, nie do marzeń, ale do czynu.

A jeśli jednak nie powiedzie się — i to na ważniejszym polu, jeśli nie uda się próba wciągnięcia we wspólną dobrą pracę jednostki o zbyt silnych popędach anarchicznych — co wtedy? — Trudno, z niepowodzeniami trzeba się liczyć. „Nie można stawiać żądań maksymalistycznych”, nie można mówić sobie: „wszystko albo nic. Przeciwnie, całkiem inaczej: trzeba, żeby nigdy nie opuszczało „stare przyzwyczajenie do milczącego, cierpliwego napięcia woli”. I z tym iść dalej: od klęski do pracy, od pracy do powodzenia...

Jakież są metody tej pracy, jakie problemy? Książka głosi teorię wychowania przez zespół, przez kolektyw. Ale nie od razu ta grupa o pewnym poczuciu wspólnoty jest dana! Bynajmniej nie każde mechaniczne nagromadzenie ludzi będzie kolektywem. Kolektyw, to jest już solidarność, osiągnięcie pewnych wspólnych kryteriów oceny ze względu na wspólne dobro — czyli wynik pewnej kultury. Tym bardziej wymaga czasu powstanie kolektywu wśród dzieci zaniedbanych.

Co przedtem, tymczasem? — Tutaj wypowiada autor „herezję”: użyć siły przez wychowawcę. Jedynie ona stworzy mu autorytet. Stosowana nie jako drakońska reguła, tylko w doraźnych wypadkach, gdy intuicja wychowawcza podpowie mu takie zachowanie, jako najbardziej ludzką, naturalną reakcję. (Akt przemocy w stosunku do Zadorowa, przywódcy rozpuszczonych adeptów sztuki włóczęgostwa, leniuchowania i kradzieży — zjednuje wychowawczą szacunek, a potem trwałą miłość wartościowego chłopca i wywołuje zupełny przewrót stosunków: narodzi-

ny ład, posłuchu i porządku na kolonii).

„Póki nie ma kolektywu i władzy kolektywu, póki nie ma tradycji i nie są jeszcze wpojone najprostsze nawyki pracy i życia zbiorowego — wychowawca nie powinien wyrzekać się przymusu i ma do niego prawo”.

Autorytet wychowawcy opiera się nie tylko na przemocy, lecz na bardziej cennych momentach. Siła fizyczna i umysłowa, umiejętność fachowa, energia i pracowitość, humor i pogoda — oto niemała lista doskonałości, które zdobywają uznanie przewodnikowi wśród jego „dzikich zwierzątek”. Solidna umiejętność i wytrwałość w pracy, rezultaty — a nie słowa i uczucia, choćby najszersze, ale nie poparte namacalnym, uczciwym i owocnym wspólnym wysiłkiem — oto są cechy, które jedynie zdolne są obudzić szacunek i miłość wychowanków (a sąd ich jest bardzo ostry — szczególnie w tym środowisku).

Dalej wypowiada autor dosyć już uznane poglądy na niedawne „kanony” pedagogiki: „Nie wolno budować całego wychowania na zainteresowaniu dziecka, w każdym razie w jego rozumieniu. Żądałem wychowania zahartowanego, mocnego człowieka, który potrafi wykonać również pracę nieprzyjemną i nudną, jeśli wymagają tego interesy kolektywu. Walczyłem o stworzenie silnego, a jeśli trzeba surowego, entuzjastycznego kolektywu i tylko w kolektywie pokładałem wszelkie nadzieje”.

Zagadnieniem fundamentalnym jest stworzenie — zamiast terroru — odpowiedniej opinii. Jednostka bardzo liczy się z poczuciem moralnym grupy społecznej, w której żyje, bez jej aprobaty nie umie żyć. Najlepszy przykład: hitlerizm i słabość obrony jednostek nawet inteligentnych, gdy wobec tej fali opinii miały zostać same ze swoim odosobnionym zdaniem. Wtedy tracili wiarę w swoją „jednostkową” rację i zdawało im się, że tzw. obiektywna racja jest po stronie tego vox populi czy lepiej vox vulgi. Na tym polegała tragedia naszych czasów. Oczywiście to jest zupełnie, że idzie o stworzenie odpowiedniej opinii moralnej kolektywu — tej największej powagi.

Trzecim wreszcie zasadniczym punktem pedagogii Makarenki jest wykorzystanie instynktów militarnych chłopców (szczególnie tego rodzaju zespołów, jak kolonia nieletnich przestępców) i danie im — co do form przede wszystkim — namiastki organizacji wojskowej — jednak o celach twórczych, nie destrukcyjnych. Chłopcy pęd do przygody, wspólnej akcji zbiorowych występów przybierano już od dawna w formie różnych organizacji o porożach wojskowych, np. drużyny harcerek. Tego nie należy lekceważyć i oddawać innym do wykorzystania — w fałszywym kierunku. Sztandar, bęben, marsze i wspólne wystąpienia, dowodzenie i podporządkowywanie się — to zaspokaja tę potrzebę. A celem zreszczenia się w oddziały, zespoły — będą zadania o charakterze pracy twórczej, poważnej, nie „na niby”, lecz stwarzające konkretne wartości. Moment odpowiedzialności i celowego działania zastąpi dawny moment nienasyconej i pustej ambicji, bezcelowego barbarzyństwa, niszczycielstwa...

Wychowanie ma się dokonywać głównie przez pracę. A wspólna praca stwarza kolektyw — to jest świadomość wspólnego dobra i wspólnych tego dobra kryteriów, wspólnej opinii. W tej pracy kolektywnej w tzw. oddziałach zespołowych wyzyskane

będą militarne instynkty, instynkty przywództwa, przygody, itp. Tutaj zostaną one właściwie zużytkowane i skierowane.

Praca, miłość wspólnego dzieła walnie przyczyniają się do wyrugowania występku, który powstaje w dużej mierze z lenistwa, obojętności uczuć i ograniczenia umysłu. Często jednak, w wypadku specjalnym wychowywania nieletnich przestępców, trzeba tu szukać innego jeszcze sposobu pokonania zła. Jest nim zapomnienie przeszłości, zapomnienie, które odbiera jej charakter rzeczywistości i siłę ciężenia nad przyszłością. Metoda psychologiczna akurat odwrotna do psychoanalizy: pozbawienie wpływu na charakter przez wyrugowanie ze świadomości i pamięci. Dlatego wychowawca rezygnuje z poznania przeszłości, win swego wychowanka, dobrowolnie nie o nim się nie dowiaduje, aby ta dobroczynna niewiedza uwolniła samego delikwenta od presji własnych występów, pozwoliła mu zapomnieć i oddać się wpływowi lepiej zorganizowanej teraźniejszości. Zamiast ciągłej wiedzy ich występku ma towarzyszyć wychowankom przekonanie opiekunów o ich zasadniczej uczciwości, zdolności do dobra, o tym, że są właściwie tacy sami jak wszyscy inni ludzie. Pomoc człowiekowi odzyskać uczciwość można przez okazywanie zaufania, które się każdemu należy — sądzi pedagog.

Tak wygląda pedagogika praktyczna Makarenki podana w jego pełnej życia książce o „entuzjastycznym kolektywie”.

Żywy dialog, momenty humorystyczne i dramatyczne, trzeźwość, prostota i pełen bezpośredniości język, dosadność i szczerść, głęboko serdeczny stosunek do „obiektów” procesu wychowawczego, do ich indywidualności, plastyczne i dobitne ich portrety, które utrwalają się w pamięci, lekkość w prowadzeniu gawędy i przejrzystość dobrej kompozycji — oto zalety literackie tej książki. Oczywiście, główną cechą, wyróżniającą ją na tle współczesnej literatury innych krajów, tak często bezbarwnej, bezideowej i intencjonalnie obojętnej, jest właśnie ta żywa, dotykająca najbardziej człowieka obchodzących zagadnień ideałowość. Przy tym książka silna i zdrowa, cała jeszcze tchnąca życiem, z którego powstała, nie papierowa i nie mózgowa. Jak najdaleza od pretensji literackich — przynosi prawdziwą poezję. Epopeja — bez ambicji do wielkiego miana — opowiada, jak się buduje od początku, od podwalin, człowieka i jego byt. Książka gatunkowo spokrewniona z dydaktycznymi utopiami „oświeśceniów”, jak Krasickiego „Doświadczyński”, „Co robić” Czernyszewskiego lub wszystkie robinsonady. I ta właśnie książka o niewątpliwych walorach dydaktycznych, dająca wzór, jak budować siebie i swoje życie — nie tylko wykolejonym nieszczęśliwcom, ale i ludziom „normalnym” — jest piękna, żywa artystycznie powieścią. Wiele oroku ma dla czytelnika jej couleur locale, w subtelny, prostym rysunku bardzo rzadkich pejzażów przypominająca Turgeniewa lub Czechowa: „Pięknie jest na kolonii w letnie wieczory. Szeroko rozpostarła się dal nieba, przycichł w zmroku skraj lasu, odpoczywają po upalnym dniu soneczniki, skupione na krańcach ogrodów, ginie gdzieś w mglistych zarysach wieczoru droga do jeziora, chłodna i głęboka. Gdzieś na ganku siedzą ludzie, słychać niejasny szmer głosów, a ilu jest tam ludzi i co to za kompania — nie wiadomo”.

Janina Pręgerówna

„...to wiersze pozwoliły mi przetrwać najcięższe chwile podczas okupacji, ale...”
Z notesu nieznannej dziewczyny

CO NIEDZIELA TROCHĘ POEZJI
TEATR „SIEDEM KOTÓW”
UL. ZYBLIKIEWICZA 1

DNIA 27 PAŹDZIERNIKA 1946 R. GODZ. 12:00

UROCZYSTA INAUGURACJA PORANKÓW POETYCKICH

WYSTĄPIA AKTORZY: IRENA KWIATKOWSKA, JAN CIECIERSKI
I AUTORZY: LEOPOLD STAFF, K. I. GALCZYŃSKI, TADEUSZ SOKÓŁ

Szczegóły w programach

Antoni Makarenko. Poemat pedagogiczny. Tł. I. Tłumaczyła B. Rafałowska. Łódź, „Książka”, 1946; str. 284 i 4 nl.

TADEUSZ DOBROWOLSKI

O TWÓRCZOŚCI TADEUSZA KULISIEWICZA

SZLEMBARK

Twórczość Tadeusza Kulisiewicza *) wiąże się na pewnym etapie z Szlembarkiem, małą wsią, leżącą na zboczu Gorców między Nowym Targiem a Czorsztynem. Wioska ta, złożona z około czterdziestu gospodarstw, określona wzrokowo zwykłymi atrybutami Podhala: zboczami pagórków, czarnymi smrekami, zagonami kartofli i zrębowymi chatami o wysokich dachach gontowych — stała się dla Kulisiewicza tym, czym dla Gauguina naprzód Pouldu i Pont Aven w Bretanii, a potem Pepee, tj. źródłem swoistego egzotyzy, źródłem mitu o pierwotnym człowieku i prawie natury.

Z Szlembarku otwiera się widok na rozległą dolinę nowotarską, płynącą ku skalnej zaporze Tatr; od wschodu strzepią się nad nią kredowe formacje Pienin, od zachodu zaś ciemniejsze długie masyw Babiej Góry. Rysunki Kulisiewicza nie otwierają

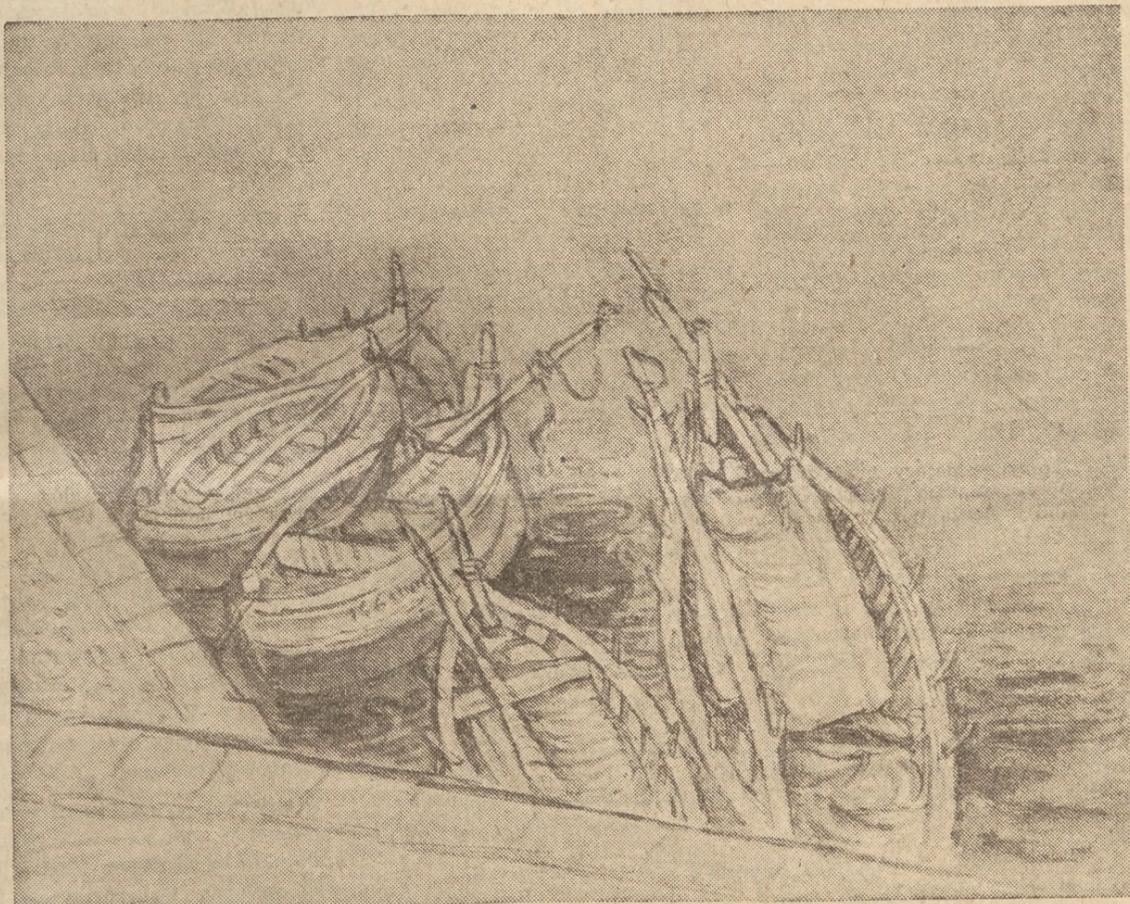


TADEUSZ KULISIEWICZ

jednak perspektyw na rozległy kraj — obraz i świadomie zacieśniają pole widzenia do wykrawka tej ziemi su-

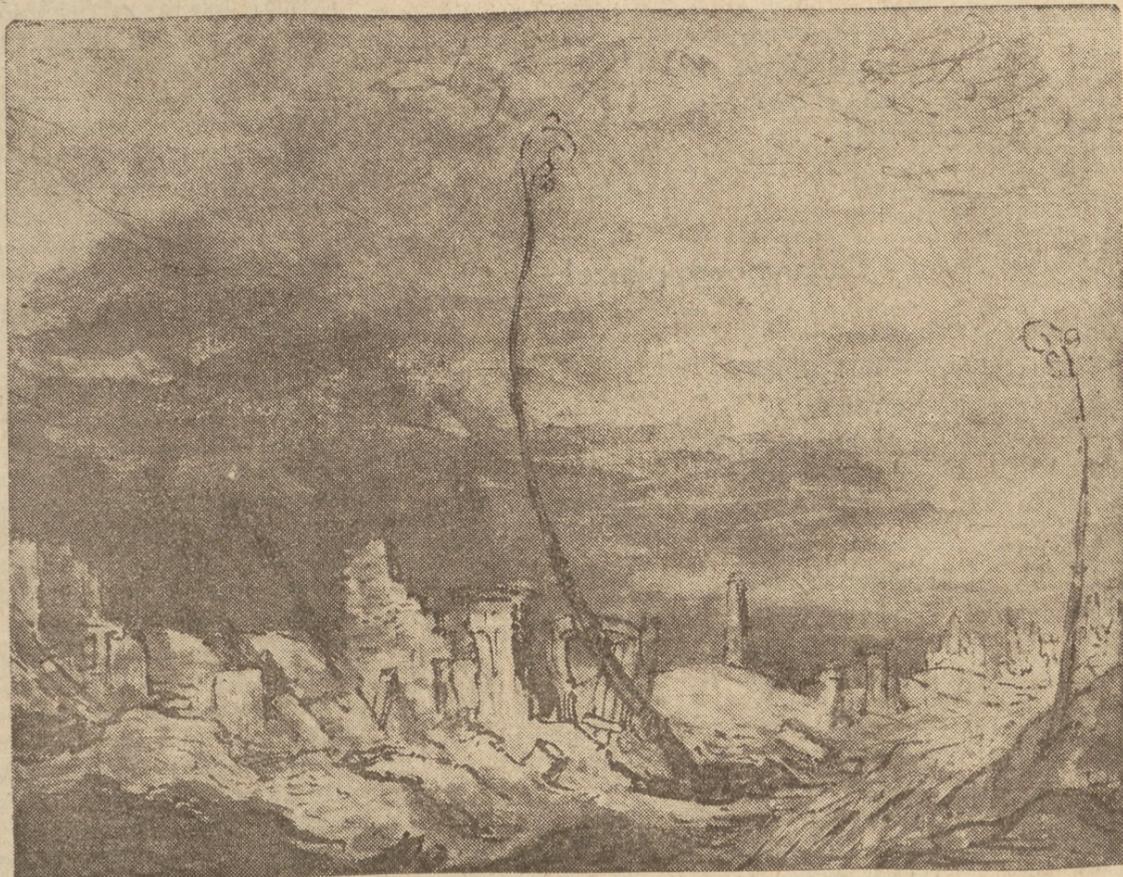
rowej, o której mieszkanka Szlembarku, Agnieszka Łojasowa, pisała którejś wiosny w liście przeznaczonym dla artysty: „ — a teraz, że się ludzie żenia, to i na polu się żeni, śnieg wali, wiatry duchają, kurniawy zaspy narobiły, wieje co strach boski, na świecie i zimno i chałupy zakurzone śniegiem“. W innym liście donosiła, że jej córka „Stefka — już podrosła — a jak śpiewamy godzinki, to się zaraz pyta, czy o to śpiewamy, żeby nam Pam Jezus nago dził chlebusia, mleczusia, kiełbaski — taki pyskac. A tu teraz taka bieda, a najgorzej o pieniądze, bo nieraz się zdaje, że trza i nie solić jedzenia“ (interpunkcja moja).

W ten sposób dawały znać modele malarza o sobie i swoich najbliższych, o swoich troskach i świecie, którego groźna uroda nie była ich odczuciom obca. Ludzie ze Szlembarku w ciągu jakiegoś dziesięć lat stanowili główny temat licznych



TADEUSZ KULISIEWICZ

Łodzie w Syrakuzach (rysunek tusz)



TADEUSZ KULISIEWICZ

Ul. Gęsia w warszawskim ghetcie (rysunek tusz)



TADEUSZ KULISIEWICZ

Głowa (sangwina-kreda)

drzeworytów artysty. Jak informuje katalog wystawy prac Kulisiewicza, urzędzonej w r. 1936 w Warszawskim IPSie, przedstawiał artysta wówczas gazdów i gaździny, dziewczęta przy skrobaniu, oracza przy plugu, świątkarza z wyciętymi przez niego figurami, muzykantów grających, biedaków wiejskich, dziewczyny przy pracy, kobiety w polu, liczne „powroty“, dzieci w płachtach, baców z owocami, koliby i domy. Pokrzywione od starości chaty, rosochate drzewa, zagrody i ziemia ugorna, pojawiają się raz po raz w biało-czarnych, twarde ciętych drzeworytach, w których nad bielą coraz częściej zaczyna górować barwa czarna, naturalny współczynnik tragizmem naznaczonych przedstawień.

Tragizm ten wypływa z głęboko ludzkiego stosunku malarza do mieszkańców zapadłej wsi górskiej, ze współczucia dla ich znoonej pracy, dla ich twardego losu, uwarunkowanego kamienistą glebą i ostrym klimatem — ze współczucia dla zdeformowanych pracą ciał, dla umęczonych i sękatych dłoni — zniszczonych mroźnym wiatrem i słoneczną spieką, grubo wyciosanych twarzy, dla ich brzydoty fizycznej — połączonej z wyrazem dostojnego

spokoju. Hieratyzm, surowa prostota, jakiś epicki rys trwania, melancholia lub drętwota wyrazu oraz ciężka statyczność postaci — to główne cechy wczesnych rycin artysty, które od razu wyodrębniły go spośród licznych uczniów Skoczylasa.

Stosowane przez niego środki wyrazu można analizować i traktować jako samoistne, ale z zastrzeżeniem, iż zrozumiałe staną się dopiero w ramach całości — nie tylko formalnej. Można więc podkreślić frontalność, symetrię i osiowość układów, ich rytmiczność lub pozorną arytmie, z kolei, jeśli chodzi o kanon postaciowy, silną nieraz deformację, ujawnioną w wyolbrzymieniu dłoni, w przysadkowatej budowie fizycznej, w spłaszczeniu stóp, w rysunku profilów twarzowych. Uderza w rycinach różnorodność faktury, np. kanciasty geometryzm konturu obok rzadziej stosowanego, muzycznego duktów liniowego. Cechą przedstawionych figur, zwłaszcza drobniejszych, odsuniętych na plan dalszy, jest pewna potworkowatość, zmierzająca do spotęgowania egzotyzy środowiska. Prymitywizm i archaizacja, podporządkowanie zabiegów analitycznych syntezie, zgrubienie kształtów i ich ekspresyjna brzydota — wszystko to służy temu samemu celowi. W związku z tym zrozumiałe się stają relacje tej sztuki ze sztuką ludową, zwłaszcza zaś z ludową rzeźbą figuralną.

Obok drzeworytów wykonywał artysta we wczesnym okresie twórczości piękne, subtelne rysunki góralskich dzieci, które z czasem udoskonalili jeszcze i pogłębi. Bezpośrednio przed wojną powstaje w Szlembarku około sześćdziesiąt rysunków, które w części spłonęły w czasie powstania warszawskiego. Pozostało z nich około dwudziestu pięciu; różniczkują się one na studia głów dziewczęcych i kompozycje figuralne. Są rysowane czarną kredą, którą niekiedy zazna-

*) Tadeusz Kulisiewicz urodził się dnia 13. XI, 1900 r. w Kallszu. W latach 1923-29 uczęszczał do Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, gdzie studiował pod kierunkiem Miłozza Kotarbińskiego i Władysława Skoczylasa. Od r. 1927 wyjeżdża co roku do Szlembarku pod Gorcami, gdzie posiada stałe mieszkanie (izbę) u Andrzeja i Agnieszki Łojasów. W r. 1930 urządza wystawę swych prac w salonie Garlińskiego w Warszawie; w tym samym roku wyjeżdża na pół roku do Francji. W r. 1936 wystawia w Instytucie Propagandy Sztuki w Warszawie teki drzeworytnicze: Szlembark, Bacówka, Metody, Wieś w Gorcach, luźne drzeworyty i rysunki. W r. 1937 odbywa podróż do Włoch. W czasie ostatniej wojny opracowuje swoje dawniejsze notatki i szkice, po wojnie tworzy cykl „Warszawa“; w r. 1946 obejmuje stanowisko profesora Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

cza artysta kontury, głównie zaś sangwiną i bistrą. Dzięki użyciu czerwonej sangwiny i chłodniejszej w tonie bistry, studia te zyskują pewne efekty malarskie, polegające na wzajemnym przenikaniu się i uzupełnianiu ciepłych i zimnych brązów, a potęgowane jeszcze użyciem plamy, powstałej wskutek roztrącenia kredy. Silny dawniej czynnik liniowości zostaje przysłonięty warstwą malarskości tak, że dochodzi do zmiany stosunku między linią a plamą na rzecz tej drugiej. W ten sposób zanikają w rysunkach pewne reminiscencje secesyjnej, ornamentalnej czy dekoratywnej kreski, a na plan pierwszy wybija się niekiedy mocna, syntetyczna bryła, nieznacznie tylko uzupełniona piękną i precyzyjną, zawsze dyskretną linią. Proporcje między jakościami rysunkowymi a malarskimi ulegają zresztą wahaniom, ale zasadniczy kierunek ewolucji artystycznej Kulisiewicza zdaje się nie budzić wątpliwości. Malarz dąży do organizowania przestrzennej bryły, do syntezy, do monumentalności.

Niektóre z głów, traktowane raczej twardo, jakby ciosane w pniu drzewnym, osadzone na mocnych, walcowatych sztychach, zyskują piętno archaizmu, inne modulowane miękko, kształtowane lekkim światłocieniem tworzą nieco mgławicowe całości, promieniujące delikatnym wdziękiem. Głowy ujęte w profilu zniewalają czystością bryły i masywną konstrukcją przestrzenną. Są podobne do rzeźb prymitywnych. Cechą psychologiczną przedstawionych ludzi bywa smutek, stan nieco tępej melancholii, to znowu trudne do pojęcia, jakby pierwsze, nieśmiałe drgnienie życia, wstępującego w obudzoną przed chwilą, jeszcze ciężką, prawie bezwładną materię. W czasie oglądania tych studiów formułuje świadomość takie terminy, jak: epickość — i hierizm, a także archaizm grecki — i gotycki, rzadziej zaś klasycyzm. Pamięć przywołuje do życia hieratycznych ludzi Gauguina, którzy na szczęśliwych wyspach Oceanii ujawniali podobne wyrazy fizjonomiczne, jak szlembarskie dziewczyny, trwające na jałowej, kamienistej ziemi. W jednym i drugim przypadku zjawiskiem dominującym jest „trwanie”, którego istotę tak przejmująco określił egzystencjalizm Sartre'a.

Kompozycje figuralne poświęca artysta pracy i wypoczynaniu. Tematy te uzupełnia jeszcze motywem tańca. Więźbą między nimi jest rys obrzędowości. Tańczą ze sobą same dziewczyny, dwie siostry, albo stąpające jedne za drugą, albo zwrócone twarzami do siebie; wolno posuwają duże, brzydkie stopy, okręcając się jakby sennym ruchem. Z wiankami na głowach, falujące dzięki swym liniowym rytmom, zarazem nieco sztywne i hieratyczne, wywołują wizję słowiańskich pogańek. Praca w opisywanym cyklu Kulisiewicza jest pracą kopaczy. Pochyleni nad zagonem pierwotni ludzie, z ciężkimi motykami w spracowanych dłoniach, przywodzą na myśl jakieś prehistoryczne istoty. Kobiety, odziane w płachty — chitony, opadające pionowymi fałdami, kreślącymi dołem krętą, wibrującą linię, — upodobniają się do antycznych posągów. Źródłem tej analogii zdają się być znane autorowi z autopsji wczesnogotyckie rzeźby francuskie (Chartres), tak bliskie greckim boginiom z epoki archaicznej. Forma postaci Kulisiewicza stanowi wypadkową monumentalizowanej masy i melodyjnej rytmiki liniowej. Pionowe kierunki tych figur podkreśla pionowe ustawienie stóp, zgodnie z praktykami wczesnego gotyku. Jedną z leżących kobiet w „Odpoczynku” przypomina śpiącą Ariadnę, co wpłno mo-

że tłumaczyć włoską podróż artysty, jego pobyt na Sycylii.

WŁOCHY

W czasie podróży włoskiej w roku 1937 wykonał artysta sporo rysunków ołówkowych, które opracował na nowo w okresie okupacji, w latach



T. KULISIEWICZ

Akt

1943-44 przy użyciu indyczego pióra, tuszu i sepi. W ten sposób powstało około 50 kartonów z przedstawieniem miasteczek, zabytków architektury i portów z barkami. Te różnorodne co do motywów i faktury malarskiej studia można podzielić na trzy typy: 1. wykonane drobnymi kreszczkami, jakby „pointylistyczne” pejzaże, pełne w związku z tym wibracji, sugerującej rozpylone światło słoneczne i drgające z upału powietrze, — 2. nie tyle rysunki, ile rozcieńczonym tuszem lawowane, jednobarwne „akwarele”,

określone miękkimi i łagodnymi tonami, które wywołują wzię słonecznego, lekko omglonego świata. — 3. klasyczne rysunki piórkowe, kreślone cieniutką, giętką i wytworną linią, która, podążając posłusznie za wszystkimi krzywiznami przedmiotów, tworzy piękne, muzyczne niemal arabeski. Ich podstawą staje się najczęściej motyw „opływowych” łodzi z dziećmi skręconym na podobieństwo skrzypcowego gryfu. Kształty berek i ich poruszone w falującej wodzie odbicia sprawiają, że niektóre rysunki składają się niemal w całości z większych i mniejszych, zawsze sprężystych i ruchliwych łuków, co nadaje kartonom specyficzne piętno jedności. Czasami łodzie te są przedstawione z góry, to znowu wrzcionowate ich kształty szeregują się za sobą, tworząc rytmiczne układy.

Pośród widoków Sieny, Florencji, Perugii, Spello, Spoleto, Mediolanu, okolic Parmy i liguryjskiego wybrzeża zwracają uwagę „pointylistyczne”, choć jednobarwne obrazy katedry sienejskiej i florenckiego Palazzo Vecchio, mglista wizja Wenecji i dramatyczny pejzaż z motywem starego młynu w Castel d'Alano, malowanego sepią i określonego kontrastowym, silnym światłocieniem. Ostatniego typu krajobrazy nie mieszczą się dokładnie w ramach przyjętej uprzednio klasyfikacji. Różnorodność ujęć autora trudno bowiem pomieścić bez reszty w ramach sztywnych schematów. Niemniej próbę ich ustalenia usprawiedliwia konieczna w opisie dążność do uporządkowania faktów.

WARSZAWA

W roku 1945 wykonał autor około stu rysunków ołówkowych zburzonej Warszawy, które z kolei opracował przy użyciu pióra i pędzla, tuszu i sepi. Studia te pod względem środków wyrazu przypominają niekiedy kartony włoskie z tym, że w związku z całkowicie innym tematem środki te uległy modyfikacji. Brak tu więc czysto kreskowych, dekoracyjnych rysunków, a na czoło wysuwają się

albo nieco mgliste plamy o słabych napięciach walorowych, gęstsze jednak od plam w lawowanych widokach włoskich, albo skontrastowane z pierwszymi, wyraźniej kształtowane obrazy, pełne zdecydowanych różnic walorowych, które oscylują między bielą i czernią, zyskując przez to na dramatyczności. Tłumacząc to na język bardziej literacki, można by kartony cyklu warszawskiego określić jako jasnosrebrzyste, wizyjne



T. KULISIEWICZ

Portret pani J.

zjawy zdruzgotanych gmachów, albo jako groźne wyglądy spiętrzonych, to znowu osypujących się zwalisk, uwieńczonych poszarpaną, zębatą koroną murów, których patetyczny dynamizm potęgują jasno naświetlone partie, jak gdyby wyrwane z czarnego mroku i obnażone przez ostre światło dzienne. Światło to wywołuje również jakieś „kszęzycowe” efekty w związku z porytą ziemią, w której otwierają się głębokie, lejowate kraterzy i wyrastają stożkowate pagóry osypisk.

Integralnie odmieniony wygląd

miasta, zamienionego w ruiny bombami i ogniem, podpowiada artyście różnorodne kombinacje przedmiotów, które prowadzą do nowej wizji, nie pozbawionej fantastycznego czy nawet romantycznego pierwiastka. Ponura brzydota zniszczenia, dokonanego technicznymi środkami, wysublimowała się dzięki osobliwej magii twórczej w melancholijne albo groźne piękno. Niektóre widoki percypujemy jako ruiny pałaców i zamków, w innych widzimy jak gdyby antyczne pomniki, jakieś kolumnowe fragmenty „Forum Romanum”, to znowu potworne szkielety, najeżone hakowatymi zadziórkami, na jakie zamienili się żelazne konstrukcje budynków.

Kiedy indziej rytmicznie pochylone, żelazne słupy latarni ulicznych na terenie „ghetta” wyglądają jak skrecone pastorały lub osobliwe, karbońskie paprocie. Sepią malowany krajobraz z Powiśla lub fragment Ogrodu Saskiego z motywem drzew i arkad przypomina sielankowe akwarele Orłowskiego i Płońskiego, podczas gdy ruiny Starówki przywodzą na myśl strzeliste baszty miast włoskich. Ważnym współczynnikiem kartonów jest kolor, który w zależności od proporcji użycia tuszu, sepi i sjeny tworzy szlachetne, srebrzyste metaliczne powierzchnie lub nadaje obrazom czerwonożarzące się tony.

Oprócz omówionych rysunków cyklicznych wykonał artysta w ciągu roku 1914 szereg piórkowych i ołówkowych szkiców na różne tematy, w których dostrzegamy jeszcze łączność z tradycją (głównie z renesansem) pomimo ich zupełnie współczesnego charakteru. Przeważają wśród nich akty, rysowane nieskazitelnie czystą, wyszukaną linią, uzupełnioną lawowaniem. Niekiedy postępuje się artysta ciąglą, falistą kreską, to znowu linią przewaną i ruchliwą. Czasem ogranicza się do czystego konturu, kiedy indziej wzbogaca rysunek „malarską” plamą i łagodnym światłocieniem. Niektóre szkice wywołują asocjacje z Tycjanem, to znowu z Rembrandtem, a także z rysunkami impresjonistów.

W oparciu o powyższą analizę prac Kulisiewicza można się pokusić o sformułowanie na ich temat kilku zdań ogólnych. Kulisiewicz nie jest formalistą, ograniczającym swą sztukę do czysto abstrakcyjnych konstrukcji. Jego kreska i inne środki wyrażania stanowią jakości estetycznie dojrzałe, wymowne i finezyjne, które dadzą się z kontekstu dzieła teoretycznie wyodrębnić, ale nie istnieją tylko dla siebie, lecz spełniają funkcje przedstawiania przedmiotów, ludzi, ich prac i przeżyć. Dzieła te posiadają swój różniczkowany wyraz emocjonalny. Dlatego wolno im przypisać specyficzny realizm, rzecz oczywista, daleki od sprawozdawczego weryzmu. Zaobserwowane w dziele związku ze sztuką historyczną i współczesną, ze sztuką ludową i prymitywną bynajmniej nie pomniejszają jego oryginalności, ponieważ są one niewątpliwym wyrazem swoistej osobowości autora, płętnującej jednolicie jego utwory. Pomimo swego historycznego współczynnika, dzieło Kulisiewicza należy stylistycznie do sztuki współczesnej nie tylko dla swych skojarzeń z innymi współczesnymi malarzami lecz także dla swoich zasadniczych tendencji formalnych. W kartonach artysty z różnych okresów uderza wreszcie znaczna różnorodność — i zmienność, co dobrze świadczy o jego wrażliwości plastycznej.

Tadeusz Dobrowolski

NOWE WIERSZE

TADEUSZ RÓZEWICZ

Katastrofa

Dziewczyna, włożyła astry i uśmiechy
kochanek czekał na jej ciało
dziewczyna zielonooka.

Chłopiec, liczył słupy
uciekające domki krowy
uśmiechnięte zady kobiet
na karfiolkach
zachodzące słońca.

Pijany, słowa ciągnął
z ust jak ślimaki
oślinione i śliskie
przyklejał do szyby.

Paskarz — kutwa
na sercu ogrzewał
zimne monety
srebrne i złote

wschodziły gwiazdy
ludzie zasypiali

znużony funkcjonariusz
może zawiadawca ruchu
mieniał się w oczach
sygnałów zwrotnic
semaforów światła
zielony czerwony biały
biały krwawy niebieski

o godzinie 20 minut 5
skrzepy światła
w ciemnościach.

Na szynach leżą
płaskie czerwone głowy.
Gardziel nieba
rodzęta i sina.

(1946)

Bursztynowy płaszek

Jesień
płaszek bursztynowy
przejrzysty
z gałązki na gałązkę
nosi kroplę złota

Jesień
płaszek rubinowy
świellisty
z gałązki na gałązkę
nosi kroplę krwi

Jesień
płaszek lazurowy
umiera
z gałązki na gałązkę
kropla deszczu spada.

(1946)

MARIAN PODKOWIŃSKI

Drugie Monachium^{*)}

Er. Ciano notuje w swym dzienniku, który jest obecnie najbardziej czytana książką na Zachodzie, następującą uwagę pod datą 5 stycznia 1939: „Duce powiedział mi, że powiodł mi się król a przyszłym wojennym aliansie z Niemcami. Wydawał się on być zadowolony z tego. Nie lubi wprawdzie Niemców, ale nienawidzi Francuzów“.

W tych kilku zdaniach wyraża się tragedia włoskiego narodu, tragedia, która wkrótce miała zasięgiem swym objąć świat cały, staczając niemal całą ludzkość w otchłań cierpienia i zbrodni. To, co rozpoczął w szaleństwie swej megalomanii Mussolini, a co podjął „wilkołak z nad Innem“ — Hitler — realizując odwieczne dążenia swego szczepu, stało się przekleństwem przede wszystkim obu ich narodów.

Owa, tylekroć przez bzdurów faszyzmu opiewana przyjaźń „dwóch wielkich mężów opatrnościowych“ Europy, z których każdy miał swoje głęboko tajone przed drugim cele i nadzieje w podziale kontynentu, i to nie tylko europejskiego (nie kto inny jak Goering oświadczył przed trybunałem w Norymberdze, że sowicie opłacał konstruktorów pracujących nad planami samolotów długodystansowych, które by bez trudu pokrywały odległość z Europy do Ameryki z powrotem), w świetle tajnych dokumentów, dopiero teraz ujawnionych w Moskwie i Waszyngtonie, okazała się jedynie tym, co wulgarnie nazywane bywa „nabijaniem się wzajemnie w butelkę“.

Sławetna „oś Rzym-Berlin“ nie była bynajmniej traktatem, ale dyktatem, który Niemcy hitlerowskie poddyktowały swym sprzymierzeńcom, mniejsza o to — Włochom czy Słowacji — a który na wypadek zwycięstwa miały szczerzy zamiar poddyktować i innym, pokonanym państwom. Siedem lat stosunków włosko-niemieckich wykazały siłę Niemiec i słabość Mussoliniego, który, z protegowanego stał się sam protegowanym, by wreszcie odegrać rolę biernego lennika.

Historia niemiecko-włoskich stosunków tuż przed wojną i podczas wojny, jak wynika z dokumentów norymberskich, zamknięta jest w dwóch okresleniach, z których jednym jest sławetny „Plan Otto“, a drugim — „Operation Alaric“ (Unternehmen Alarich).

„Plan Otto“ był codem dla inwazji niemieckiej na Austrię, oznaczając początek porozumienia między Hitlerem a Mussolinim na podstawie wzajemnych umów. „Alaric“ — był próbą — poprzez obsadzenie Sycylii — próbą rozpaczliwą, opanowania w ostatniej chwili chaosu wojennego i stworzenia silnego frontu przed naporem aliantów. „Operation Alaric“ był też pierwszym symptomem załamania „Osi“.

W przeciwnieństwie do „Planu Barbarossa“ (wyprawa przeciwko Rosji), — który tak dokładnie był przedstawiony przez oskarżycieli radzieckich przed Trybunałem norymberskim, że dzieje „wyprawy na Moskwę“ mogły być śledzone dzień po dniu — historia stosunków niemiecko-włoskich była po prostu zaniedbana, a zgrupowane materiały poszły do archiwów. Materiały, które — jeśli idzie o punkty zwrotne w stosunkach między obu dyktatorami, — są zarówno kompletne jak fascynujące i pełne wymowy. Najbardziej interesującym etapem tej polityki intryg i fałszu, bluffu i zakłamania z obu stron jest niewątpliwie próba Mussoliniego zrealizowania „drugiego Monachium“ w przededniu wybuchu drugiej wojny światowej. Jak wiadomo już, Mussolini dowiedział się o aneksji Austrii z gazet.

Jeśli chodzi o inwazję Czech, Mussolini był powiadomiony tylko ogólnie o planach niemieckich — Hitler przecież zapewniał go solennie, że nie ma zamiaru zaanektować choćby jednego Czechy — a Ribbentrop, człowiek, który inne narody traktował

jak drobne pieniądze, wzbraniał się, jak mógł, przed natarczywością ambasadora włoskiego w Berlinie, Attolico, który koniecznie chciał znać termin realizacji „Planu Grün“ (nazajd na Czechy). W końcu konferencja monachijska wybawiła Mussoliniego z prestiżowych i politycznych kłopotów. Gdy z nieuchronnością śnieżnej lawiny zbliżał się atak na Polskę, Hitler powtórzył swą grę, aczkolwiek tymczasem zawarł już alians wojskowy z Włochami.

Pakt ów podpisany został z należnym ceremoniałem 22 maja 1939 roku, a więc już po mowie min. Becka i po przemówieniu premiera Chamberlaina w Izbie Gmin w sprawie gwarancji dla Polski. Już następnego dnia, 23 maja 1939, odbył Hitler krótką konferencję ze swymi generałami na temat „Planu Weiss“ — napadu na Polskę, który zachował się w całości dzięki zapiskom i notom ówczesnego ppłk. Schmundta, adiutanta Hitlera. Hitler oznajmił zebrany wojskowy swą decyzję „napaści na Polskę przy pierwszej nadarzącej się okazji“, mówiąc: „Utrzymanie tajemnicy jest decydującym warunkiem zwycięstwa. Nasz plan winien być utrzymany w tajemnicy nawet wobec Japonii i Włoch“. Mussolini, uwierzywszy w czystość intencji Hitlera po aliansie majowym, spał spokojnie, wiedząc niewiele więcej od zwykłych czytelników porannych gazet. Dopiero w sierpniu Włosi wydają się być poważnie zaniepokojeni.

„Latem 1939 roku — pisze Ciano w swoim pamiętniku — zgłosili Niemcy swoje roszczenia do Polski, oczywiście bez porozumienia się z nami. Ribbentrop zaś starał się przekonać naszego ambasadora, że i tym razem konflikt nie będzie doprowadzony do ostateczności. Dementi to mało mnie przekonało. Dla spokoju własnego sumienia pojechałem 11 sierpnia 1939 roku do Salzburga. W swoim majątku ziemskim, Fuschl, poinformowałem mnie Ribbentrop zupełnie obojętnie, jakby chodziło o jakąś drobną sprawę natury administracyjnej, o decyzji wzniesienia pożaru. — A więc, Ribbentrop — zapytałem go, gdy spacerowaliśmy po ogrodzie — czego pan właściwie chce? Korytarza, czy Gdańska? — Przeszył mnie swymi zimnymi oczami: „Ani jedno, ani drugie. My chcemy wojny“.

Następnego dnia, 12 sierpnia 1939, Ciano w towarzystwie von Ribbentropa udał się do Berchtesgaden, gdzie spotkali się z Hitlerem na Obersalzberg. Tu nastąpiła ta historyczna już dziś rozmowa, która zadecydowała w przyszłości o przystąpieniu Włoch do wojny, chociaż była ona niepopularna w masach narodu włoskiego. Nie on wtedy decydował, ale histeryk, który skończył jak błążen i tchórz.

W aktach norymberskich znajduje się dokładny protokół tej konferencji Hitler-Ciano, gdzie wszystko było szczegółowo rozpatrywane i przedyskutowane. Przy pomocy licznych map i wykresów Hitler wyjaśnił hrabiemu Ciano powody, dla których ten a nie inny moment jest dogodny dla „Osi“ do rozpoczęcia konfliktu, który — jego zdaniem — powinien się najpierw ograniczyć do Polski. Włochy — to będzie zresztą ich zadaniem — mają kryć francuski front od strony Alp, a gdy zajdzie konieczność — trzymać i Jugosławię pod kontrolą; w rzeczywistości Włochy mało co ryzykują, nie powinny więc niczego się obawiać.

Ciano był prawdziwie zaskoczony. Protokół powiada, że dał on wyraz „wielkiemu zaskoczeniu Włoch tak całkowicie nieoczekiwaną powagą sytuacji“. Ciano twierdził, że, ani w Mediolanie, ani podczas jego wizyty w Berlinie, nikt nie robił mu nawet choćby aluzji do tego, że sprawa Polski jest aż tak poważna. Przeciwnie, Ribbentrop wyraził się nawet, że wedle jego mniemania sprawa Gdańska sama się z czasem ułoży. Na podstawie tych faktów Mussolini — którego przekonaniem było, że konflikt z zachodnimi demokracjami jest nieunikniony — przesunął swoje plany na termin o dwa-trzy lata późniejszy. Zresztą dopiero co „Duce“ odetchnął po aferze hiszpańskiej, która kosztowała go tyle „krwi

i zdrowia“. Wprawdzie, jak oświadczył swemu zięciowi, życzeniem jego jest, aby na wypadek nagłego konfliktu stanąć zaraz po stronie Niemiec, ale z różnych względów powita z radością przesunięcie terminu tego wielkiego zderzenia się dwóch bloków.

Ta część protokołu rozmowy na Obersalzberg jest bardzo interesująca. Pokazuje, jak Hitler postępował ze swym sprzymierzeńcem, któremu



Mussolini

tak wiele w początkach swej kariery zawdzięczał, ale stwierdza też, że w różnicach zdań między obu dyktatorami w przeddzień wojny nie chodziło o jakies względy natury politycznej lub cele wojenne, ale jedynie o czas i termin.

Mussolini wiedział bowiem doskonale, opierając się na raportach gen. Ambrosio i gen. Cavalero, że dopiero za dwa-trzy lata będzie mógł przystąpić do wojny, jeśli miałby w niej odegrać jakąś poważniejszą rolę. Hitler natomiast zdawał sobie sprawę, że dłużej już czekać nie może. Europa powoli rozumiała, czym mogą stać się wkrótce Niemcy, a sytuacja wewnętrzna Niemiec, a sytuacja wewnętrzna Niemiec wymagała również stale podniecających zastrzyków. Po raz pierwszy więc „oś“ wykazała drobne na pozór pęknięcie.

Jak czytamy dalej w cytowanym protokole, nastąpiła z kolei podniecona dyskusja na temat interwencji mocarstw zachodnich w razie napadu na Polskę. Hitler oświadczył, „że jest osobiście przekonany, że zachodnie demokracje koniec końców nie odważą się na czynne wystąpienie po stronie młodego alianta“. Ciano przedstawił wtedy Hitlerowi ciężkie położenie Włoch. „Od wojny abisyńskiej — powiedział Ciano zgodnie z tekstem protokołu — Włochy żyły stale w atmosferze wojennej. Kraj musi trochę odsapnąć“. Ciano podał cyfry, które miały zilustrować materialny wkład Włoch do wojny hiszpańskiej.

Luźki, jakie powstały w zapasach surowcowych, wymagają teraz czasu dla ich wypełnienia. Włoski przemysł wojenny, który leży w miejscu zbyt eksponowanym, musi być przeniesiony na południe. Artyleria, zwłaszcza działa zenitowe, wymagają koniecznie modernizacji. Granice morskie są niedostatecznie chronione, również sytuacja floty pozostawia wiele do życzenia. W tej chwili mogą Włochy przeciwstawić dwunastu liniowcom aliantów jedynie dwa, za kilka lat dopiero będą mogły cyfrę tę podnieść do ośmiu lub więcej okrętów bojowych. Beznadziejnie przedstawia się również sytuacja w koloniach. Włosi nie mają tam ani wystarczającej ilości wojsk, ani nowoczesnych umocnień na granicy kolonii francuskich. Abisynia jest wprawdzie spacyfikowana, ale tylko powierzchownie. Propaganda i pieniądze brytyjskie znów wywołują niepokój wśród tubylców. Na wypadek wojny, kilka samolotów z ulotkami o powrocie Negusa wystarczy, aby pół miliona Abisyńczyków chwyciło znów za broń. Losy tej kolonii i mieszkających tam Włochów będą przesądzone. Albania jeszcze nie dojrzała do operacji przeciwko Balkanom. Na gruncie gospodarczym Włochy mają plany autarkiczne, które wymagają jednakowoż czasu. Wtedy

dopiero będą dojrzałe do wojny, na jaką się zanosi. Kwestia repatriacji Włochów np. z Francji ma też tu swoje znaczenie. Moment rozpoczęcia wojny należy przesunąć o kilka lat, ponieważ Mussolini daleko posunął już przygotowania do otwarcia wystawy światowej w Rzymie na rok 1942, po której spodziewa się korzystnych wyników gospodarczych, a przede wszystkim dopływu dewiz, tak cennych właśnie dla przygotowań wojennych...

Zdaniem Ciano również ogólna sytuacja polityczna nie jest zbyt przychylna intencjom Hitlera. „Polityka okrażania“, jaką stosują mocarstwa zachodnie, może w początkowej swej fazie przynieść pewne sukcesy aliancom. Z czasem jednak wyjdą na jaw różnice, jakie niewątpliwie w zachodnim bloku istnieją i istnieć muszą. Wtedy łatwiej będzie „Osi“ przejść do politycznej ofensywy i przerwać jedność demokracji. Francja i Anglia nie „wyrzymają“ wojny nerwów“ na długą metę. Czas pracuje na rzecz „Osi“ — powiedział Mussolini hrabiemu Ciano. Przez polityczną penetrację może „Oś“ tak urobić zachodnie społeczeństwa, że popadną one w złąbą dla siebie dezorientację i walki wewnętrzne. Dlatego znacznie mądrzej będzie, jeśli teraz „Oś“ zademonstruje światu swe intencje pokojowe bądź przez wspólną deklarację obu wodzów, bądź też przez specjalny komunikat, który Ciano właśnie opracował i przekazał Ribbentropowi.

Ciano przedłożył Hitlerowi propozycję zwołania międzynarodowej konferencji, co w rodzaju drugiego Monachium, którą zresztą „Führer“ natychmiast odrzucił pod pretekstem, że wtedy również Rosja, Polska i Hiszpania będą musiały być zaproszone, co w konsekwencji pociągnie za sobą przegłosowanie „Osi“. Wysłannik Włoch powrócił więc znów do koncepcji „pokojowego gestu“, który wbije na pewno klin między aliantów, gotowych zawsze raczej do rokowań niż działań wojennych. Polska osamotniona będzie bardziej uległa i elastyczniejsza w rokowaniach.

Gdy Włoch stara się za wszelką cenę ratować, gdyż wie, że wojna jest końcem faszystowskiej Italii, kolosa na glinianych nogach, Hitler robi wszystko, aby przekonać hr. Ciano, że mało go interesują już tzw. rozsądne rozwiązania, że pragnie wojny i to jak najspieszniej. Ciano nie pozostaje wobec tego tuż nie innego, jak tylko ustalić termin światowej awantury. Czternaście dni przygotowań i miesiąc dla likwidacji — pada odpowiedź na Obersalzbergu, w drugim dniu narad. Ze względu na pogodę usralono, że „ostateczny termin rozpoczęcia akcji „Weiss“ przypadnie na koniec sierpnia“. To jedne ostatecznie ustalono. Ciano zaraz po tym wyjechał.

Dowiedziawszy się, co zaszło w Berchtesgaden, Mussolini chciał ratować przynajmniej własną skórę. Mimo sprzeciwu Hitlera co do zwołania nowej konferencji międzynarodowej, „Duce“ nie poniechał tej myśli. Chciał powtórzyć Monachium i załatwić problem Polski tak, jak w 1938 r. załatwiono kwestię czeska. Z graca politycznego stął się kręta-

czem, który pierwszy w Europie za wołał: „Polska jest skończona!“.

Brytyjska „Biała Księga“ i francuska „Żółta Księga“ oraz pamiętniki ambasadora Francji w Berlinie, François Poncet, opisują dokładnie przebieg interwencji, jakie hr. Ciano przedsięwziął w Londynie, Paryżu i Berlinie w dniach od 31 sierpnia do 2 września 1939 roku, celem zwołania takiej konferencji w dniu 5 września. Również w aktach norymberskich znajdujemy ślady tych włoskich zabiegów: wymianę listów między Hitlerem a Mussolinim.

Ale najciekawszym dokumentem tych czasów jest ściśle tajna, szyfrowana depeza, jaką wysłał 3 września o godz. 2.50 niemiecki podsekretarz stanu w Auswärtigesamt Woermann do niemieckiego ambasadora w Rzymie von Mackensena. Telegram ten jest dowodem wielkiego kłamstwa Mussoliniego, kłamstwa, które popełnił w rozpacz, chcąc kosztem Polski ratować Włochy przed wojną. Czytamy tu: „Ambasador Attolico podał do wiadomości Führera i min. spraw zagranicznych Rzeszy następujące propozycje Mussoliniego: Włochy podają, oczywiście do uznania Hitlera, że w dalszym ciągu istnieją jeszcze możliwości zwołania konferencji z Francją, Anglią i Polską na zasadach następujących: 1. Zawieszenia broni, które przewiduje zatrzymanie się jednostek wojskowych na zajętych terytoriach i liniach, 2. zwołania konferencji w ciągu dwóch — trzech dni, 3. przedłożenia konfliktu polsko-niemieckiego, który w tej sytuacji na pewno wypadnie po myśli Niemiec. Ta pochodząca od Duce idea ma rzeczywiście poparcie Francji. Gdańsk jest już niemiecki, a Niemcy mają w rękę realne gwarancje także i w innych swych roszczeniach. Poza tym Niemcy otrzymają na pewno i moralne zadośćuczynienie. Jeśli koncepcja konferencji zostanie przyjęta, Niemcy osiągną wszystkie swoje cele, a jednocześnie zapobiegną wojnie, która już teraz nosi znamiona naciągającej, długiej wojny światowej. Mussolini nie nalega, ale prosi bardzo, aby to wszystko zostało przekazane Führerowi i Ribbentropowi. Ambasadorowi włoskiemu obiecano odpowiedź jeszcze na dziś. Podpisano Woermann“.

Dokument nie podaje dokładnie daty przyjęcia tej depezy w Berlinie, ale połączenie między Berlinem i Rzymem było doskonałe, można więc przypuszczać, że depeza ta została wysłana z Rzymu najpóźniej w nocnych godzinach 2 września. W każdym razie po godz. 9 wieczór, a więc po rozmowie telefonicznej między Ciano a ministrem spraw zagranicznych Francji Bonnetem. Aby ratować sytuację, nie ważyła się Mussolini skłamać Hitlerowi kilka zasadniczych faktów. Przede wszystkim podaje do wiadomości Niemiec, że wojska ich mogą się zatrzymać na linii marszu, podczas gdy Francja i Anglia wcale na to się nie zgodziły, przeciwnie, Bonnet i lord Halifax jako conditio sine qua non żądają właśnie ewakuowania polskich terenów przez wojska niemieckie, jeśli rozmowy w ogóle mają dojść do skutku. Ciano o tym wiedział, ale Mussolini kłamał. W czasie, kiedy



Edmund Zdanowski

Polski

*) Fragment większej całości pt. „Hitler i generowanie“, oparty na dokumentach norymberskich, które nie zostały dopuszczone przed Trybunał oraz na pracy dokumentacyjnej pt. „The Nuremberg Documents — Some Aspects of German War Policy 1937—45“, pod redakcją Petera de Mendelssohna, Londyn, Allen & Unwin.

wiedział doskonale, już choćby z ust Bonnetta, że Francja w ogóle nie miała chęci na podobny kompromis, Mussolini opowiada Hitlerowi, że „jego idea ma poparcie Francji”. Manewr rzymskiego dyktatora był jasny. Chce pozyskać zgodę Hitlera, choćby i kosztem kłamstwa, licząc się widocznie z tym, że jeśli Hitler się zgodzi, postara się już jakoś nakłonić aliantów zachodnich do dalszych ustępstw.

Oceniając fałszywie intencje zachodnich sojuszników, Mussolini nie rozumiał zupełnie zamierzeń Hitlera. Albo nie rozumiał, że gra nie szła już o Gdańsk, albo świadomie ignorował rzeczywistość wrześniową Ribbentrop przedstawił już 11 sierpnia niemiecką tezę z całą otwartością, na jaką stać było tego komiwojażera hitlerysty. Czy sądził więc jeszcze ciągle, że Hitlerowi chodziło jedynie o „moralne zadośćuczynienie”? Trudno w to uwierzyć po tym, co Hitler oświadczył bez ogródek hr. Ciano na Obersalzbergu. Dlaczego więc do ostatniej chwili szermuje tym wświechtanym już argumentem?

Jasne jest, że przestraszył się tego wszystkiego, co zaczynało się przybliżać. Jego najgorsze obawy przybrały realne kształty. Zrozumiał — czego trudno mu odmówić — że wojna lokalna przeobraża się z godziny na godzinę w burzę światową, przed którą nie zostanie się państwem włoskie. Jednakże nie zdobył się na akt ostatecznej odwagi. Jeśli młody Ciano mógł telefonicznie porozumiewać się z Bonnettem i Halifaxem, czemu ten „tytan słów i gestów” nie zrobił tak prostej rzeczy, jak podnieść słuchawkę i przywołać do niej Hitlera? Po prostu miał „pietra” przed swym sojusznikiem. Zabrakło mu odwagi cywilnej, o której tyle zawsze mówił, kiedy jej nie potrzebował. Nie zabrakło mu jej natomiast, kiedy pod urokiem zwycięstw Hitlera i kłęski francuskiej wyszedł na balkon Palazzo Venezia, aby 10 czerwca 1940 roku ogłosić wojnę przeciw kojącej Francji.

Hitler zbyt dobrze znał swego partnera, aby mu w czymkolwiek zaufać. Historia wojny wykazała, jak Niemcy obeszlą się z Włochami, którzy w rozmowach między sobą nazywali po prostu „makaroniarzami”, na co skarżył się w swych pamiętnikach Ciano, cytując tajne rozmowy między Kesselringiem a OKW w sprawie okupacji Włoch.

Na propozycję konferencji w dniu 5 września Hitler odpowiedział odmownie własnoręcznym listem do Mussoliniego. Pisze w nim, że nie ma zaufania do tego rodzaju konferencji, zwłaszcza jeśli chodzi o Anglię. Odkładanie wojny do niczego nie doprowadzi, chyba do lepszego uzbrojenia przeciwników, których potem będzie znacznie trudniej pokonać. Krew, którą już przelali żołnierze niemieccy, nie może się przemienić w słowa i papierki. „Wierzę — pisze pod koniec swej epistoły Hitler — że jeśli nawet drogi nasze chwilowo się rozchodzą, pod koniec los znowu nas zwiąże. Gdyby narodowo-socjalistyczne Niemcy zostały kiedykolwiek rozgromione przez zachodnie demokracje, wtedy i faszystowska Italia będzie miała ciężką przyszłość...”. List ten miał uzmysłwić Mussolinemu, że, czy chce, czy nie chce, musi iść dalej razem z Niemcami, chyba że...

Ale na to nie zdobył się Mussolini. Wojna potoczyła się dalej. Niemcy szli „na całego”. Prowokacja gliwicka, ujawniona w całej swej brutalności na procesie norymberskim, była przedsmakiem tego, czego później dożył świat. Przebrani w polskie mundury niemieccy więźniowie z obozów koncentracyjnych, którym obiecano wolność, napadli na radiostację w Gliwicach, dając pretekst do wypowiedzenia wojny. SD-mann Alfred Hellmut Naujoks otrzymuje od kaptana Czech, generała SS Reinholda Heydricha, hasło „Konservenbüchse” („Puszka konserw”), które oznacza napad na Gliwice 31 sierpnia 1939 roku. Tak zaczęła się wojna z Polską...

Władze radzieckie opublikowały niedawno ciekawy dokument, będący przyczynkiem do dziejów tej agresji. Jest to kartka z pamiętnika Himmlera z jego własnoręcznym podpisem. Pod datą: „Poniedziałek, 28 sierpnia, 1939” czytamy dosłownie: „Po przyjeździe ambasadora Hendersona do Führera o godz. 22.30 i po jego odejściu o godz. 23.45 z kancelarii Rzeszy poszliśmy: Goering,

Hess, Bodenschatz i ja do Hitlera, do ogrodu zimowego. Führer był w towarzystwie Ribbentropa. Opowiedział on nam treść angielskiej propozycji, która ujęta była w bardzo uprzejmą formę, ale nie zawierała nic realnie uchwytne. Był na ogół w bardzo dobrym humorze i naśladował w sposób trudny do powtórzenia, co Henderson mówił po niemiecku z angielskim akcentem. Führer mówił następnie o tym, że teraz należało by do Anglików, względnie do Polaków, wystosować pismo, które by było majstersztykiem dyplomacji. Chciał nad tym w nocy pomyśleć; najjaśniejsze pomysły przychodziły mu nad ranem, między 5 a 6 godziną. Na to zapytał go Goering: „Mój Boże, więc pan wtedy jeszcze nie śpi, czy już

znowu nie śpi?” na co Führer odpowiedział, że sypia często od 3 do 4 godzin, potem nagle się budzi i wtedy ma problemy jasno przed oczami. Wstaje więc, zapisuje ołówkiem ważniejsze punkty. Sam nie wie, jak się to dzieje, ale w tych rannych godzinach upada wyraźnie wszystko, co mogłoby działać hamująco. Berlin, 29. 8. 1939. H. Himmler”.

Drukując ten fragment z notatnika największego mordercy, gazeta berlińska „Neues Deutschland”, organ Wilhelma Piecka i Ottona Grotewohla, opatruje go następującym komentarzem: „Miliony ludzi miały w tych godzinach z końca sierpnia nadzieję, że pertraktacje innych mocarstw z Hitlerem mogą zapobiec grożącej wojnie. W tych zaś godzi-

nach spotkała się zgraja zbójcka u Hitlera, aby ujrzyć małpowanie propozycji Hendersona, „którą Hitler, w dobrym humorze, w sposób trudny do powtórzenia odtworzył”. W dobrym humorze wtrącili świat w morze krwi i łez. Kartka z pamiętnika Himmlera starczy za tomy”.

Bo ani naród niemiecki, ani Mussolini nie rozumieli Hitlera.

Jeden człowiek rozumiał go dobrze, a był nim generał Alfred Jodl, oskarżony norymberski, który w swym dzienniku połowym pisał wtedy:

„22 sierpnia 1939. Hitler wygłosił do nas podniecające przemówienie. Kazał mordować i palić, zniszczyć Polskę. Po mowie radość była niezwykła. Goering tańczył na stole...”

Marian Podkowiński

TADEUSZ BREZA

Zółwiowe wycieczki

Warszawa, 1943

W czwartym roku wojny, na wiosnę, kiedy nareszcie zrobiło się ciepło, musiał w końcu ktoś nam powiedzieć, że na ulicach Warszawy ludzie sprzedają zółwie; ale nie pamiętam kto! Człowiek nie był wtedy chętny do chodzenia; więc ja, ponieważ mogłem, odkładałem wyjście, i to tak długo, że pierwszy zółw, którego zobaczyłem, do mnie zdążył, a nie ja do niego. Przez okno, gdzie wśród pojazdów natychmiast odróżniałem tylko dwa rodzaje, bliżej mnie obchodzące (czerwone, pocztowe budki, które czasem stawały przed naszym domem, aby ze swego wnętrza dać ujście listonoszowi przynoszącemu zagraniczną paczkę, no i — buddy zielone), zobaczyłem niebieską riksę. W niej sąsiadów z naszego domu, trzymających przed sobą jakąś ciemną rzecz; zwiślała ona im z rąk, które mieli wyciągnięte przed siebie z pewnym obrzydzeniem, choć wyraz ich twarzy był jawnie troskliwy. Zanim zdążyłem na dół, już zółwia położono na chodnik, zresztą przyjąłem to na wiare, ponieważ doszczętnie zakrywały go dzieci. Bliższe siedziały nad zółwiami w kucki, dzieci dalsze, które przybiegły z sąsiednich domów, stały tak mocno wychylone wprzód, że wszystkie, razem z naprzeciwległymi dziećmi, tworzyły łuki, dotykając się głowami, żeby nie upaść. Chciałem już odejść, kiedy zobaczyłem, że spod jednego dziecka wyrusza zółw swoim wieczystym krokiem powolnego marzyciela czy lunatyka.

— Cożek! — wyszeptał z czułością synek dozorcy.

— Nie, to nie jest taki małytki cożek — wyjaśniała nasza sąsiadka. — To jest zwierzątko.

Dzieci wszczęły jeszcze raz przypatrywanie się pod tym nowym kątem. Jedno się położyło, zaglądając od dołu. Drugie pogładziło czerep z delikatnością. Zółw w siebie się cofnął. — O, zjadł się! — wykrzyknęły z przejęciem.

Tymczasem im bliżej miasta, tym od zółwi było gęściej. Coraz to na jakimś rogu ulicy stał człowiek, który je sprzedawał. Miał ich najwyżej po cztery, po pięć, ułożonych na chodniku, z którego schodziły, a on je monotonnie ścigał z jezdni ruchami obliczonymi, żeby się nie za często schylać. Za każdym odejściem więc zółw wydalal się może na jakiś metr, wtedy zostawał przez człowieka nawracany do nogi, i z miejsca zaczynał swoje, od razu z tej samej łapy, na której przerwał i którą cały czas w powietrzu trzymał jak gdyby już wyciągniętą do chodu.

Tylko ceny ich skakały! Na początku zółw był po dwadzieścia złotych i to żądanych nieśmiało. Przypadek, który je sprowadził do Warszawy, jakby sam nie wierzył, że dobrze trafił. A tymczasem całe miasto zdawało się od całych miesięcy czekać tylko na to. Kto miał więcej pieniędzy niż na głód, wypadał na ulicę po zółwia. Toteż już po tygodniu doszły one do stu złotych za łeb.

Kiedy się było kogo pytać, po co mu zółw, odpowiadał z jakąś mieszaniną wstydlivosti, lenistwa i rozmarzenia. I odpowiadał byle co. Kto miał dzieci, mówił, że to dla dzieci, własnych, albo u krewnych, albo u znajomych. Ale masa osób kupowała sobie zółwie w ogóle nie znając, nawet z widzenia, żadnego określonego dziecka. — „Więc na co panu?” — „Jak będę jechał na lato, to z sobą zabiorę!” — i taka bywała od-

powiedź. A ktoś, kto nie mógł się ruszyć z miejsca, powiadał z westchnieniem: „Wypuści się to na taras, i będzie sobie chodził”. — Ktoś inny z zarumienieniem powiedział mi, że kupił zółwia, bo to ma być dobre na myszy. Ale to może już raczej była koncepcja sprzedawcy.

Różne dając przeznaczenie zwierzęciu, każdy kto je kupował, wracał z nim jednakowo niezgrabny jak ono samo. Jak nieświadomiony młodzieniaszek po weselu, znalazłszy się z zółwem w domu, nikt nie wiedział co dalej. Przypominały się ludziom z zoologii jakieś rządy i szczeble. Węże, ryby, płazy, gady. „Najlepiej będzie zadzwonić do Żabińskiego!” — coraz to ktoś wpadał na ten sam pomysł. Nie dla jakichś skojarzeń z nazwiskiem, ale dlatego, że dr Żabiński był ostatnio dyrektorem Ogrodu Zoologicznego. Doktor z samej grzeczności i z troski o stworzenia wyjaśniał: — Zółwie miały mieć ciepło. Stół wegetariański, Letnia kąpiel w odstępach raz na dwa tygodnie. — „Czy od daty kupna, czy można wcześniej?”

„Kropelka mleka i sałaty listek, oto mój posiłek całodzienny wszystkim!” — każdy to sobie teraz z dawnego przypominał, nie pamiętając sam, czy to z jakiego wiersza, czy z żarciku. I o domu — „prawda, że nie wspaniałym, ale za to własnym”. I o tym, że „przyjść mogą jeszcze przewroty olbrzymie! Kozicki będzie w Kozie, a Rzymowski w Rzymie”. I o Piłsudskim obżalowywanym przez posła Marka, że siedzi w Sulejówku, zamknięty „jak w skorupie”. I odpowiedź na to marszałkowską, do rymu.

A przyrodnicy? Ci zdają sprawę z gatunków. Jedne są na przykład

z Galapagos, olbrzymie, wielkości kopicy siana, inne wodne, które polują na rybki, szeroko otworzywszy paszczę, mając na dolnym łożu mały, wijący się, kręty wyrostek, takiego robaczka na niby. — „A te nasze to skąd są?” — „Z Grecji!”

Ale po co? Tego nie wiedział nikt! Żaden naturalista, żaden ekonomista, żaden polityk. Czy to na jakiś przydział, czy to na hodowlę, czy z transportu do fabryki? Ale jakiej i czego? Co się z zółwi wyrabia, jeżeli ma się takie? Może jakiś klej, może rodzaj ekstraktu. Ale do czego się go używa? Dlaczego się wzięły akuratnie w Warszawie. Jedni powiadają, że wagony z nimi szły na wschód, inni że do Niemiec, i że tu je rozbito. A może to pierwsza jaskółka i zaledwie fragment kolosalnego planu jakichś zoologicznych przemieszczeń w całej Europie? Jakiś znowu ich nowy zwierzęcy ład. Nam przypadły zółwie. Wśród zwierząt naród taki powolny!

Ktoś zorientowany w naukach przyrodniczych powiada mi: „W naszym klimacie mogą one najwyżej wytrzymać do roku. U siebie w Grecji żyją do trzystu lat. Próba przesiedlenia ich w nasze warunki robi im wyjątkowo dużą różnicę!” — Ba! — powiadam sobie. Dwieście dziewięćdziesiąt lat! Ciekawe, na co im potrzeba tyle tego czasu? Na chód, na każde posunięcie, na każdy odruch! Wszystko u nich trwa godzinami. Próbuje jednego zółwia leciutko podrapać u nasady głowy, jak kota; może mu się to spodoba? Nie wiadomo. Łebkiem ani drgnie. Więc w każdym razie nie wzbudziłem w nim strachu, boby go cofnął. Lewa łapa leży na podłodze jak leżała, prawa przez minutę posunęła się o włos. Ja drapię pod szyją dalej. Łapa się troszkę uniosła. Dogadzam mu? Chyba! Czort go wie! Minuty upływają. Nóżka obesła mój palec i teraz wyczuwam jej parcie, rozłożone z doskonałą jednostajnością. Więc tak! Nie chciał moich karesów od samego początku. Od pięciu minut! Gdyby miał na to mowę, ciekaw jestem, co by o dzisiejszym zdarzeniu opowiedział drugiemu. — „A ja na tę ludzką konfidencję zaregowałem od razu. I jak się nie odmachne!” — tak by się może wyraził! O naszym świecie mówiąc jako o świecie błyskawic.

Sam z jakiegoś przedświata! Z tych praepok, kiedy jeszcze czas nie okrępił, a istniało tylko trwanie. Kiedy to na każdą zmianę potrzeba było miliona lat, i tyle samo na każde ulepszenie. Dziesiątki tysięcy wieków ledwie wystarczało na to, aby się jakiś gatunek przystosował, albo na to, żeby go wytracił, jeżeli naturze przestał odpowiadać. Dzisiaj się takie rzeczy robi od ręki! Zółwi Śmieszny symbol czasów rozkręcających każdą sprawę miliardami lat, paradyta tempa wiaściwego ewolucji, paznokietek oderwany od swej olbrzymiej dala, który ożył, słamazarny i ogłuszony jak chłopek polecki przeniesiony raptownie do nowoczesnej metropolii. Fałdy na jego podgardlu upięte jeszcze modą mezozoiczną, syk z czasu pierwszych prób udźwiękowania natury, styl pływacki urobiony za potopu. We wszystkim świat poszedł naprzód. Zółw został!

Ten kupiony przez sąsiadów od następnego dnia ma w naszym domu kolegów. Zachodzę do naszej administratorki i widzę, że razem z całą rodziną pani siedzi na ziemi. „O zna czy, że w domu jest zółw! I jak to on! Zdąży w obranym kierunku, z uporem, jak nakręcony, po sto razy odchodzi od nas, sprowadzany na środek dywanu, a kiedy wreszcie go puścić — patrzcie! — miał tylko zamiar przytknąć się do nogi od biurka albo do ściany przy oknie i już się więcej nie ruszać. Pragnieniem ludzi jest we wszystkim zółwiom dogodzić, każdy więc próbuje, gdzie myśli, że im będzie dobrze; na kanapie, pod poduszką, za walkiem, za drzewem w kuchni, na kolanach.

O ludziach, których widuję na ulicy z pęczkiem sałaty w palcach jak z bukietkiem, wiem od razu, że idą do zółwia. — „Tak pan koło swoje go chodzi!” — uśmiecham się do kogoś, o kim wiem, że to człowiek oschły. — Odpowiada mi: „One są z daleka, to nie są nasze!” — Czy więc dlatego występują u ludzi te wszystkie względy, że zwierzę jest obce i z podróży? Taką myśl zdają się potwierdzać różne podobne we-

PAUL CLAUDEL

BALLADA

Kupcy z Tyru i ci, co do swego zajęcia na wielkich fantazjach mechanicznych po wodzie wyruszają,
Ci, którym skrzydła mewy towarzyszą zamiast białej chustki, gdy już ręka, co ruszała nią znika,
Ci, co odjechali na zawsze i nie dotrą do żadnego kraju,
Ci, którym nie dość winnicy i pola, lecz pan domu ma osobny pogląd na Amerykę,
Kto raz dotknął kubka ustami nie prędko go odrzuci,
Owych zjadaczy przestrzeni — morze samo czy też nasyci?
Choć można usiłować, trudno z tym będzie dojść do końca:
Bo tylko łyk pierwszy się liczy.

Marynarze storpedowanych okrętów, których imię znajdziesz w statystykach.
Załogi rannej łodzi podwodnej i wątlých rybackich barek,
Garnizon uchodzącego zgnąta ku brzegom pancernika,
I ci, co z transportowców w porcie wylądowują w zamęcie łowary,
Tych wszystkich obowiązek ołacza ściśle jak okrągły widnokrąg.
Morze, co wyszło naprzeciw, samo im drogę wyłyczy.
Więc tylko ulec należy i wargi odemknąć szeroko:
Łyk pierwszy jedynie się liczy.

O czym mówili podróżni wielkich transatlantyków
W noc przed ostatnim świtem, gdy „giniemy” rzekł telegraf bez drutu,
Z trzeciej klasy z dołu, gdzie emigranci, szła przyćmiona muzyka,
A morze wytrwale opadało i wznosiło się za morzem kajuty.
„Na cóż zachować serce przy tym, od czego odchodzisz,
„Gdy wiesz, że umarło życie, czy będziesz go znów sobie życzył?
„Słodko odzyskać, co kochasz, ale zapomnieć jest słodziej:
„Łyk pierwszy jedynie się liczy”.

Postanie:

Nic, tylko morze dokoła, to ścieka, to znów się spieprza!
I dni, co kąpią kroplami i w sercu cierni ustawicznymi
Nic tylko morze trwające, ciągle i my w jego wnętrzu!
Tylko łyk pierwszy się liczy.

przełożyła Anna Świrszczyńska

stchnienia: „I pomyśleć, że to stworzenie przybyło aż z Grecji!” — Taką struną brzmia ich wzruszenie, ale to nie jedyna dotknięta w żółwiowcach. „Powinno się te wszystkie żółwie z ulicy wykupić przed zimą, bo pomarzną!” — Albo: „Kupiłem, bo cóż! Jak on tam ma u takiego, co go sprzedaje!”

Ale nie tutaj jeszcze kres litości! Kupić! Owszem! Ale potem rzecz w tym, żeby się z swoim w domu samemu dobrze obchodzić! — „To są niesłychane rzeczy. Schodź mi w tej chwili!” — słyszę z okna głos naszej sąsiadki niesłychanie podniecony. To przemowa do jakiegoś dziecka w ogrodzie, które stanęło żółwiowi na skorupie. Odwiedzam jednego z przyjaciół. — „A gdzie twój żółw?” — pytam. — „Gdzieś się tutaj podziewa między meblami. Nie mam czasu go znaleźć. Ale po sałacie wychodzi na pokój”. — Nagle na ulicy wybucha strzelanina. Mieszkanie jest na pierwszym piętrze, padamy na ziemię. Przyjaciół powiada: „O, to teraz go poszukamy!”

O naszym dozorczy słyszę, że się dom na nim zawiodł. Ktoś swego żółwia mu zawierzył, a on z posyłką poszedł na miasto, i zwierzę zostawił przewrócone na plecy. — „A to dla żółwia śmierć!” — „Ale potem przyszedł, żółwia odwrócił na łapy i żółw żyje” — uprzytamniam. — „Ale co się najadł strachu! Co się namęczył!” — Widzę zbiegowisko na ulicy, z balkonu na górnym piętrze spadł żółw, pękł mu przez pół jego bunkier, pokazała się krew. Zbiegły dzieci, które go nie dopilnowały, za nimi matka. Głosy ludzi przeciw niej stają się coraz bardziej ostre i gwałtowne. Patrzę, że krew stworzenia jest czerwona jak ludzka, ale gdyby to była krew ludzka, czyby tu znalazł się ktoś, kto by śmiał tak głośno uragać?

Innym razem ktoś się przy mnie irytuje na człowieka za to, że opowiadał, jak się przyrządza zupę żółwiową. — „Ze ponieważ żółw ma mięśnie, którymi ściga obie pokrywy jak ze stali, więc zwykle kucharki biorą się do nich w następujący sposób: — trzymają żółwia nad ogniem, aż żółw wysunie łeb, ogon i łapy i te się ucina — słyszane rzeczy! Jakże można ludziom podobne okrucieństwa opowiadać!” — Mój interlokutor aż kipi z oburzenia i powtarza raz za razem: — „Toż to sposób z piekła rodem!” — Albo i nie z piekła! — myślę sobie. Mówię: „Może powtórzył to z jakiego przepisu?” — „Wszystko jedno, to nie są rzeczy na dzisiejsze nerwy!” — Uśmiecham się. — „Pan się śmieje? A ja mówię panu, że teraz doszedłem do tego, że nie mogę wziąć do ręki żadnej takiej książki, gdzie występuje krew: ani historycznej ani wojennej, ani medycznej, ani kucharskiej!” — Znam tego człowieka! Jeszcze sprzed wojny! To nie jest człowiek tkliwy. Ale jest jak tyłu innych dzisiaj, boi się swojej litości, strach mu przed tym, co mu może przynieść własna gościnność, serce ma zawsze po wewnętrznej stronie łańcucha od swoich drzwi, a tymczasem wszystkie uczucia, których się musi strzec, wymknęły mu się spod straży i idą za nim, tyle że żółwim krokiem!

Ale Warszawa nie tylko gości i wzrusza się żółwiami. Śmieje się z nich też. Przez pewien czas krąży o nich masa żartów. Że to one same uciekły z wagonów. Że dowódca niemiecki w Grecji przestraszył się o swoje wojsko, kiedy przeczytał, że raz pewnego zdarzył się wypadek śmierci z powodu żółwia, którego na głowę Ajschylosa wypuścił orzeł; uznał więc, że żółwie mogą być dla jego armii zagrożeniem i na swoim terenie ich zakazał. Że one się z Anglikami założyły, kto pierwszy będzie w Warszawie!

Są! Patrzę z żoną, jak — nie! nie mogę powiedzieć ani: idzie, ani: wlecz się, ani: rusza, tylko — jest! Nie-ruchomym ruchem, bo jednak po pewnym czasie znajduje się gdzie indziej niż był, choć w każdej chwili z osobna ani drgnął. A może właśnie teraz przestał? Nigdy nie wie się na pewno, kiedy on się posuwa, a kiedy nie. Może tak całymi godzinami zwodzić wzrok i cierpliwość. — „Nie! Nie! — naraz zwraca się do mnie z błaganiem żona. — Jednak go zabierz z domu. Ja nie mam do niego zdrowia. Ta wojna tak trwa!”

Tadeusz Breza

STEFAN PAPÉE

Zapomniane źródło „Krzyżaków”

Kiedy w Bibliotece Jagiellońskiej zamówiłem w wypożyczalni „Krzyżaków” Kraszewskiego, zwrócono mi uprzejmie uwagę, że autorem takiej powieści jest Sienkiewicz. O tym, że Józef Ignacy Kraszewski jest również autorem powieści pod takim samym tytułem, nie pamiętała bibliotekarka, zapomnieli o tym również krytycy „Krzyżaków” Sienkiewicza. Nie spotkałem się bowiem nigdzie nawet w wzmianką, że mamy na ten sam temat dwie polskie powieści i to tak samo nazwane.

Kraszewski dał swemu dziełu dłuższy tytuł: „Krzyżacy. 1410. Obrazy z przeszłości”. Rzecz wyszła w 1882 w Warszawie, nakładem Gebethnera i Wolffa. Nie należała ona do głośnego cyklu powieści historycznych, rozpoczętego w 1876 r. „Starą baśnią”, a zakończonego „Saskimi ostatkami” w 1890. Może to przyczyniło się do małego rozgłosu „Krzyżaków”.

Powieść rozpoczyna się opisem Malborka, do którego pielgrzymuje stary ksiądz Jan z Zaboru, ze Śląska. Tam wzięto go za szpiega, bo czas był wojenny i obawiano się podróży z Polski. Dopiero świadectwo jednego z bractw szpitalnych, rodem też ze Śląska, oraz powołanie się przez księdza na siostrę z Torunia, wierną służkę Zakonu, uratowało oskarżonego o szpiegostwo od tortur i zguby. Podskarbi Thome von Merheim, niecny intrygant, zdolny popełnić dla dobra Zakonu najpodlejszą nawet zbrodnię, planuje wstrzymanie pochodu wojennego Jagiellów przez rzućenie potwarzy na żonę jego Anny Cylijską. Do tej intrygi potrzebna mu właśnie mieszkanka z Torunia, wdowa Noskowa, siostra księdza Jana. Uwolniony z pęt ksiądz Jan ma więc ją dowieźć do dworu księżny Aleksandry Mazowieckiej, sprzyjającej Zakonowi. Z Noskową zabiera się w podróż piękna jej córka Ofka, całą duszą oddana Krzyżakom. Z niej pragnąłby Merheim uczynić Judytę krzyżacką, która zgładziłaby Holofernesa Jagiellę. Dzięki temu nowemu planowi Anna Cylijska wychodzi z ho-

norem, niebezpieczeństwo natomiast zagraża bezpośrednio samemu królowi. Ofka zapala się do roli Judyty. Dociera z matką do dworu księżny mazowieckiej, a gdy wojska polskie, ciągnące przeciw Krzyżakom, podejmowane są przez księżnę Aleksandrę, stara się oczarować Jagiellę. Gdy pochód wojenny rusza dalej, Ofka ucieka od matki i w przebraniu, jako rzekomy Teoderek Nosek z Zaboru, wkręca się naprzód do pocztu pana Andrzeja z Brochocina, a potem nawet do grona giermków królewskich, sprytnie pełniąc służbę szpiega Zakonu. Jest więc świadkiem zdobycia Dąbrowna, potem przebiegu bitwy pod Grunwaldem i pierwszą przedziela się do Malborka z wieścią o pogromie. Judytą nie została, bo w ostatnim momencie jej zbrodnicze plany pokrzyżował ksiądz Jan, wraca więc do Torunia, już zajętego przez Polaków i mści się przynajmniej jako trucicielka, zadając potajemnie śmierć dwóm znacznym rycerzom. Wreszcie ucieka do Elbląga i zostaje tam siostrą zakonną.

Główny wątek powieści jest więc dość sensacyjny, może nawet zbyt sensacyjny jak na początek XV wieku. Kobieta — szpieg, kobieta — trucicielka. Nawet Sienkiewicz nie przewidział tak niezwykłej anegdoty dla swych „Krzyżaków”.

Natomiast znalazł w powieści Kraszewskiego wiele szczegółów i epizodów, zasługujących na pamięć. Podobna jest w obu powieściach charakterystyka postaci historycznych, zwłaszcza Jagiellów, Witolda i wielkiego mistrza Zakonu. Powtarzają się niektóre sceny, np. Tatarzy sami siebie wieszający, byle srogi książę bardzo się nie pogniwał, wróżby na niebie przed bitwą, opis Malborka oglądanego oczyma Ślązaka Jana, czy Maćka itd. Niejeden szczegół do opisu samej bitwy pod Grunwaldem, a zwłaszcza bitwy pod Koronowem, nakreślonej potem przez Sienkiewicza, jakby na marginesie powieści w szkicu pt. „Ongi i dziś”, ludzko jest podobny, co można sobie łatwo tym wytłumaczyć, że

wspólnym źródłem dla obydwóch powieściopisarzy była relacja Jana Długosza.

Uderzają mnie jednak głównie trzy podobieństwa, prawdopodobnie nawet zależności — bo trudno sobie wyobrazić, aby Sienkiewicz nie znał „Krzyżaków” Kraszewskiego, ogłoszonych na kilkanaście zaledwie lat przed powstaniem jego powieści — pokrewieństwa postaci Merheima i Danvelda, Kuna Dienheima i Fulka de Lorche, oraz ogólna ocena grozy krzyżackiej.

Hrabia Kuno Dienheim, rycerz znad Renu, przypomniał Fulka de Lorche z Lotaryngii. Obaj są błędnymi rycerzami, według kroju Don Kichota, obaj służą naprzód Zakonowi, potem Polsce. Przemiana dokonywa się u obydwóch pod wpływem miłości. Hrabia Kuno nim przywiąże się do swego dobroczyńcy Brochockiego, który, pojmawszy go do niewoli pod Grunwaldem, szlachetnością potrafił skruszyć niemiecką pychę, przeżywa tragiczny zawód miłosny jako narzeczony okrutnej Ofki Noskówny. Druga Ofka, córka Brochockiego, zagoi potem te rany i sprawi, że ród Dienheimów znad Renu przeniesie się nad Wisłę.

Podskarbi Merheim służył chyba za wzór do charakterystyki Danvelda. Wiemy, że Danveld najgorszą miał sławę między zakonnikami, on też poddał plan porwania Danusi i stał się głównym sprawcą jej nieszczęścia i upokorzenia Juranda. Merheim jest takim samym złym duchem Zakonu i jego hańbą. „Dla Zakonu — powiada do wielkiego mistrza — grzech wezmę na duszę moją! Zakon... dla mnie... winien być wszystkim”. „Waszą rzeczą walczyć, moją kopać dołki pod ziemią”. Gotów jest zawsze zwałć biały płaszcz Zakonu nie tylko błotem, ale nawet kałem. Odrażający fizycznie, wstrętną ma również duszę. On staje się doradcą i motorem zbrodniczych poczynań Ofki, on planuje coraz to nową intrygę, podstęp, podłość. W nim skupiły się najsilniej te wady i grzechy Zakonu, które spowodują zgu-

bę Krzyżaków, ale przejdą jako puścizna na Prusaków, ich kontynuatorów.

Sprawiedliwym wśród Krzyżaków Kraszewskiego wydaje się tylko jeden brat-puchacz Albrecht Hoym. Mówi on do braci zakonnych: „Nie Jagiello ani Witold nas zwyciężą, lecz własne winy nasze i grzechy. Mówimy o Zakonie? Gdzie jest Zakon i reguła? Suknie z nich zostały tylko. Wszystko idzie samopas, nikt nie spełnia, co wszyscy powinni... Dlatego Zakon słabnie, pada i lada burza go obali... Zakon nasz zaczął od szpitala i miłosierdzia, a skończył na zaborach i rzeziach. Chrzczimy krwią, nawracamy mieczem; od miecza zginiemy!”

Krzyżacy wciąż powtarzają słowa „Bóg z nami!”, a postępują wbrew nakazom Boga. Dumny Lichtenstein, ten sam, co będzie potem nastawał na zgubę Zbyszka, mówi o Polakach: „Z ludu tego nie ma się co dobra spodziewać. Uparty jest i dziki, wyniszczyciel go; niech przyjdą nasi z Niemiec i zaludnią na nowo kraj!”

Krwawy Schwelborn dowodzi: „Ego te baptiso in gladio! Najniebezpieczniejsza rzecz, bo już apostazja niemożliwa, a duszyczka zbawiona... Upokorzymy tego dumnego poganina (Jagiellę) — z nim i z jego rodem jaszczurczym nie ma nigdy walce końca, raz potrzeba tej hydrze lby pociąć do ostatniego. Nienawistne plemię bałwochwalców bez czci i wiary!”

Walka Krzyżaków z Polakami jest zdaniem Kraszewskiego o tyle łatwa, że Polacy choć wiedzą, jak to stwierdza w powieści Jan z Tarnowa, że Niemiec „to jest wróg przysięgi rodów słowiańskich, których ziemię zajął, wytepił z niej ludzi i tepić ich nie przestanie, póki żyw”, zdolni są nawet pobić wroga, ale nie potrafią wyzyskać zwycięstwa i wygrać pokoju.

Potworny Abel Grzyb, służka Zakonu z Morąga, w ten sposób przewiduje proroczy dalszy przebieg wypadków po bitwie pod Grunwaldem: „Wina i chleba będą mieli do syta, najedzą się, napiją. Do żonek za tęsknią i pójdą precz! Uchowaj Boże głodu a biedy, to byśmy byli w niebezpieczeństwie, bo oni źli są, gdy głodni i biją się, jak lwy, kiedy boso i w utrapieniu na wojnę idą. A no my... damy im jadła i napoju po uszy, rozmiękną i nic z tego nie będzie”. „W pierwszej godzinie strasni, a potem! potem i dziecko im da radę. Niemiec ma naturę inną: jego powalić można, da się wziąć. a powoli siłę odzyska i zwyciężę za kark weźmie!”

Główną zaletą powieści Kraszewskiego jest pokazanie dowodne, jak polskie siły potęgują się w przeciwnościach, uchodzą w szczęściu. „Zawraca się głowa, przychodzi upojenie, mięknie serce, niknie energia, baczność się traci.

Wojsko, które zwyciężyło pod Grunwaldem, już inne przybyło pod mury Malborka. Do zwycięstwa szło w surowej karności, przymierając głodem i cierpiąc w pochodzie; obciążone łupem, nakarmione obfitą żywnością zdobytą po zamkach, które się z kolei poddawały, nie straciło męstwa, lecz zaufało szczęściu.”

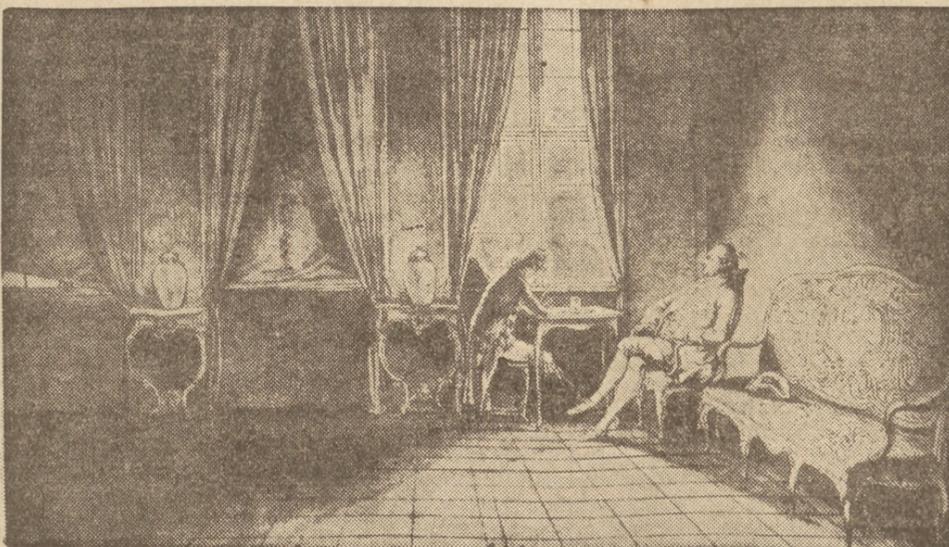
Tymczasem dla nowego dowódcy Plauena „wszystkie środki były dobre, i duma i pokora, męstwo i chytrość”; pomogli mu jeszcze mistrz Herman z Inflant i sąsiadzi Polscy z południa i z zachodu; w reżultacie tych wspólnych intryg, w które uwikłano niebawem Witolda, plon bitew pod Grunwaldem i Koronowem stał się o wiele mniejszy, niż mógł być. Nie wyzyskaliśmy należyte zwycięstwa, za co przyszło potem srogo zapłacić. Brochocki pod Grunwaldem zyskał zięcia, ale Polska nie unieszkodliwiła śmiertelnego wroga.

Zasługą Kraszewskiego było, że pierwszy zwrócił uwagę czytelników powieści na stałą groźbę krzyżackiego niebezpieczeństwa. Sienkiewicz, powtarzając za Kraszewskim tytuł swej powieści, wznowił świadomość aktualności samego, wiecznie żywego, zagadnienia.

Z tych powodów warto pamiętać o „Krzyżakach” Kraszewskiego nie tylko jako o jednym ze źródeł znakomitej powieści historycznej Sienkiewicza, ale również jako o interesujących „obrazach z przeszłości”, mających i dziś swój sens i znaczenie.

Stefan Papée

MALARSTWO POLSKIE



DANIEL CHODOWIECKI (1726-1814)

KAZIMIERZ WYKA

Pod znakiem Prusa i Sienkiewicza

Odbyty w Warszawie w dniach 29 i 30 września zjazd naukowo-literacki im. B. Prusa stał się pierwszym od jedenasto lat gromadnym i naukowym spotkaniem polonistów uniwersyteckich i polonistów szkół średnich. Ostatnim tego typu spotkaniem był odbyty we Lwowie w r. 1935, w dwóchsetną rocznicę urodzin biskupa-poety, zjazd im. Ignacego Krasickiego. Ów zjazd w rocznicach polonistyki utrwalił się w sposób mało związany z osobą Krasickiego, bardzo natomiast związany z ówczesnymi sporami metodologicznymi wśród polonistów. Walka pomiędzy formalistami z M. Kridlem na czele, a przeważającą większością przeciwników formalizmu na zjeździe lwowskim doszła do szczytu. Krasicki uczestniczył w niej tylko jako współtwórca dowcipnego tytułu, którym tę walkę ochrzcił w tygodniku „Pion” R. Ingarden: „monachomachia humanistyczna”.

Odmiennej charakter posiadał niedawny zjazd warszawski. Daleki od namiętnych sporów, zbliżony do podobnych manifestacji innych dziedzin nauki polskiej. Przede wszystkim, jak one, miał zjazd warszawski swoją część żalobną. Stanowił ją wydany właśnie na dzień zjazdu tom „Pamiętnika Literackiego” poświęcony wyłącznie stratom polonistyki w latach okupacji. Choć doprowadzony tylko do litery E, ów zbiór żalobny obejmuje 35 nazwisk, spośród nich takie jak Ignacego Chrząnowskiego, Aurelego Drogoszewskiego, Stefana Kołaczewskiego, a ze zmarłych tuż przed wojną Bernackiego, Bruchnalskiego i Brücknera.

Miał również zjazd skromną część uroczystą w dwóch formach. Pierwszą z nich, to połączone ze zjazdem 60-lecie Towarzystwa Literackiego A. Mickiewicza, najstarszej organizacji polonistów, za której staraniem zjazd się odbył i związane z tym wspomnienia oraz wybór nowych władz Towarzystwa i nowych jego członków honorowych.

Drugą formę uroczystą stanowiła urządzona na kilka dni przez Bibliotekę Uniwersytecką w jej gmachu wystawa Prus-Sienkiewicz. Z całym pietyzmem przygotowany przez dyr. A. Lewakę pokaz był nie mniej cmentarny, co tom „Pamiętnika Literackiego”. Uświadamiał ogrom poniesionych i tutaj strat. Z rękopisów zaledwie szczątki, z pierwszych wydań tak bardzo warszawskiego i w przedwojennych zbiorach warszawskich dobrze reprezentowanego Prusa podobne szczątki. Z tym większą ciekawością chyliły się głowy nad numerem „Corriere di Napoli” zawierającym jakiś nieznaną fragment dramatyczny pióra Sienkiewicza dedykowany Prusowi. Czy autentyczny? Co zawiera? Nikt o podobnym fragmencie nie słyszał, żadna bibliografia go nie notuje.

Miał wreszcie zjazd swoją część pracowniczą, referaty i dyskusje, i o niej to najwięcej godzi się powiedzieć. Ponieważ obradowano w czterech sekcjach równocześnie, a jak wiadomo czas nie jest zjawiskiem podzielonym nawet na dwoje, mówię jedynie o tej sekcji, w jakiej uczestniczyłem oraz o wspólnym zebraniu wstępnym i końcowym. Tytuł dla informacji przepisuję z programu zjazdu, że sekcja pierwsza miała najbardziej charakter historyczno-literacki, sekcja trzecia dotyczyła zagadnień wydawniczych i pedagogicznych na poziomie uniwersyteckim, wreszcie czwarta obradowała nad nauczaniem literatury polskiej w szkole średniej. Wnosząc z liczby referatów i zasłyszanych pogłosów oraz przedstawionego na plenum wniosku, domagającego się udziału nauczycieli-polonistów w układaniu nowych programów nauki, obradowała z dużym nakładem pracy.

Pominięta dotąd sekcja druga zajmowała się teorią literatury. Oto tematy wygłoszonych na niej referatów: J. Kleiner „Rola podmiotu mówiącego w poezji”, S. Skwarczyńska „Struktura świata poetyckiego”, K. Wyka „Budowa czasowa powieści”, J. Krzyżanowski „O porównaniu”, wreszcie dwukrotnie K. W. Zawodziński „Atoniczność wiersza polskiego w XVI—XVIII” i „Powieść

współczesna a powieść historyczna”. Zawodziński był w ogóle najpracowniczym uczestnikiem zjazdu, w sekcji pierwszej mówił bowiem jeszcze na temat „Czy i dlaczego „Rodzina Połanieckich” jest martwym zabytkiem twórczości Sienkiewicza”. Odczyt zaś o atoniczności wiersza polskiego, bez mała dwugodzinny, był najbardziej pracowitym przeżyciem dla tych uczestników zjazdu, którzy w dwóch ratach dosłuchali go do końca. Jedyny w omawianej sekcji referat Z. Niesiołowskiej-Rothertovej „Na temat Konopnickiej”, chociaż wykraczał poza ramy sekcji, na pewno w nim nie obudził sprzeciwu. Stanowił bowiem inteligentną i pełną całościowością nieznaną — a spalonych w powstaniu — materiałów, zapowiedź żywota literackiego Konopnickiej, jaki pisze autorka.

Trudno w krótkim sprawozdaniu podejmować ocenę wymienionych z tytułu referatów czy powtarzać tożsame na ich marginesie dyskusje — niewątpliwie ciekawe, z niewątpliwą uwagą chłonięte przez bardzo liczne audytorium. (Na zjazd przybyło około dwustu osób od Śląska Dolnego po Białystok). Tylko najkrócej można wspomnieć, że znalazło się pośród nich zupełnie nowe a nader proste i trafne ujęcie mechanizmu porównania (J. Krzyżanowski), czy równie słuszne, dowodzone na przykładach z Kraszewskiego, rozgraniczenie pomiędzy powieścią współczesną a historyczną (K. W. Zawodziński).

Otwierał zjazd odczyt S. Adamczewskiego „Etyka pisarska B. Prusa”, zamykał odczyt W. Borowego „O Godach życia Dygasińskiego”. Obydwa odczyty na najwyższym poziomie kunsztu polonistycznego. Adamczewski ukazał dowodnie, jak głęboko w technice pisarskiej Prusa sięgają konsekwencje etyczne jego myśli oraz specjalnego taktu w traktowaniu człowieka. Borowy w sposób pełen dowcipu i subtelności przeprowadził zasadniczą operację krytyczną na legendzie „Godów życia”. Udowodnił w sposób niezbitny, że traktowanie tego utworu jako arcydzieła jest grubą przesadą. Tekst

tych obydwu odczytów przyniesie „Twórczość”.

Ale to właśnie zamknięcie i otwarcie zjazdu najbardziej pobudzało do pamięci o pewnej i to dosyć zasadniczej jego luce. Tłumaczy ją w pewnej mierze brak takich ludzi jak Drogoszewski czy Wóycicki, którzy potrafiliby zapewne postawić problem o jaki chodzi... — ale nie tłumaczy w zupełności. Być może, że wypełnił część tej luki referat F. Araszkiewicza „B. Prus a nowa epoka”, nie mogłem go jednak wystąpić z powodu niepodzielności czasu. Oto ze strony dzisiejszej krytyki literackiej, ze strony wielu niezależnie od krytyki dokonujących się zjawisk, jak np. obecna przewaga prozy nad poezją, idzie ku epoce literackiej, której najznakomitszymi przedstawicielami w powieści byli Prus i Sienkiewicz, jakieś wołanie. Wołanie o łączność, o kontynuację. Na to wołanie nie daliśmy, poloniści, dostatecznej odpowiedzi na zjeździe warszawskim. Czy apel słusznie skierowany? Sam ten problem nie został w ogóle sformułowany, a tymczasem istnieje on jako jeden z najbardziej dzisiaj aktualnych: „Rozkwitający w ostatnich piętnastu latach realizm powieściowy może się niewątpliwie powołać na znakomitych przodków, ale dorabiał się własnymi siłami”. Tak zamyka Zawodziński swoje rozważania z racji „stulecia trójcy powieściopisarzy” i tutaj jest miejsce na zasadniczą dyskusję.

Następny zjazd polonistów postanowiono odbyć w r. 1948 lub 1949. W stulecie wlosny ludów, śmierci Słowackiego, schyłkowej już pełni romantyzmu. Ogrom zagadnień czekających za dwa lata na rozpatrzenie przewyższa te, jakim patronowali Prus i Sienkiewicz. By im sprostać, już teraz polonistyka musi przeprowadzić generalną mobilizację przechowanych przez wojnę sił i z pleczolowitością dbać o nowe nabytki. Zjazd warszawski nie mógł ich jeszcze ukazać, zbyt bliski był latom okupacji. Zjazd romantyczny będzie do tego zobowiązany.

Kazimierz Wyka

O wybór bajek dla dzieci

Bajki Grimmów spotkały się w naszych literackich i społeczno-kulturalnych pismach z zasłużoną krytyką. Zarzuca się im, że rozwijają w dzieciach instynkty zbrodnicze. Bajki Grimmów cieszyły się do tej pory wielkim rozgłosem, znane były nie tylko w rodzimych Niemczech, ale i poza ich granicami. Karmiono nimi również dzieci polskie w opowiadaniach i czytankach szkolnych. Skoro dziś stoją pod tak ciężkim oskarżeniem i skoro wykazuje się ich wpływ ujemny, należało by sądzić, że nie będziemy już tych bajek opowiadali dzieciom.

Dziecko jednak pragnie bajki, prosi o nią matkę, wychowawczynię przedszkola, nauczyciela w pierwszej klasie szkoły powszechnej. Bajki wpływają na rozwój wyobraźni, a wyobraźnia potrzeba jest nie tylko przyszłemu artyście, ale również inżynierowi, odkrywcy naukowemu przy budowie hipotez, a nawet pomysłowemu krawcowi, stolarzowi czy robotnikowi. Z własnej młodości pamiętamy, jak wyobraźnię naszą zapładniał mit o Ikarze czy Prometeuszu.

Cóż wobec tego ma zrobić matka czy nauczycielka, gdy dziecko poprosi o opowiedzenie bajeczki? Skoro bajki Grimmów uważamy za nieodpowiednie, sięgnąć wypadnie do innych zbiorów. Bajki Andersena i legendy Selmy Lagerlöf wprowadzają nas w zupełnie inną atmosferę moralną. Podobnie jak bajki Grimmów wyrosły one z ludowości, wszak Andersen był synem szewca, a Lagerlöf w początkach swej kariery pisarskiej była nauczycielką ludową, miała więc okazję wnikać w duszę swego ludu i w niej szukać twórczości dla swych wizji artystycznych.

Czy więc i u nas nie należało by

sięgnąć do skarbcza poezji ludowej i najpiękniejszym bajkom dać oprawę artystyczną? Już przed stu laty domagał się tego Karol Libelt, twierdząc, że elementy kultury ludu winny stać się podstawą narodowej filozofii i kultury. Romantyzm polski czerpał z bogactwa kultury ludowej i stworzył w literaturze i muzyce dzieła o nieprzemijającej wartości. Nie doczekaliśmy się jednak do tej pory wyboru bajek dla dzieci, opartych na twórczości ludu polskiego, które miałyby należeć do poziomu literackiego i wychowawczego. Dziecko polskie doczekało się pięknych opowiadań i powieści realistycznych Parzyńskiej, Makuszyńskiego i in., czeka jednak do tej pory na wybór bajek, opartych na twórczości rodzimej ludu polskiego.

Surowca dla takiej pracy zebrano się u nas niemało. Kolberg w kilku nastutomowych dziełach „Lud polski” zebrał bajki i opowiadania ze wszystkich regionów polskich. Istnieje poza tym wiele zbiorów pomniejszych świeższej daty, które należało by przejrzeć, wybrać i opracować w formie przystępnej dla dziecka. Praca to niełatwa, bo obok talentu literackiego trzeba mieć wiele taktu wychowawczego, umiejętności wczuwania się w duszę dziecka i zrozumienia jego potrzeb.

Wiele naszych baśni ludowych nie nadaje się jako pokarm duchowy dla dzieci. Jednym z dominujących w nich elementów są potępienia, upiory i strachy. Baśnie te weszły do ballad Mickiewicza i do niektórych utworów Rydla („Młodej zboj”, „Zaczarowane koło”). Dziecko słucha ich z wypiekami, z dreszczem zaciekawienia, podsycając one jednak chroboliwie jego wyobraźnię i pod ich wpływem trapią je w nocy nie-

spokojne sny. W psychice dziecka rodzi się szkodliwy kompleks strachu, który może stać się przyczyną zaburzeń, wymagających potem uciążliwych i trudnych zabiegów leczniczo-pedagogicznych. Innym często powtarzającym się elementem naszych bajek ludowych jest „motyw głupiego Jasia”, który wyśmiewany i wykpiany przez wszystkich staje się w końcu bohaterem. Motyw ten może posiadać wartości wychowawcze, gdy wskazuje na osobistą dzielność; jest wtedy literackim odpowiednikiem awansu społecznego. W naszej jednak baśni ludowej ten „głupi Jasi” nie zawsze zdobywa awans dzięki walorom osobistym, częściej zawdzięcza go przebiegłości, chytryści i wyzyskiwaniu słabych stron swoich braci.

Pamiętać musimy o tym, że dziecko łatwo ulega wpływom, zwłaszcza w okresie pierwszego dziecięctwa. Nastroj, w którym dziecko wzrasta, może się stać dominantą uczuć całego jego życia. Dlatego też literatura dziecięca, a w szczególności bajka zaczerpnięta z twórczości ludowej, musi dawać młodocianemu czytelnikowi wzorce społecznie wartościowe.

Jeśli mowa o oddziaływaniu wychowawczym literatury dziecięcej, chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na

motywy działania, dziecko szuka bowiem w bajce raczej akcji aniżeli refleksji. Pobudką działania w bajce bywa albo uczucie nienawiści albo miłość. Jednym z powodów, dla którego krytyka tak ostro zaatakowała bajki Grimmów, była przewaga nienawiści jako motywu działania. Nienawiść zacieśnia horyzonty myślowe i prowadzi do pewnego ograniczenia. Miłość natomiast wyzwala siły społeczne, które pozwalają nawiązywać porozumienie z drugim człowiekiem i z różnymi grupami społecznymi, a o to przecież w ustroju demokratycznym chodzi. Nienawiść tworzy „społeczność zamkniętą”, miłość „społeczność otwartą”. Wyczuwał to dobrze pewien wnikliwy wychowawca, z którym w czasie wojny rozmawiałem w obozie jeńnickim. Obawiał się, że nie będzie już nigdy dobrym nauczycielem, bo nagromadziło się w nim zbyt wiele nienawiści, i że nie potrafi stworzyć dzieciom odpowiedniej atmosfery, wychowawczej.

Bajki, które dajemy dzieciom, powinny pomóc w wytworzeniu pogodnego nastroju, przenikającego do podświadomości dziecka. Taki właśnie nastrój wytwarzają bajki Andersena. Takiego nastroju szukajmy w bogatym skarbcu naszych bajek ludowych!

Ludwik Bandura

Notatki angielskie

AFRYKAŃSKA PODRÓŻ

Eslanda Goode Robeson, amerykańska Murzynka, żona znanego aktora, też Murzyna, wydała niedawno bardzo ciekawą książkę pt. „Afrkańska podróż”, która wymownie oddaje samopoczucie czarnego amerykańskiego inteligenta.

Eslanda Goode, która nie widziała Afryki, „swego starego kraju”, postanowiła ją zwiedzić. Decyzja, jaką powzięła, nie wynikała z próżności kobiety bogatej, która chce olśnić swych nieszczęśliwych braci dostatkami, by tym silniej dać im odczuć ich dolę. Eslanda Goode nie jest próżną kobietą — zastanawia się poważnie nad zagadnieniem Czarnych i marzy jej się, jak wielu Murzynom, potężna ojczyzna czarnych narodów.

W Ameryce jest Czarnych 13 000 000, w Afryce 150 000 000, a w Indiach Zachodnich 10 000 000 — razem 173 000 000 Czarnych, czyli więcej niż liczy ludność Stanów Zjednoczonych.

Do tej podróży Eslanda przygotowuje się jak biali; a więc zabiera ze sobą specjalne ubrania chroniące przed moskitami i aparat filmowy. Przy załatwianiu formalności związanych z wyjazdem napotyka na pierwsze trudności — władze nie chcą jej wydać wizy. Okazuje się, że gubernatorzy Afryki niechętnie patrzą na to, gdy wykształceni Czarni z innych krajów chcą zwiedzać Afrykę, by stwierdzić „jak żyją ich bracia”; i nie chcą też, by Czarni żyjący w Afryce dowiedzieli się, jak żyją Murzyni w innych krajach. Dlatego czarnych turystów nie wpuszcza się do ich ojczyzny, z wyjątkiem misjonarzy, „których działalność podtrzymuje Czarnych w rezygnacji i uległości”.

Eslanda, która zwiedziła już niemal cały świat, nie może uzyskać pozwolenia na wyjazd do Afryki. Po bezskutecznych usiłowaniach zdobycia wizy wyjeżdża mimo to, zdecydowana na najgorsze. Oto etapy tej podróży.

Senegal: miejsce skąd wywożono jej przodków, sprzedając ich jako niewolników Ameryce (ponad 1/2 miliona zmarło w czasie podróży), dziś miejsce święte.

Afryka Południowa: dzięki pomocy przyjaciół udaje się Eslandzie tu zatrzymać 2 dni. Na 2 000 000 ludności białej jest 7 000 000 Czarnych. Czarnym nie wolno mieszkać w mieście i uczęszczać do szkół dla białych. Żyją w specjalnie dla nich wybudowanych obozach, których nie wolno im opuszczać bez pisemnego zezwolenia. Jeśli pracują, muszą mieć przepustki na wydalanie się z obozu. Eslanda jest tym wstrząśnięta — jak można w ten sposób traktować ludzi w ich własnym kraju? Ale są rzeczy jeszcze gorsze. Po godzinie policyjnej nie wolno Czarnym przebywać na ulicach miasta, chyba, że mają wyjątkowe pozwolenie. Auta przypominające wózki rakarzy zabierają nie stosujących się do zarządzeń Murzynów.

Kiedyś biali wyłudzała od Czarnych złoto za świecidełka i lusterka, potem odebrali im prawo wydobywania złota, i dziś Czarni muszą je wydobywać dla obcych. Nie wolno im mieć związków, nie przyjmuje się ich do pracy wymagającej kwalifikacji. Stanowią 66% ludności, a spośród nich tylko 13% posiada ziemię na własność. O białych gubernatorach Eslanda Goode pisze: „Wszyscy gubernatorzy obco krajowcy, których od iedziłam będąc w Afryce Południowej, mają wspaniałe domy, wiele służby i żyją luksusowo”. Czy to nie ironia, że luksus ten opłacają Czarni?

Wiele stron poświęca autorka głosnej sprawie skazania na chłostę jednego z europejskich przybyszów, pijaka i łobuza, przez — Czarnego. Europejczyków, którzy przybyli do Afryki, uważają Czarni za łobuzów wygnanych z kraju za lenistwo i chciwość. O tych, którzy zostali w Europie, myślą, że są uczciwymi ludźmi i że na pewno wstydziliby się za swoich rodaków, którzy wyniszczają i źle traktują czarną ludność.

Pisząc o Czarnych Eslanda wyraża się o nich inaczej niż biali. Każda biedna czarna naguska to pani X czy Y na przechadźce lub przejażdżce promem. Drobne napiwki, które podróżni wręczają Czarnym za przeniesienie bagaży, przyjmują Czarni z godnością, uśmiechem i uprzejmym podziękowaniem. Biali zaś rzucają się jak banda dzikusów, wydzierając sobie monetę i nie myśląc nawet o tym, żeby podziękować.

W czasie podróży Eslanda zwiedza też święte wzgórze Bakalebe, miejsce, gdzie — nie chcąc walczyć przeciw czarnej ludności — czarni żołnierze zbuntowali się i zabili białych oficerów, którzy nie chcieli się poddać.

Jak się to stało, że Czarni mają tak mało ziemi? W dawnych czasach ziemia należała do plemienia, którego wódz zarządzał nią w imieniu Czarnych. Nie znano tu prywatnej własności — wiedziiano tylko, że ziemię trzeba uprawiać, korzystać z jej plonów, ale nie posiadać. Gdy biali zjawiali się jako przyjaciele, wódz plemienia pozwalał im osiedlać się i korzystać z domów i ziemi. Takie było prawo gościnności wśród Czarnych. Wódz plemienia, oddając na użytek białych ziemię i mieszkania, nie myślał o przekazaniu im ich na własność, gdyż ziemia należała do plemienia, które ani częściowo, ani zupełnie nie chciało rezygnować ze swych praw. Nie było więc w Afryce własności prywatnej i nie było biednych. Biali przybysze przynieśli dopiero nędzę, gruźlicę i syfilis i prawo, że „między białymi i czarnymi, nie będzie równości”.

Przedstawienie życia Czarnych w Afryce przez Eslandę Goode może się wydać przesadą białym... ale nie Czarnym.

Bogusław Kutczyński

IAN MEYSZTOWICZ

W KOCZKODANIE

Paryż w pierwszych dniach października 1939 był miastem w malignie. Nie trawiła go gorączka, nie dręczyły zmyły, nie nawiedzały groźne czy kuszące wizje. La ville lumière żyło życiem poniekąd normalnym, lecz na nierealnej toczącym się płaszczyźnie. Wojna przeniknęła do codzienności, ale trafiała tylko do powierzchownej świadomości ludzi — podstawowego tworzywa wojny. Fakty, które ją wywołały, były oczywiste, propaganda rządowa pozostawała w rękach biegłych fachowców, lecz nic nie mogło zatrzeć upartego jak oczywistość wrażenia, że wszystko to jest jednak bardzo ponurym a zarazem nieco groteskowym nieporozumieniem, pomyłką reżysera, który kolejność aktów, o ile w ogóle nie wybór sztuki i cza-

Starym chwytem było wygrywanie niechęci, jaką niejeden Francuz odczuwał w stosunku do brytyjskiego alianta. Wojsko brytyjskie było o wiele lepiej płatne (za funta dostawało się 175 franków, a za butelkę dobrego wina płacono się franków dwadzieścia), dlatego też we wszystkich restauracjach, knajpach, barach i innych miejscach żołnierskiej rozrywki traktowano Brytyjczyków jako klientów pierwszej klasy ze szkodą miejscowego konsumenta. Pewnego dnia znalazłem niemieckich okopów wysunęło się prześcieradło z takim napisem: „Podczas gdy wy tu gnijecie w okopach, Anglicy w Lille obrabiają wasze żony“. Tym razem napis pomylił się w adresie. Po pół godziny z okopów, tym razem francuskich, wysunęło się po-

bramą kisto niezbyt jeszcze nogami rozbejtane bioto. W głębi ciągnęły się poprzedzielane politerowanymi ulicami rzędy niskich baraków z czerwonej cegły, w których na powykrzywianych ramach okiennych i drzwiach farba znikła już dawno, ściany pożerała wilgoć, a z dachów spoglądały smętnie zakopczone lby rachitycznych kominów.

Mimo tego melancholijnego decorum bardzo szczerze wzruszenie rozlało się po mojej obolałej wskutek lawiny wypadków duszy. Nie klasyfikując przeżyć, ale sumując je w jeden ton nerwowego podniecenia, postawiłem kreskę pod kolumną strasznych rewelacji, upokorzeń i niechęści, a pod kreską mocną ręką jeść jedyny znak, bez ułamków — symbol powinności żołnierskiej. Jeszcze pięć tygodni temu byłem w swoim pierwszym w życiu, własnym mieszkaniu na alei Szucha, chodziłem po granitowych blokach podwórza Brühlowskiego pałacu.

Te pięć tygodni przeżyłem tak głęboko, że musiały mi się wydawać nierealne, jak ów pierwszy deszcz bretoński i polska flaga na bramie, których nie można było nie odczuć i nie widzieć, ale w które trudno było uwierzyć. Rozglądaliśmy się ze Stefanem skwapliwie, gdzie tu to polskie wojsko. Idąc w głąb obozu, który wydawał się prawie niezamieszkały, dostrzegliśmy wreszcie dziwną sylwetkę w czymś w rodzaju niebieskiej siermięgi i w furacze, do której przytwierdzony był orzełek na tarczy z czerwonego sukna. Sylwetka ta była też nierealna, jakby wycięta z albumu nieokreślonych wspomnień.

Pętałymi się jeszcze czas jakiś, zanim znalazła się wadażka w postaci sierżanta z Legii Cudzoziemskiej, tymczasowego pogromcy ochotników. Był łaskawy i poufały, tudzież, pomimo wczesnej pory, dosyć pijany. Zaprowadził nas do baraku ochotników w przeddzień przybyłych z Belgii. Wśród porzucanych na ziemi sienników grano w karty i stało nieco butelek z pinard (tanie czerwone wino). Nastroje były znakomite. Sierżant wskazał na leżący w kącie stos zardzewiałych menażek, prosto z zapasów mobilizacyjnych, a zatem obficie wysmarowanych wazeliną do konserwowania broni, i kazał iść po kawę do kuchni mieszczącej się opodal, w baraku otoczonym kałuzami, w których pływały resztki menu z dni ubiegłych. Do kawy wyfasowaliśmy biały chleb i pudełko sardynki, które za nic nie chciało się otworzyć.

W baraku, w którym przeprowadzono ewidencję nowoprzybyłych, za trzema stolikami w kształcie bretońskich dolmenów urzędowało trzech panów, przebranych za żołnierzy, w niebieskich mundurach z epoki 1914—1918, które wyglądały tak, jakby w nich przegrano lub wygrano już kilka wojen. W jednym z urzędujących poznałem Ludwika Rubla, posła na sejm i redaktora „Ilustrowanego Kuriera Codziennego“. Przy ewidencji odebrano nam wszystkie dokumenty cywilne, które, poskładane w tekturowych pudełkach po marmoladzie, w kancelarii obozu, przejęli według kompetencji Niemcy w 1940 r.

Nazajutrz, po zameldowaniu się u dowódcy kompanii, polskiego oficera rezerwy, nadeszła oczekiwana z bijącym sercem chwila nałożenia mundurów. Magazyn mundurowy była to leciwa drewniana rudera; na środku podłogi leżały stosy przedziwnie brudnych, niebieskich szmat, dzielących się na górne i dolne. Zawiadujący magazynem rezerwista francuski pozwolił nam za butelkę wina zgrać się w nich dowoli, abyśmy mogli wybrać co najlepsze. Bielizny nie było wcale, skarpetki — po dwie pary symbolicznych. Buty, wszystkie używane a sporo dziurawych, były własną karykaturą. Na głowy otrzymaliśmy niesamowitych rozmiarów granatowe bliny, pomyślane jako berety. Owijające robiły wrażenie, jakby się kiedyś na nich ktoś powiesił. Po całodziennych wysiłkach, za dwie tym razem butelki wina, zdobyliśmy po dwa koce i po sienniku wycpanym

śmieciami. Resztę ekwipunku trzeba było sobie dośpiewać.

Aczkolwiek wyglądaliśmy jak zgraja oberwańców, a warunki życia i służby urągały najprymitywniejszym potrzebom (umywalnia był chlewik zaopatrzony w krany z lodowatą wodą) — humory i entuzjazm były imponujące. Wszystko — i my sami — było zupełnie komiczne, a zarazem naprawdę podniosłe. Myśleliśmy tylko, kiedy otrzymamy broń i zaczniemy się uczyć nią posługiwać. Poziom koleżeńskości, dowcipu i wyścigu w pogardzaniu niewygodami, brudem, nieludzkim pomieszaniem i jedzeniem, niewiele różniącym się od pomyj — był tak wysoki i panowała tak szczera atmosfera poświęcenia i wiary, że te pierwsze tygodnie w Coëtquidan należą do najpiękniejszych w moim życiu.

Na trzeci dzień otrzymaliśmy karabiny, trzyształowe Berthiery, typu 1896. W całym obozie zabrakło koniaku. Były natomiast znaczne zapasy Calvadosu, wódki z jabłek (specjalność bretońska). W kafejkach ruch był jak nigdy przedtem, płyty gramofonowe, zgrane jeszcze w czasach Verdun, różnęły Madelon. Spiewano od rana do późnej nocy, capstrzyku bowiem nikt jeszcze nie respektował. Do karabinów dodano bagnety, długie szpikulce o miedzianych rękojeściach. Identyczne widziałem u rumuńskich wartowników, ziewających przy mostach i na stacjach kolejowych. Wyfasowanie nowych pasów, pierwszego ekwipunku, który nie był jeszcze używany, było przeżyciem, o którym mówi się całą dzień.

Francuska komisja lekarska, przed którą przedfilowaliśmy w adomowym stroju, była zupełnie szopką. Dwie trzecie mojej kompanii miało kategorię C i D. Przeciętny wiek był około lat trzydziestu. Nie brakło i kategorii E, to jest tych, których polskie komisje poborowe uznały w swoim czasie za całkowicie niezdolnych do służby wojskowej. Najwybitniejszym jej przedstawicielem był Adolf Bocheński, który ukończył mój turnus szkoły podchorążych z czwartą lokatą i, odznaczony Vir-

prawo poboru wśród obywateli polskich we Francji i pomoc w tym celu władz administracyjnych. Zanim powstała potrzeba imiennego wzywania poborowych, napływ ochotników okazał się większy od możliwości ich uzbrojenia i wyekwipowania. Złazszcza że wojsko polskie, przynajmniej w początkowym okresie, było traktowane jak kopciuszek. — Pierwsi zgłaszali się ci, którzy w chwili wybuchu wojny byli za granicą lub ci, których na rozkaz z góry ewakuowano z kraju wraz z instytucjami, jak Polskie Zakłady Inżynierii, Polskie Radio itd., lub z ministerstwami, a także ci, co mieli większe możliwości wyjazdu z kraju i dotarcia do Francji bez przeszkód.

Na początku zimy zaczęli napływać ci, co wydostali się z obozów internowanych w Rumunii i na Węgrzech. Władze rumuńskie i węgierskie patrzyły przez palce na masową ucieczkę Polaków z obozów. Przejazd przez neutralne Włochy nie przedstawiał trudności. W pociągu, gdzieś za Mediolanem, konduktor włoski dziurkując mi bilet uśmiechnął się porozumiewawczo i rzekł z niedwuznacznym ruchem ręki: „Tedeschi! pif! paf!“.

Przybyli z kraju nie znali francuskiego języka tak powszechnie jak ich poprzednicy i oni przezwali Coëtquidan „Koczokodanem“, która to nazwa przyjęła się od razu. Wartość tych pierwszych ochotników, jako prostych żołnierzy a z czasem podchorążych, miał potwierdzić chlubnie dalszy bieg wojny.

Pod względem intelektualnym była to w niemałym stopniu elita inteligencji polskiej. W mojej kompanii, przekształconej w końcu października w pierwszą kompanię szkoły podchorążych piechoty — specjalność ciężkie karabiny maszynowe — oznaczonej numerem trzecim i znanej jako trzecia CKM, mieliśmy na stu czterdziestu ludzi przeszło stu z dyplomami uniwersyteckimi. Większość umiała doskonale po francusku, co mocno irytowało naszych oficerów zawodowych. Toteż poziom rozmów i dyskusji podczas klasycznych zajęć żołnierskich, jak np. skro-



Sp. Adolf Bocheński i Jan Meysztowicz

su jej wystawienia, fatalnie pokręcił.

„Nous vainquerons parce que nous sommes les plus forts“ — wołał slogan z doskonałych graficznych plakatów, co krok zaczeplających przechodnia. Lecz prawdą ta, poparta cyframi, o których nikt nie wątpił, nie trafiała do przekonania.

Wojna odebrała Paryżowi tylko okruszki jego zwykłej świetności. Rezerwiści byli już od dawna w swych jednostkach, ruch mundurów na stacjach i ulicach nie był zbyt natrętny, nie odczuwało się właściwie ograniczeń czy utrudnień. Tylko piramidy worków z piaskiem panoszące swą zgrzebną kluskowatość dokoła pomników, przyćmione latarnie i ciemność niegdysz goręjących okien naprzykrzały się refleksjami o wojnie. Komunikaty naczelnego dowództwa, nabożnie drukowane na pierwszej stronie, przynosiły treść mniej dramatyczną niż komunikaty meteorologiczne. Donosiły o ruchach patroli na przedpolu linii Maginota, niekiedy rozwoździły się nad operacjami, w których wzięła udział — aż jedna kompania. Czytelników gazet wzywano do składania darów w naturze, jak szachy, warcaby, książki i sprzęt sportowy, które miały dopomóc wojsku zabić czas. Lista pierwszych oficjalnych strat francusko-brytyjskich nie wyglądała niepokojąco. Po stronie brytyjskiej marynarka i lotnictwo wykazały straty mieszczące się w trzech cyfrach. Armia lądowa podała — zero.

Na wysuniętych placówkach francuskich, odległych nieraz od niemieckich zaledwie o 200 metrów, płynęły dni pogrążone w nudzie i rutynie. Dość automatycznie utarła się wzajemna konwencja, żeby sobie figlów nie płatać i nie zakłócać ciszy. Czynna była natomiast propaganda niemiecka, tłumacząca sąsiedom z przeciwnika, za pomocą głośników i ulotek, że cały ten interes nie ma po prostu sensu. Niektórzy bardziej przedsiębiorczy i młodzi oficerowie niemieccy improwizowali taką propagandę na własną rękę. Ulubionym sposobem było malowanie odpowiednio wybranych sentencji na wyszabrowanym w tym celu prześcieradle, które przytwierdzano do dwóch drewnianych drągów i wysuwano wysoko nad okopy. Po drugiej stronie można było treść łatwo odczytać przez lornetkę lub nawet gołym okiem

dobnie prześcieradło z napisem: „Nic nas to nie obchodzi (on s'en fout), my jesteśmy z Marsylii“.

5 października dostałem w naszym konsulacie kartkę upoważniającą do bezpłatnego przejazdu z Paryża do Coëtquidan, stałego obozu wojskowego w departamencie Morbihan, w Bretanii. W obozie tym miano formować i szkolić wojsko polskie we Francji. Ze sp. Stefanem Siemieńskim poszliśmy do Fouqueta, aby objeść i oblać na godnym poziomie zamianę leszczkowskich samodziół, które wytrzymały bohatersko exodus z Warszawy via Krzemieniec, Kutry, Czerniowce, Bukareszt, Sofię, Zagrzeb, Mediolan, na mundury strzelców z cenzusem. Zakończywszy libację najszlachetniejszą fine Napoléon, która znakomicie podniosła heroicznosc naszych nastrojów, znaleźliśmy się na Gare Montparnasse, gdzie na jakimś obскурnym bocznym torze stał pociąg oznaczony tablicą: „Tylko dla powołanych pod broń“.

Mieszkałem we Francji przed wojną cztery lata, ale nigdy tak gruntownie brudnego i powolnego pociągu nie widziałem. Wśród pasażerów było z tuzin Polaków, reszta składała się z jakichś ludzkich wybiereków, pozostałości najstarszych zmobilizowanych roczników. Rano doczłapał się do Rennes, połączony z Coëtquidan kolejką wąskotorową, przy której linia Kraków—Kocmyrzów wydawała się Szanghaj-expressem. Połączenie kończyło się w malutkiej miejscinie Guer; reszta drogi, trzy i pół kilometra, odbyliśmy autobusem.

Nieprzepisowy stosunek wagi do wzrostu sprawił, że sporo lat przed wojną komisja poborowa zaliczyła mnie do kategorii C (pospolite ruszenie z bronią), miałem zatem bardzo romantyczne i mgliste pojęcie o tym, jak wygląda obóz wojskowy. U końca ulicy, ozdobionej kilku kramami i szeregami obrzydliwych „kafejek“ (bar-kawiarnia w żargonie emigracji polskiej we Francji), wznosiła się brama z żerdzi, uwieczniona jakimiś ogryzkami drucianego płotu. Na bramie był wymalowany herb Bretanii, dziewięć gronostajowych ogonów na srebrnym polu, i nudziły się dwie flagi, francuska i polska. Wartownik przy bramie, Francuz z antycznego rocznika, nie ogolony, w butach nie czyszczonych od czasu ich zaistnienia, wzywał z budki sennym wzrokiem. Była godzina dziesiąta rano i padał deszcz. Zaraz za



Czesław Jeśman, sp. Jan Rostworowski, sp. Adolf Bocheński, Marian Walenty nowicz i Jan Meysztowicz

tuti Militari, poczwórnym Krzyżem Walecznych, tudzież odznaczeniami brytyjskimi, poległ w 1944 pod Ankoną. Oto czego potrafi dokonać siła woli i nierówny charakter. Adolf Bocheński był, bez cudzystowu, najpiękniejszym wzorem cnót rycerskich, jaki spotkałem w życiu.

Nie wiedzieliśmy, jak ten przegląd lekarski będzie wyglądał i ze strachem myśleliśmy o dyskwalifikacji ze służby liniowej. Aby nie zdradzić się, że mam krótki wzrok, nauczyłem się ukradkiem na pamięć liter tablicy optycznej. Niepotrzebne to były ostrożności. Siedzący za stolikiem francuski kapitan-lekarz, rzucił znudzonym wzrokiem na okazy ciela golizny i pytał: „Alors, ça va?“, po czym zwracał się do kaprala z listą imienną: „Bon pour service armé!“.

Całe badanie trwało ze dwadzieścia sekund. Tymczasem Coëtquidan się zaludniało. Co dzień przybywało więcej ochotników, więcej przyjaściół i znajomych. Polsko-francuska umowa wojskowa dała rządowi polskiemu

banie kartofli, był tak wysoki, że nasi dyplomowani oficerowie, którzy zaczęli się zgłaszać po posady, nie ukrywali swych wątpliwości, czy uda im się tych kandydatów na podchorążych doprowadzić do takiego otępienia, jakiego by sobie życzyli wśród niskich szarż.

W tej pierwszej podchorążówce byli dziennikarze i publicyści: Zygmunt Lityński, Ksawery Pruszyński, sp. Jan Rostworowski, sp. Adolf Bocheński, sp. Jerzy Paczkowski; malarze i rysownicy: Aleksander Żyw, Józef Natanson, Marian Walenty nowicz; ekonomiści: W. Jastrzębowski, obecny dyrektor departamentu ekonomicznego Ministerstwa Żeglugi i Handlu, i Feliks Bocheński. Na liście podoficera pocztowego figurowały nazwiska: Piłsudski, Korfanty, Dowbór-Muśnicki. Nie brakło też artystów, prokuratorów, adwokatów, inżynierów techniki i rolnictwa. Procentowo najliczniej było reprezentowane MSZ z Józefem Lipskim, ambasadorem R. P. w Berlinie, na czele. Lipski wstąpił do wojska mając

lat 45, ukończył pódchorążówkę i za udział w kampanii francuskiej, w szeregach I Dywizji Grenadierów, odznaczony został Krzyżem Walecznych i Croix de Guerre. Przez cały okres skróconej, pięciomiesięcznej podchorążówki dał dowody charakteru tak wysokiej klasy, że stał się jedną z najpopularniejszych postaci w Koczodanie. Zwiedzający obóz dziennikarze francuscy rzucali się na niego łapczywie i fotografowali go w niebieskich łachach na wszystkie boki. Jego pas był prawdziwym curiosum. Ślad sprzączki na skórze regularnie co trzy tygodnie przesuwali się w górę o jedną parę dziurek. Pod koniec podchorążówki przesunął się o sześć par dziurek. Ambasadorski brzuch nikł w oczach.

Pierwszym szefem trzeciej CKM szkoły podchorążych był sierżant Biderman, mistrz krawiecki z Paryża, odznaczony Krzyżem Walecznych za rok 1920, który zgłosił się do wojska z osobistym rewanżem za ustawy norymberskie. Pierwszym naszym dowódcą był porucznik służby stałej Jan Maśliński, Wilnianin, brat poety i literata z wileńskiej grupy „Zagarów”, która tak wybitną odegrała rolę na Uniwersytecie Stefana Batoro. Dowódca nasz miał lat dwadzieścia pięć, był zatem młodszy od większości swoich pupilów, z których niejedyn wyższe od niego w cywilu zajmował stanowisko. Maśliński, doskonały typ młodego polskiego oficera zawodowego, którego umysł ani charakter nie dał się wtłoczyć w ramy tak często obowiązującego naszą elitę wojskową załgania się, trzymał nas żelazną ręką i od razu zdobył sobie szacunek i popularność. Uważał za rzecz zupełnie naturalną być na ty z niektórymi ze swych uczniów, do których, miło mi jest stwierdzić, należałem.

Kompania spała po dwie drużyny na sali, na pryzkach wysokich na dwadzieścia centymetrów, w ciemności, wilgoci, brudzie i zimnie, z którymi walczyliśmy z ogromnym nakładem inwencji, humoru i wytrzymałości. Nie było gdzie złożyć garstki prywatnych rzeczy ani wojskowego ekwipunku. Ubieranie się i rozbieranie było to jedno kłobowisko ludzi, pasów, ładownic, bagnetów, butów i owijaczy wzajemnie się szukających. Pobudka o szóstej rano zaczęła wkrótce nas zrywać z przyzwoicie przed wschodem słońca. Zaraz potem wyganiano nas na plac przed barakami na gimnastykę, po której śpiewaliśmy modlitwę poranną. Na placu leżało rzeźko nieraz przymarznione błoto, któremu próbowaliśmy zaradzić za pomocą drewnianych sabotów.

Znaliśmy tylko dwa ich rozmiary, za małe i za duże. Tego przedpotopowego rodzaju obuwia nadal używają do gospodarskich robót na podwórzu chłopci brańscy. Mieliśmy wiele okazji oglądać ich chaty, które w Morbihan, najuboższej części Bretanii, różniły swą prymitywnością i brudem. Zdarzało się często na przykład, że nie było w nich zupełnie pieców kuchennych. Posiłki gotowało się na ogniu z chrustu w zawieszonym w kominku kociołku.

Ta poranna gimnastyka w zupełnej ciemności i błocie była niemałą udręką. Zmarznieli, zaspani i źli zapomnieliśmy kiedyś gremialnie o porze dnia i na rozkaz: „do modlitwy” kompania zaryczała za urzędowym zapiewaniem Galińskiego (był śpiewałem operetkowym w Brukseli) „Wszystkie nasze dzienne sprawy” zamiast „Kiedy ranne wstają zorze”. Po zbiorce i raporcie kompanii, za kwadrans ósma wymaszerowaliśmy na ćwiczenia dzwigając na plecach moździerze i karabiny maszynowe, Hotchkissy, po dwóch na KM, który rozkładał się na podstawie i karabin właściwy. Ćwiczenia wymagały oczywiście ciągłego czuwania się, padania i innych wojskowych tańców rytualnych, po których wracaliśmy do obozu często przemęczeni i ubabrani w błocie po uszy. Nie było gdzie się wyczerścić czy wysuszyć przyzwyczajone. Nikt się jednak jakoś nie zaziębiał.

Po przerwie obiadowej mniej więcej to samo plus wykłady w baraku lub na placu, gdzie wynosiło się tablicę, z której ścierano coraz to bardziej bezlitosne karykatury Bidermana, rysowane przez Walentynowicza. Umożliwiała to Maślińskiemu rysowanie planu ognia, przedniego skrajów głównej Kni i kierun-

P O E Z J E

MIECZYŚLAWA BUCZKÓWNA

Liście

Podniesiony liść chłodną zielenią przekuł
jak twoje oczy gdy nie rozumiejąc patrzysz.
jak twoje oczy.
I nic się nie zmienia —
we mnie nie kończy, w tobie nie zaczyna.
Jesteśmy
jak dwa drzewa, które ziemia chłonie.
Wiatr może przez chwilę gałęzie nasze przelnie
I słowa między nami jak liście ciepłe jeszcze
złęcą szeleszcząc.

ANNA POGONOWSKA

Cień gwiazd

Białe skrzydła miłości na próżno bijecie —
Nie wzniesiecie wysokiego lotu —
Drżycie pióra zmęczone — złotego obłoku
Nigdy nie ogarniecie.

Znad fali spopielałej unioś szyć łabędziu —
Noc goryczy jest błada —
Nie-gwiazdy, cień gwiazd zepada
łabędziu.

JACEK BOCHEŃSKI

Powrót

Kiedy po latach tę ziemię dziecięcą zwiedzałem,
ważyłem w niej najpierw różnicę ciężaru ciała,
w znajomych kamieniach mierzyłem krok,
wodą plukałem usta aż do smaku młodości.

Tak uporczywie w tężniejszym materiale szukać własnej pamiętki
nie można długo. Bo pojmij —
ziemia już ciebie waży, ciebie mierzą kamienie,
substancja cię równa ze sobą i duszą twą ocenia.

O tak, zmierzony z kamieniem, z tą wodą i z chałupą,
rozumiesz kłamsiwa czasu,
które się we mnie kruszą.
Już nie ma mnie, ty jesteś
Ja skulkiem twoim,
ty jesteś moją przyczyną.
Dla ziemi, dla chałupy — z kłamskami czasu walczyliśmy.

ków naturę. Od piątej po południu byliśmy wolni. O świetlicach czy innych miejscach z odrobiną ciepła i komfortu nie było mowy. Z czasem jeden barak został przerobiony na kartynę, gdzie kupowało się papierozy lub piło kawę siedząc sobie dosłownie na głowach. Wszystkie braki przyjmowano z reguły na wesoło i nadrabiano z nawłazką zapalem i rywalizacją, które udzielały się wszystkim.

Wieczorami, przy świetle jedynej żarówki chyboczącej się w przeciągu, gdy do żelaznego piecyka udało się ukraść nieco węgla z kuchni i parowały ustawione dokoła buty, sala napęniała się szumem gawęd i gwarem gromady, tętniącym najbardziej intymnym, bezpośrednim współżyciem, jakie rodzi wspólnota niedola, w której nawet najmniej uczuciowe usposobienia wyczuwają skrawki wielkości. W smrodliwym półmroku Adolf Bocheński deklamował wiersze. Umiał ich setki na pamięć. Trudno sobie wyobrazić kogoś mniej obdarzonego przez naturę: Adolf miał głos za wysokiego, nie wymawiał r i nieco się jękał. A jednak w głosie jego była melodia, której by żaden aktor nie odtworzył, słowa wiązały się bez patosu w treść, w której każdy własną nutę odnalazł i odczuł w gardle jej autentyczność, niosły poezję najczystsza.

Po odczuciu odrobieniu szkoły rekruta zabraliśmy się z prawdziwą pasją do zgłębiania płytkich, jak się okazało, tajemników wiedzy wojskowej na szczeblu dowodzenia drużyną i plutonem. Oficerowie zawodowi

mieli ciągle kłopoty z tym materiałem ludzkim, tak odbiegającym od szablonu normalnej podchorążówki. Narzucenie dyscypliny nie było problemem. Jej konieczność była zbyt dobrze rozumiana. Natomiast próby przekonania nas w obliczu stanu wojny, która bystrzejszym umysłem zapowładała się już na światową, o celowości ogłupiającego koszarowego drylu, przywiązywania zasadniczego znaczenia do formulek, za którymi nie było treści, tylko podejrzanego rodowodu pseudotradycja — trafiały na odruchowy opór.

Wymaganie od kompanii ciężkiego, fizycznego i nerwowego wysiłku, jak na przykład zarządzanie ostrego strzelania na strzelnicę po sześciokilometrowym dzwiganiu sprzętów z amunicją po pięćdziesiąt kilo, przyjmowano ze sportowym entuzjazmem. Chodzenie jednak w kółko przez pół godziny dokoła placu zbiórki za karę, bo śpiewanie kompanii tego dnia nie spodobało się dowódcy (nie był nim już porucznik Maśliński), wywoływało oburzenie i taki obstrzał szyderstw i złośliwości, że o krok było tylko od złamania dyscypliny.

Niejedyn z nas był w Polsce podczas kampanii wrzesniowej. Lekceważenie Niemców było zatem szczególnie irytujące i miało posmak zwykłej i taniej tromtadacji. Pragnęliśmy się uczyć jak się bić, jak dorównać i przewyższyć przeciwnika w taktyce. Przewidziane w programie zajęć długie godziny na naukę salutowania w miejscu i w marszu, meldowania się i nienaganej

Felysz

Przyjmuję czarną falę, tnącą piany wiatr,
Moment skurczenia twarzy w deszczu —
Jak chleb, jak wodę przyjmuję cały świat —
Buduję swą krótką wieczność.

Rozpala osel swój fioleń. Niech drga
Między muszlami i piaskiem —
Jedyny felysz — póki wiem, że trwam —
To człowiek. Niech w nim zagasną.

TADEUSZ SOKÓŁ.

Powstaniec

Nadsluchiwałeś tuląc ziemię:
wybuchła.
Poszarpanym rękawem
zatoczyłeś horyzont fun.
Gruz twoją młodość zdławił.

Nie zakrywaj bandażem oczu,
nie rozpaczaj, gdy
ulica zmalała na odległość krzyku
i krew zmieszana się z tynkiem.

To miasto
już na zawsze
zamieszka w twym pustym rękawie,
to, miasto,
do którego przytułiłeś rękę
dzwigającą karabin,
rękę zgubioną w rumowiskach.

wanie poszczególnych oddziałów (samiych szkół podchorążych piechoty było już sześć kompanii) w okolicznych wsiach i miasteczkach. Utrudniało to szkolenie i przekreślało praktycznie możliwości uprawiania do woli koszarowego drylu, ale innego rozwiązania nie było.

Najgorsze jednak było wyznaczenie na kwatery miejsc, przy których nawet baraki Koczodanu wydawały się całkiem komfortowe. Były to wyłącznie strychnie, szopy, stajnie, obory, a nawet ekschlewy. Zima 1939/40 była niezwykle ostra i w Bretanii. Na bezwarunkowo najlepszej kwatery, na stryszku u emerytowanej kucharki pani Boishardy, zwanym „ambasadą” ze względu na mieszkojącego tam Lipskiego, spaliliśmy w mrozie, który na tymże stryszku dochodził do ośmiu stopni. A rozdano nam tylko po jednym kocu. Drugi trzeba było oddać tym, co nie mieli go wcale. Zmobilizowane przez tych, którzy mieli znajomych i przyjaciół we Francji, chrzestne matki (marraine'y) przysyłały swetry, szaliki, ciepłe skarpetki i także inexprimable, którymi dzieliliśmy się po bratersku i dzięki temu udało się zmniejszyć procent chorych. Nim zorganizowało się dostawę wełnianych rękawiczek, jedyną ochroną rąk były skarpetki, których nakładaliśmy po dwie pary. Utrudniało to nieco władanie bronią.

W naszych niebieskich przyodziewkach marzliśmy na ćwiczeniach nie słychanie. Szeptana i niezwykle czynna, wewnętrzna agencja prasowa NTP (Niepokój, Intryga, Plotka) co dzień lansowała fantastyczne wiadomości o nadejściu do magazynu prawdziwych, nowych mundurów khaki. Wiadomości okazały się prawdziwe dopiero w początkach stycznia. Było to po pierwszych urlopach, skąd oficerowie przywieźli mnóstwo wieści o posunięciach personalnych w Reginie (hotel, gdzie mieściło się polskie Ministerstwo Spraw Wojskowych), a my ostatni przebieg francusko-brytyjski z refrenem „Będziemy suszyć sobie bieliznę na linii Zygryda”.

Największym jednak zmartwieciem był brak sprzętu do szkolenia (rzut granatami ćwiczyło się zbieranymi w tym celu kamieniami), brak nowoczesnej broni, instrukcji i nauka metod walki tracących już nie roktem 1914, ale wojnami bałkańskimi. Mieliśmy między innymi francuskiego wykładowcę, pułkownika Comte, z Legii Cudzoziemskiej. Był to wspaniały typ zawodowego żołnierza, a jego wykłady, podane w literacko doskonałej francuszczyźnie, były naprawdę sugestywne. Ale o broni pancernej nie wspomniał ani razu. Sprowadziliśmy sobie z Paryża stopy francuskiej literatury wojskowej aż do podręczników Ecole Supérieure de la Guerre włącznie. Poziom ich był imponujący, forma literacka granicząca ze sztuką, ale myśl, którą wyrażały, zatrzymała się wiele lat temu. Z tych frapujących formulek utkwiła mi w pamięci jedna: „L'attaque c'est le feu qui avance, la défense c'est le feu qui arrête”. Książki te z nieodpartą logiką dowodziły, że czołgi nigdy nie mogą działać samodzielnie. Nasi instruktorzy, pomimo swych najlepszych chęci, nie mogli rozwiązać naszych wciąż rodzących się wątpliwości. Nie tylko nie czytali po francusku, ale sami wychowani byli w szkole myślenia, która pogardzała wiedzą techniczną, rachunkiem i pojęciem stosunku ceny, płaconej żywą siłą żołnierską, to jest siłą narodu — do zamierzonego celu.

I tak minęła zima, zaprawiona bólem i wściekłością, które wzbudziły w sercach rzadkie listy i bezpośrednie wiadomości z kraju. Nadeszła wiosna, dla niektórych z nas zaplana jako ostatnia w księdze przeznaczenia, a dla wszystkich niosąca przyrzeczoną przez wodzów pewność szybkiego zwycięstwa. Generał Sikorski, przemawiając do Brygady Podhalańskiej przy poświęceniu jej sztandaru w dniu 15 kwietnia 1940, tak określił agresję niemiecką na Danię i Norwegię: „Niemcy tym szalonym krokiem wydały na siebie wyrok śmierci”.

Prymusem mojej kompanii, który ukończył podchorążówkę z pierwszą lokatą, został Rowmund Piłsudski. Historia bardzo rzadko potwierdza symbolizm nazwisk.

Jan Meysztovia

postawy zasadniczej wydawały nam się stratą cennego czasu.

Sp. Jerzy Paczkowski napisał dla naszej kompanii piosenkę, tak zwany marsz trzeciej K. M.

W listopadzie 1939, nadawano ją przez radio paryskie do kraju z nagranych w tym celu w Koczodanie płyt. Jadąc do Norwegii w kwietniu 1940, sześciu z nas śpiewało ją w Brygadzie Podhalańskiej na cześć autora w chwili przekroczenia Koła Polarnego. W refrenie tej piosenki, śpiewanej na nutę „Morze, nasze morze” były słowa:

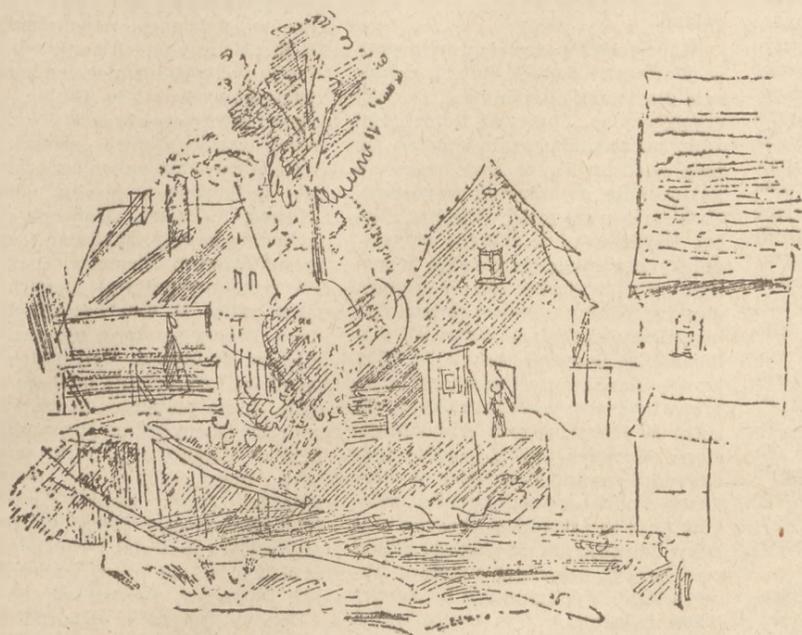
„Mamy c. k.m-y,
Mamy także dużo szarż.
Strzelać jeszcze nie umiemy,
Lecz parady za to znamy marsz
I salutowanie szarż”.

Generalowi Sikorskiemu była poświęcona zwrotka:

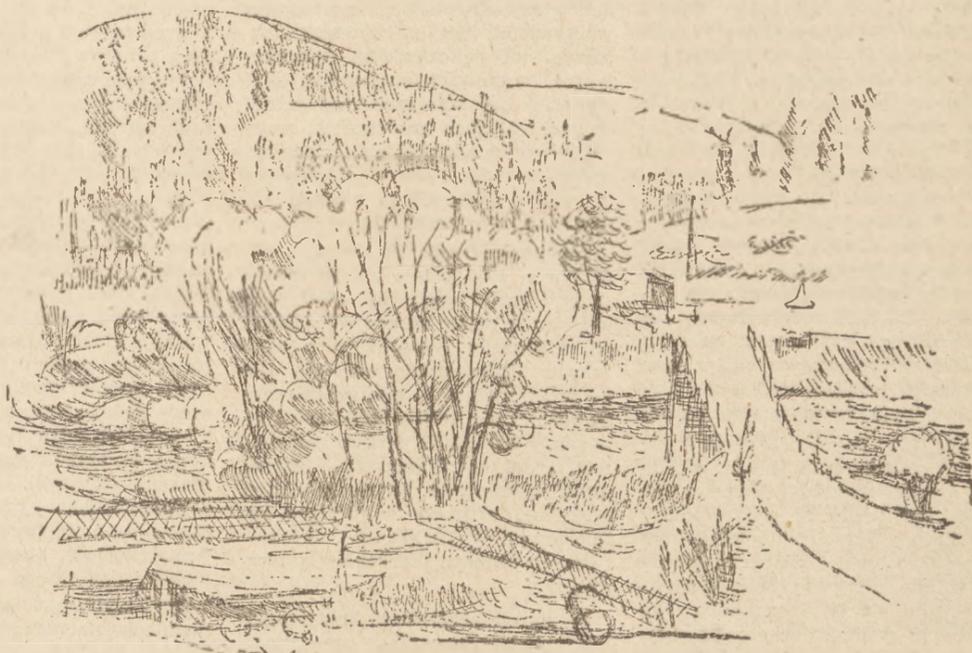
„Już dotarła nasza chwala
Do najwyższych nawet bram,
Do samego generała,
Który tak napisał nam:
Panowie! Brawo! Podziwiałem!
Jedno powiem, jedno wiem,
Gdybym nie był generałem,
Chciałbym być w tej trzeciej ckm,
Tylko właśnie w tej ckm!

Następna, podoficerska faza podchorążówki zbiegła się z „zacieśnieniem” kwater w Coëtquidan. Rolą nadzwyczajnej komisji mieszkaniowej odegrało dowództwo, które stanęło przed nie lada problemem; gdzie podziąć coraz większe ilości napływających rekrutów — i to w zimie. Jedynym wyjściem było zakwatero-

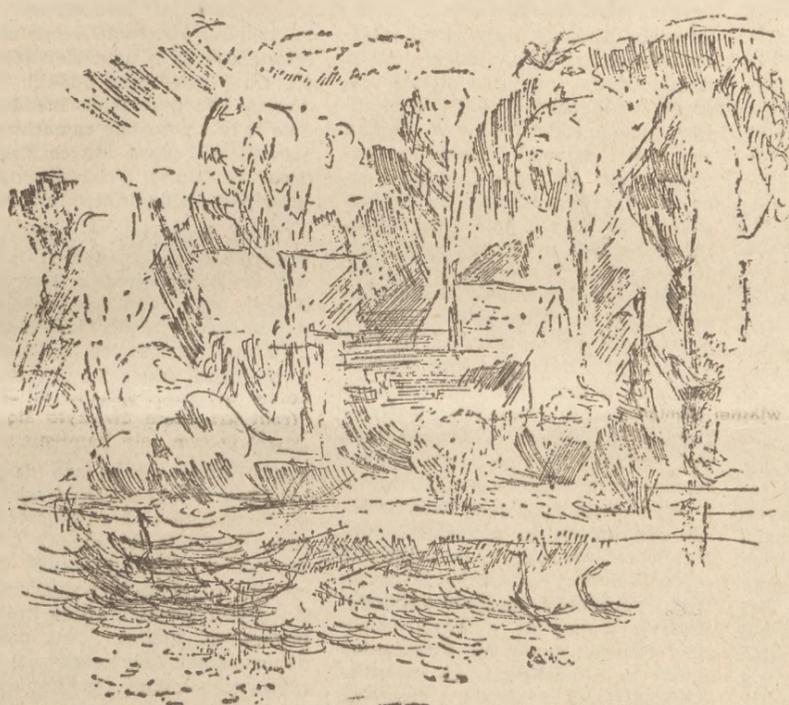
RYSUNKI ADAMA MARCZYŃSKIEGO
KRAJOBRAZ DOLNOŚLĄSKI



Jelenia Góra



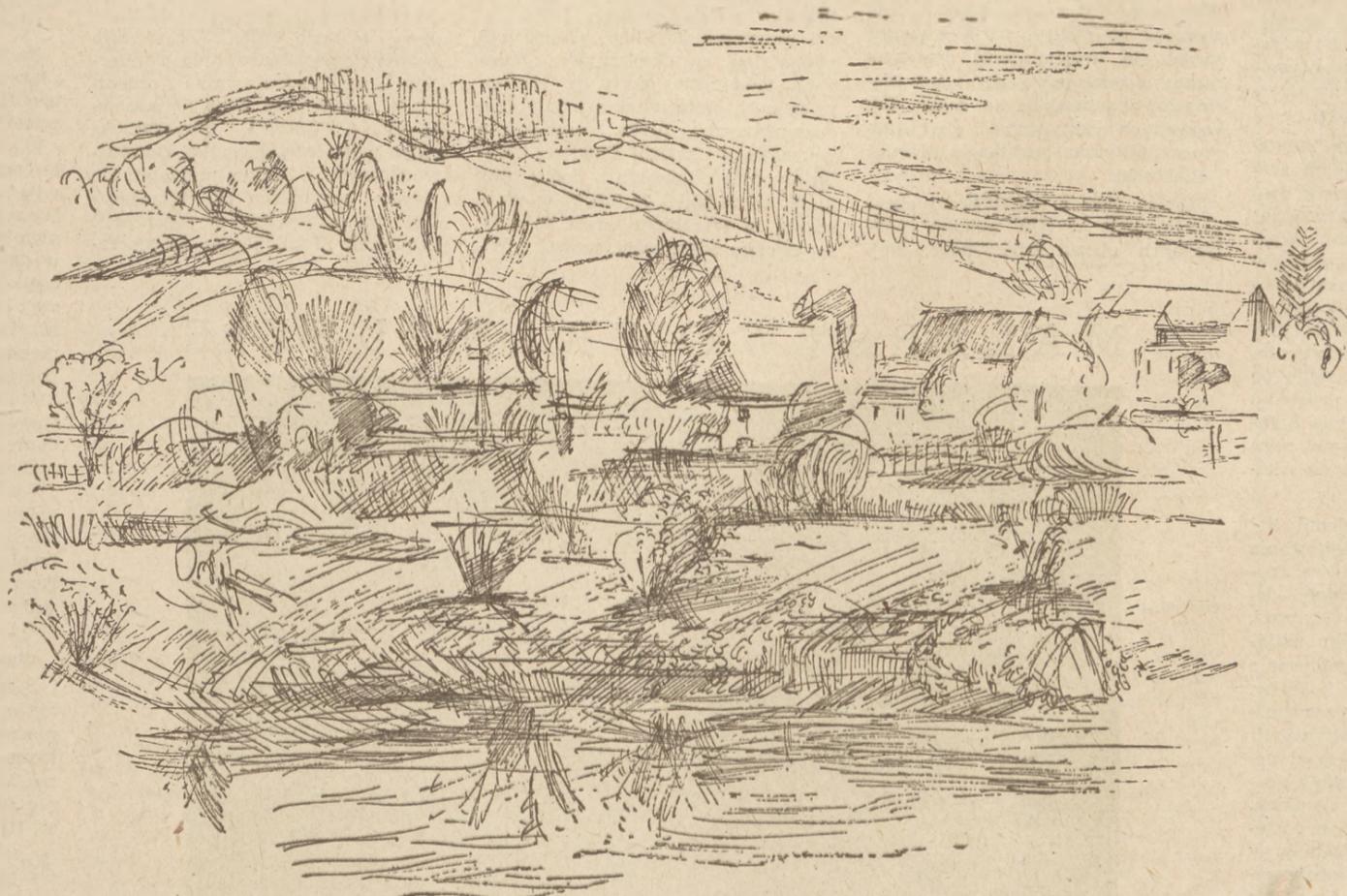
Pilichowice



Kamienica



Gieplice



Pilichowice

STANISŁAW NIENALTOWSKI

Jedno piękne życie

W początkowym okresie walki zbrojnej z Niemcami, gdy Gwardia Ludowa zaczęła się dopiero rozwijać, jednym z najświetniejszych, obok Strzeszewskiego, żołnierzy Polski Podziemnej był niewątpliwie Franciszek Bartoszek — „Jacek”. Postaci tej warto przyjrzeć się bliżej, gdyż jego osobiste losy są typowym przykładem form rozwojowych pokolenia międzywojennego, jego zainteresowań i poglądów. Również dla historyka Polski Podziemnej, dla dziejopisa walczącej Warszawy postacią to niezwykle cenna. Franciszek Bartoszek razem z Janem Strzeszewskim i Stanisławem Skrypiem przyczynili się bowiem w znacznej mierze do tego, że walka zbrojna z Niemcami w roku 1941 nie wychodziła na ogół z fazy propagandy, w roku 1943 i 1944 wybuchła silnym i trwałym płomieniem.

Franciszek Bartoszek urodził się dnia 27 października 1910 r. w Pile jako syn nauczyciela ludowego. Jego matka pochodziła ze wsi. Rodzina była liczna: Franciszek miał jeszcze dziesięć siostrę i braci. Po pierwszej wojnie światowej ojciec Bartoszek osiedlił się w Czarnkowie, aby umożliwić swoim dzieciom uczęszczanie do szkoły średniej. W Czarnkowie Franciszek skończył gimnazjum. Przeszedłszy na emeryturę ojciec Franciszka zamieszkał w Poznaniu.

Po ukończeniu gimnazjum Franciszek musiał rozstrzygnąć o wyborze zawodu. Przemógł wolę rodziców, którzy chcieli posłać go do seminarium duchownego. Zaostrzony w niewielką kwotę pieniędzy, wybrał się na dalsze studia do Warszawy. Krok ten przesądził o jego całym życiu.

Do Warszawy przybył Bartoszek w chwili, gdy jego poglądy zaczęły się dopiero kształtować. Miał dużo silnej woli, która pozwoliła mu wytrwale dążyć do raz wytkniętego celu. Wykształcenie zdobyte w gimnazjum urobiło w nim pogląd idealistyczny na świat, wyrażający się w uwielbieniu prawdy i sprawiedliwości. Obdarzony wrodzoną inteligencją, interesował się wieloma dziedzinami wiedzy, jednakże najsilniej przejął się zagadnieniem nierówności między ludźmi, nierówności społecznej i ekonomicznej.

Pobyt w Warszawie sprzyjał dalszemu pogłębianiu się zainteresowań społecznych, tym więcej, że jego sytuacja materialna była opłakana. Od rodziny otrzymał niewiele. Ażeby żyć i opłacić studia, musiał chwycić się każdej pracy. Wykonywał prace kreślarskie, ryl napisy w kamieniu, dawał korepetycje. W związku z kłopotami pieniężnymi warunki mieszkaniowe były również trudne. Mieszkał w coraz to innych punktach Warszawy, a zawsze w ciasnocie, w jakichś suterynach na Czerniakowskiej, potem na Dobrej.

Decydując się na wyższe studia, Bartoszek nie od razu odgadł swe powołanie i odnalazł właściwą drogę. Przez rok uczęszczał na wydział humanistyczny Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie słuchał wykładów z zakresu romanistyki. Bardzo szybko jednakże doszedł do wniosku, że jedynie w dziedzinie malarstwa i grafiki będzie miał coś do powiedzenia. Umocnił się w tym przekonaniu po kilkumiesięcznej nauce rysunku w prywatnej szkole malarstwa Blanka i Mercera. W następnym roku akademickim zdał egzamin do Akademii Sztuk Pięknych.

Okres studiów w Akademii był jednocześnie okresem kształtowania się jego zapatrywań na państwo, społeczeństwo, gospodarkę, wojnę — jego ideologii społecznej i artystycznej. W Warszawie, w środowisku mającym niejako w programie umiłowanie prawdy i piękna, w gronie kolegów, okazujących żywe zainteresowanie dla spraw społecznych, politycznych i gospodarczych, prędko przyjął podawane przez nich rozwiązania rozmaitych dręczących go zagadnień. Stał się gorącym zwolennikiem postępu, rzecznikiem zmiany i przebudowy ustroju w myśl założeń proponowanych przez socjalizm. Stał się zatem żarliwym wyznawcą programu głoszącego usunięcie narośli kapitalizmu z żywego ciała narodu, uspołecznienie wielkich przedsiębiorstw,

podcięcie korzeni obszarnictwa przez reformę rolną, usunięcie wyzysku człowieka przez człowieka, urzeczywistnienie hasła braterstwa ludów. Jak większość młodzieży postępowej w Akademii tak i Franciszek Bartoszek stał się członkiem demokratycznej organizacji studenckiej „Życie” i w jej szeregach brał udział w wielu akcjach studenckich, zmierzających do uzyskania bezpłatności nauki, ułatwienia studiów i poprawy warunków materialnych niezamożnej młodzieży akademickiej.

Akademii Sztuk Pięknych ukończył w r. 1935. Zdaje się, że w tym samym czasie zaczął pracować jako asystent w dziale malarstwa polskiego, w Muzeum Narodowym w Warszawie. Jednocześnie malował. Jego prace malarskie wystawiono nieco później, w r. 1938 w Instytucie Propagandy Sztuki. W okresie tym brał też udział w tłumaczeniu historii sztuki Hammanna. Znałe były również jego artykuły teoretyczne, zamieszczone w „Arkadach”, „Pionie” i innych pismach literacko-artystycznych.

W swych artykułach krytycznych wystąpił Bartoszek jako przedstawiciel tego kierunku teoretyków, którzy analizując dzieło sztuki widzą w nim wyraz dążeń i usiłowań autora jako członka określonej warstwy społecznej narodu. Wywody jego opierały się mocno na danych z historii politycznej, historii obyczajów, kultury, ekonomiki i walk społecznych. Te same poglądy głosił w przemówieniach do przygodnych słuchaczy w czasie oprowadzania wycieczek niedzielnych po dziale malarstwa polskiego w Muzeum Narodowym. Przemówienia te wygłaszał on z entuzjazmem, jaki daje mocne przekonanie o słuszności poglądów i dlatego miały licznych i chętnych słuchaczy. Wkrótce wykłady Bartoszka uzyskały duży rozgłos, który zaczął się mocno nie podobać czynnikom personalnym Muzeum, upatrującym w wystąpieniach młodego malarza propagandę lewicowo-demokratyczną, w związku z czym Bartoszek został przeniesiony do działu malarstwa obcego. W r. 1936 udało mu się jednak otrzymać stypendium na wyjazd za granicę na dalsze studia malarskie do Paryża i Wenecji. Do kraju wrócił w r. 1938.

Wybuch i przebieg wojny w Polsce w r. 1939 przeżył Bartoszek początkowo w Warszawie, a następnie w Białymstoku, gdzie go zastały wojska radzieckie. Wkrótce ruszył do Lwowa i chociaż nawiązał tu styczność z miejscowymi kołami artystycznymi, ogarnęła go tęsknota za Warszawą. Już na początku r. 1940 powrócił do stolicy, gdzie wówczas zaczął się krystalizować demokratyczny ośrodek polityczny, z inż. Marianem Spychalskim na czele. Jak wszystkich aktywnych patriotów praca polityczna pochłonięła również i Bartoszka.

Koniec 1939 i rok 1940 to okres gwałtownej krytyki założeń politycznych obozu sanacyjnego. Naj-

więcej uprawnieni do tej krytyki byli ci demokraci, którzy od początku istnienia sanacji znali jej cele, a metod rządzenia doświadczyli na samych sobie. Dwa główne zarzuty ciążyły na sanacji: próba szukania oparcia o państwa faszystowskie w polityce międzynarodowej oraz dyktatorski system rządzenia w stosunku do własnego narodu, tłumiący wewnętrzne jego siły. Po okresie krytyki czynniki demokratyczne rzuciły narodowi polskiemu hasła polityczne odpowiadające jego potrzebom i wynikające z ogólnego układu sił politycznych na świecie. W zakresie polityki zagranicznej narodu demokraci wysunęli hasło walki z niemieckim najeźdźcą, walki z ideologią faszystowską jako tą, która popiera okupanta oraz hasło współdziałania z międzynarodową demokracją, a przede wszystkim ze Związkiem Radzieckim. W zakresie stosunków wewnętrznych demokraci wysunęli hasło zerwania z dyktatorskim systemem na wzór sanacyjny i urzeczywistnienia pełnej demokracji w nowoczesnym rozumieniu tego słowa.

Gdy wybuchła wojna radziecko-niemiecka, te dotąd teoretyczne rozważania znalazły natychmiast zastosowanie praktyczne. Niemcy stały się wspólnym wrogiem Polski i Związku Radzieckiego, a wojna weszła w okres rozstrzygający. Na czoło zagadnień wysunęło się obecnie hasło natchmiastowej walki z wrogiem wszelkimi dostępnymi środkami. Inne cele schodziły na plan dalszy. Obowiązkiem patriotów była teraz walka. Ona bowiem jedynie mogła ratować naród przed wyniszczeniem, ona zbliżała wyzwolenie, ona wreszcie wiązała Polskę tak jej potrzebnym sojuszem ze Związkiem Radzieckim i demokracjami Zachodu.

W chwili, gdy w warszawskim ośrodku demokratycznym dokonywała się nowa ocena sytuacji politycznej i wojennej, Bartoszek przebywał w Jaśle, dokąd wyjechał wspólnie z inż. Rumińskim, który został tam kierownikiem miejscowej rektyfikacji. Do Jasła wyjechał już Franciszek wraz z żoną, również gorącą bojowniczką ideały demokratyczne, co bardzo ułatwiało mu zadanie, jakie przed nim stawała dziejowa chwila i organizacja. Już w Jaśle przy końcu 1941 i w pierwszej połowie 1942 r. przystąpił Bartoszek do aktywnej działalności konspiracyjnej. Współ z Rumińskim i Kapałą zorganizował w Jaśle kilkunastu młodych ludzi, wśród których początkowo prowadził działalność propagandową przez wydawanie wiadomości radiowych z własnym komentarzem i uzupełnieniami. Wkrótce potem na czele kilku ludzi przystąpił do akcji sabotażowej podpalając w okolicznych majątkach niemieckie sterty ze zbożem za pomocą materiałów zapalających, dostarczonych przez organizację warszawską Gwardii Ludowej. Materiały były odbierane z domu przy ul. Nowogrodzkiej 25 lub 27 w Warszawie, a wyrabiane przez inżyniera, członka organizacji, współ z Wi-

toldem Trylskim i Julianem Kanią („Antkiem”). Następnie przedmiotem sabotażu grupy jasielskiej były okoliczne szyby naftowe i cysterny z ropą, które co pewien czas podpalano.

W lecie 1942 r. został aresztowany w Warszawie Leszek Rotert, z którym Bartoszek utrzymywał kontakt organizacyjny. Ponieważ Rotert znał adres jasielski Bartoszka i można się było spodziewać, że pod wpływem tortur może go zdradzić w gestapo, Franciszek postanowił wyjechać z Jasła. Uzyskawszy w fabryce przysługujący mu miesięczny urlop wypożyczony wyjechał do Warszawy, aby tu dalej prowadzić działalność konspiracyjną. W Jaśle rozpuścił wiadomość, że jest w Krakowie. W Warszawie stanął natychmiast na czele grupy bojowej i wykonał kilka zamachów na Niemców oraz szpicłów gestapo. Wrzesień 1942 i połowę października spędził Franciszek w Gorlicach. Poddał się tam operacji żyłaków (jest to zawodowa choroba malarzy, zmuszonych do ciągłego stania przy pracy), wyczął i nabrał nowych sił, tak potrzebnych do dalszej walki. Właśnie w tym czasie walka wyzwolenicza w kraju weszła w nowy okres. Gwardia Ludowa po początkowym dużym wysiłku organizowania partyzantki w kraju przeżywała kryzys, spowodowany aresztowaniami wielu działaczy. Największe aresztowania nastąpiły na jesieni 1942 r. Aresztowania przeprowadzano zarówno w Warszawie, jak i w okolicach podmiejskich. Gdy w szeregu sabotaży i dywersji, przeprowadzanych przez Gwardię Ludową i inne organizacje podziemne, zostały wysadzone w nocy z dnia 7 na 8 października 1942 r. wszystkie tory kolejowe wokół Warszawy, co spowodowało unieruchomienie węzła warszawskiego na wiele godzin, Niemcy postanowili się zemścić. 15. X. 1942 to pamiętna data w ruchu wyzwolenicznym. W dniu tym powieszono na przedmieściach Warszawy: w Rembertowie, Markach, Włochach, oraz Pelcowiznie i Woli 50 Polaków. Szubienice postawiono w pobliżu torów kolejowych, a rozklejone obwieszczenia oznajmiały, że powieszenie nastąpiło za wysadzenie w powietrze torów kolejowych. Część powieszonych pochodziła spośród aresztowanych z dnia 27 września członków Gwardii Ludowej. Powieszono wtedy m. i. następujących gwardzistów: Mariana Kwaśnika, Aleksandra Karczmarskiego, Jana Szymańskiego, Franciszka Ilskiego, Stefana Romanowskiego, Wacława Kokoszkę, Witolda Trylskiego i Juliusza Kanię.

Gdy Bartoszek przyjechał do Warszawy, w łonie organizacji zapadło postanowienie odparowania niemieckiego ciosu. Na kierownika i organizatora wyznaczono Jana Strzeszewskiego („Wiktor”). Strzeszewski szukał wówczas pomocnika. Dowództwo Główne G. L. dało mu zatem do pomocy przybyłego do Warszawy Bartoszka, który miał w organizacji pseudonim „Jacek”; jego dotychczas-

sowa praca dawała gwarancję, że wywiąże się jak najlepiej z powierzonego mu zadania.

Obaj organizatorzy niedługo pozwolili czekać na wyniki swej pracy. Oto w godzinach popołudniowych 24. X. 1942 r. w trzech punktach Warszawy, w dwóch niemieckich lokalach rozrywkowych: Café Clubie i kawiarni dworcowej oraz w lokalu redakcji warszawskiego „szmatławca” (tak Polacy nazywali niemieckie gazety wydawane w języku polskim), „Nowego Kuriera Warszawskiego” wybuchły bomby, zabijając i raniąc zgromadzonych Niemców. Bartoszek nie tylko przygotował zamach, ale także wziął w nim bezpośredni udział. Razem ze swym przyjacielem, również malarzem, Zygmuntem Bobowskim („Tadkiem”) udał się około godz. 4. po południu do restauracji „nur für Deutsche” na Dworcu Głównym w Warszawie. „Tadek” pozostał jako ubezpieczenie na zewnątrz gmachu, „Jacek” wszedł do restauracji. Położywszy małą walizkę, zawierającą materiał wybuchowy, na krześle wśród przebywających na sali Niemców, zwrócił się do najbliższego sąsiada i wyborną niemiecką poprosił go o przypilnowanie walizki, gdy on pójdzie do kasy po bilet. Wybuch nastąpił na zasadzie działania odpowiedniego kwasu w płynie na materiał wybuchowy, które to działanie zaczynało się po umieszczeniu walizki w odpowiedniej pozycji. Obaj gwardziści oddalili się od dworca bez przeszkód. Podobnie udało być i pozostałe zamachy, przeprowadzone przez innych żołnierzy Gwardii. Ofiarą tych trzech zamachów padło kilkudziesięciu Niemców.

Odtąd Bartoszek uczestniczył we wszystkich znaczniejszych akcjach warszawskiego ośrodka Gwardii Ludowej, bądź jako samodzielny dowódca, bądź też pod zwierzchnictwem „Wiktor”, dopóki ten znajdował się na wolności. Akcje zbrojne stały się jego żywiołem. Znajdował w nich ujście dla swej nienawiści przeciwko wszelkiej tyranii, wszelkiemu uciskowi. Natchnieniem jego działalności zbrojnej była nie tylko wizja Polski Niepodległej, ale równocześnie gorące ukochanie demokracji i takich stosunków międzyludzkich, w których by nie było wyzysku, ciemnoty i nędzy, a zamiast wojen królowało braterstwo ludów. Ten niedoszły dąbrowszczak (gdy przebywał w Paryżu, zgłosił chęć przystąpienia do polskiej brygady, walczącej o wolność Hiszpanii, ale prośba jego nie została uwzględniona) raził teraz na warszawskim bruku tych samych faszystów, których chciał zwalczać w Hiszpanii.

Ze znaczniejszych akcji, w których „Jacek” brał udział, należy wymienić przede wszystkim zamach na K.K.O. w dniu 30. XI. 1942. — Odebrano przeszło milion złotych kontrybucji, nałożonej przez okupanta na stolicę po wypadkach z dnia 24. X. 1942 r. W zamachu odwetowym za terror niemiecki i łapanki, wykonanym w dniu 17. I. 1943 przez dwie dwuosobowe grupy gwardzistów, Bartoszek brał tylko pośredni udział, organizując i przygotowując do wystąpienia. Zamachy zasadniczo się udały, ponieważ w obu kinach niemieckich, które były przedmiotem akcji, padło znowu kilkudziesięciu żołnierzy i oficerów. W kinie „Helgoland”, gdzie podłożyło bombę dwoje gwardzistów, „Wanda” i „Felek”, sukces był zupełny, natomiast w kinie „Apollo”, na placu Trzech Krzyży, podkładający bombę „Kazik Dębiak” (Władysław Buczyński) zginał po półgodzinnej walce z Niemcami, pozabawiając się życia ostatnią kulą.

Wspólnym dziełem Bartoszka i Strzeszewskiego były dwie dalsze akcje, tym razem eksperymentalne: pierwsza — na Ubezpieczalnię Społeczną na Powiślu w dn. 15 I 43 r. oraz druga — na Polską Wytwórnę Papierów wartościowych w dn. 28. II. 43 r. Obie akcje przeprowadzono pomyślnie, chociaż efekt finansowy przyniosła jedynie pierwsza.

Po uwięzieniu „Wiktor” Bartoszek objął dowództwo warszawskiego oddziału specjalnego Gwardii Ludowej. Pierwszą samodzielnie przez niego

MALARSTWO FRANCUSKIE



GUSTAVE COURBET (1819-1877)

Kamieniarze

przeprowadzona akcja to wykonanie wyroku śmierci na komendancie policji granatowej w Warszawie, Reszczyńskim. Wyrok został wykonany nocą. Po opanowaniu mieszkania komendanta, obezwładnieniu rodziny i gości i przecięciu połączeń telefonicznych, Bartoszek oczekiwał na wejścia Reszczyńskiego do godz. 10 wieczorem. Mimo braku połączenia z domem komendant nie podejrzewał niczego. Odprawivszy samochód z eskortą wszedł w bramę, gdzie już nań czekali dwaj gwardziści. Przed wykonaniem wyroku Bartoszek w czasie całonocnego wywodu przedstawił Reszczyńskiemu wszystkie jego przewinienia wobec narodu polskiego, zarówno znane już organizacjom, jak też i te, o których dowiedział się z materiałów znalezionych w mieszkaniu zdrajcy. Reszczyński początkowo próbował się bronić, jednakże dowody zdrady były tak oczywiste, że nie mógł im zaprzeczyć i w końcu musiał przyznać się do winy. Wyrok został wykonany w łazience nad ranem, w marcu 1943 r. Materiały zdobyte u Reszczyńskiego okazały się potem bardzo pomocne w dalszej pracy dowództwa Gwardii.

Trup Reszczyńskiego był ostrzeżeniem dla innych polskich wyższych oficerów policyjnych, aby zawrócili z dotychczasowej drogi i zaprzestali wydawania podległym im oddziałom rozkazów współdziałania z policją niemiecką w dalszym wyniszczaniu narodu polskiego przez: zwalczanie partyzantki, łapanie, aresztowanie żołnierzy Polski Podziemnej i obywateli polskich narodowości żydowskiej, przez udzielanie pomocy przy ściąganiu kontyngentów i wysyłaniu ludności na roboty do Niemiec oraz przez odbieranie żywności przewożonej do miasta. Trup Reszczyńskiego przestrzegał policję granatową przed dalszym spełnianiem roli, jaką jej wyznaczył niemiecki najeźdźca, apelował do polskiego sumienia granatowych policjantów i ich poczucia wspólnoty narodowej.

Tymczasem nadszedł kwiecień 1943 r. z im powstanie w ghetcie warszawskim. 19. IV. 1943 r. Warszawa została obudzona ogłosem gwałtownych strzałów w murach ghetta. Ludność żydowska odpowiedziała zbrojnie na ujawniony przez zbirów hitlerowskich zamiar wysiedlenia ghetta oraz przeznaczenia jego mieszkańców do komór gazowych i krematoriów licznych obozów śmierci. Zawrzała walka na śmierć i życie.

Gwardia Ludowa stanęła wobec całkiem nowej sytuacji. Bohaterski zryw warszawskich Żydów ponownie unaoocnił polskiemu społeczeństwu jedność celów obu na wspólnym terytorium żyjących narodowości. Wyłoniła się potrzeba podkreślenia tej jedności również i ze strony narodu polskiego. Zadanie to wzięła na siebie Gwardia Ludowa i tylko ona jedna zmanifestowała z bronią w ręku solidarność obu narodowości w walce z hitlerowskim najeźdźcą. W tej manifestacji solidarności nie miała rolę odegrał Franciszek Bartoszek.

W południe 20. IV. 1943 „Jacek“ zarządził zbiórke swego oddziału. Po rozdaniu broni wszyscy poszli w stronę Starego Miasta, skąd dochodziły odgłosy prowadzonej walki. „Jacek“ nie miał jeszcze konkretnego planu działania. Należało przedtem zrobić wywiad, w związku z czym gwardziści rozeszli się w rozmaite strony. Część oddziału próbowała rozejrzeć się w sytuacji ze strychów wysokich domów w pobliżu ghetta, „Jacek“ zaś doszedł aż do jego murów, celem ustalenia miejsca postoju posterunków niemieckich.

Na rogu Nowiniarskiej i Franciszkańskiej tkwił niemiecki karabin maszynowy, obsługiwany przez kilku żołnierzy niemieckich. Obok stało dwóch granatowych policjantów. Karabin co pewien czas oddawał serię strzałów do domów za murem ghetta. Nieliczni przechodnie omijali karabin w odległości kilkunastu kroków, wzywani do tego przez policjantów, którzy jednocześnie wskazywali Niemcom bojowców żydowskich, ostrzeliwujących się z rzadka z domów za murem.

Bartoszek obserwował tę scenę przez pewien czas i uznał, że lepszej sposobności do uderzenia nie znajdzie. Jednakże na razie nie miał nikogo pod ręką. Oddział miał się zgrupować dopiero po zebraniu wiadomości co do rozstawienia posterunków nie-

mieckich. W tych warunkach „Jacek“ postanowił działać sam i nie namyślając się długo wyciągnął z kieszeni rewolwer. Kilkom strzałami położył na chodniku dwu Niemców z obsługi oraz zdażył jeszcze poczęstować kulami obydwóch policjantów, odpinających z pośpiechem kabury pistoletów. Reszta obsługi uciekła w popłochu. Gdy odwrócił się, stwierdził koło siebie pustkę. Spiesznym krokiem ruszył Franciszkańską i wkrótce dostał się bez przeszkód na miejsce zbiórki oddziału przez nikogo nie ścigany. Po zebraniu się wszystkich oddział spieszenie opuścił teren Starego Miasta.

Ten akt odwagi i męstwa mógł zostać spełniony tylko w warunkach ożywionej działalności dywersyjno-bojowej, jaką prowadził „Jacek“ w tym okresie. Najwięcej pracy włożył Bartoszek w przygotowanie zamachów na koleje w okolicach Warszawy. Akcje kolejowe były bowiem uznane za najważniejszą ze wszystkich form walki z okupantem. One przecięz hamowały transporty frontowe, a przez to przyczyniały się do zwycięstwa.

Jeszcze jesienią, na czele kilku ludzi, dwukrotnie zerwał „Jacek“ tory na odcinku Warszawa—Zyrardów. W grudniu tegoż roku przedsięwziął i doprowadził dwukrotnie do skutku śmiały zamiar wysadzenia torów pod tunelem linii średnicowej w Warszawie. Ubrany w biały płaszcz dla zamaskowania dostał się nocą na

przedtem obrane miejsce. Choć obie akcje okazały się nieudane (z winy złego materiału wybuchowego), to jednak dowodziły nieustraszonej odwagi.

W marcu 1943 r. Bartoszek co drugi dzień dokonywał rozkręcania szyn lub wysadzania torów kolejowych w Warszawie i okolicy. Z wypraw tych wracał często z przestrzeloną czapką lub płaszczem, ale zawsze uśmiechnięty, zawsze z humorem opowiadający o swoich przygodach.

„Kdziejówek“ tych miał za sobą co najmniej kilkanaście, m. in. dwukrotnie zerwany tor kolejowy na nasypie średnicowym na Pradze.

„Jacek“ miał szczególne upodobanie do samodzielnych akcji zbrojnych, w których mógł liczyć jedynie na własne siły. Likwidacja obsługi c. k. m. w czasie powstania w ghetcie nie była bynajmniej wyjątkiem. Prawie sam, bo tylko z „Wandą“, zastrzelił trzech wyższych oficerów SS. w mieszkaniu na rogu Marszałkowskiej i Wspólnej, wymykając się na ulicę na dwie minuty przed przyjazdem gestapo. Również bez większego ubezpieczenia przeprowadził na Starym Mieście w Warszawie likwidację niebezpiecznego agenta gestapo Kwiatkowskiego — na oczach żandarmów i gestapowców, przybyłych na umówione spotkanie z gwardzistami. Z akcji, przeprowadzanych przez „Jacka“ z dowodzoną przez siebie

oddziałem, zasługuje na wyróżnienie uwolnienie więźniów z obozu na Skaryszewskiej w lufym 1943 r.

15 maja 1943 r. był dla warszawskiej organizacji Gwardii Ludowej jednym z najcięższych dni. Tego dnia bowiem został aresztowany dowódca organizacji, Warszawskiej Gwardii Ludowej, Stanisław Skrypij („Sylwester“, „Andrzej“). Również tego dnia w godzinach południowych rozegrał się na ulicach Warszawy ostatni bój Franciszka Bartoszka.

W ciągu kilku dni, poprzedzających tę fatalną datę, Bartoszek przygotowywał zamach ekspropriacyjny na warszawski oddział banku „Spółem“, mieszczący się przy ul. Krakowskie Przedmieście 16/18. Przygotowania nie trwały długo i prawdopodobnie ograniczyły się do oględzin lokalu przez uczestników akcji. Powierzchność przygotowań była zdaje się przyczyną niepowodzenia, tak tragicznego w skutkach.

Dnia 14. V. 43 pięciu gwardzistów pod dowództwem „Jacka“ udało się do lokalu banku. Jacek i trzech jego podkomendnych weszli do środka, natomiast „Felek“ (Duracz, syn znanego przed wojną adwokata, obrońcy w procesach politycznych) oraz „Wanda“ stanowiąc ubezpieczenie zewnętrzne; „Felek“ w bramie, „Wanda“ na schodach. Po kilku minutach na drugim piętrze gmachu otworzyło się gwałtownie okno i roz-

legł się okrzyk „Policja, napad“. Wtedy „Wanda“ pobiegła na górę, aby ostrzec towarzyszy.

Gdy gwardziści schodzili na dół, przed dom zajechał samochód pełen policji granatowej, a zaraz potem drugi z policją niemiecką. „Felek“ i „Wanda“ zdążyli jeszcze wyostać się poza pierścień policyjny, jaki się utworzył natychmiast koło domu. Reszta gwardzistów zmuszona była torować sobie przejście strzałami. Kule niemieckie położyły trupem trzech zamachowców, m. i. Zygmunta Bobowskiego („Tadka“). „Jacek“ znalazł się już poza zasięgiem strzałów niemieckich i mógł bezpiecznie skryć się w krętych uliczkach Powiśla. Jednakże na widok padającego od kul przyjaciela powrócił doń, chcąc bądź go ratować, bądź też unieść z sobą teczkę z pieniędzmi, zdobytymi w banku, a stanowiącymi dla Gwardii dużą wartość. Pochyliwszy się nad przyjacielem, schwył teczkę, wypadł z jego ręki i spokojnie odszedł w kierunku ulicy Kopernika. W tej chwili nadbiegł z tyłu agent gestapo, ubrany po cywilnemu i kilkom strzałami powalił „Jacka“ na ziemię. Z całej grupy uratowali się tylko „Wanda“ i „Felek“.

Ciało „Jacka“ zostało zabrane, tak jak i ciała wielu innych żołnierzy Polski Podziemnej padłych na ulicach Warszawy w okresie okupacji, przez gestapo, a następnie bądź pochowane w niewiadomym miejscu, bądź spalone.

Stanisław Nienalowski

STEFAN ŻÓLKIEWSKI

Aktualne zagadnienia naszego piśmiennictwa

Trudności transportowe nie zostały jeszcze w Polsce całkowicie przezwyciężone. Przyjemnie jest czytać w prasie szwedzkie słowa podziwu dla tempa odbudowy naszego kolejnictwa, wiem jednak, jak bardzo trzeba zagęścić sieć transportu spółdzielczego, aby ostatecznie zerwać „żelazną kurtynę“ spekulacji, która dziś jeszcze oddziela wiejskiego odbiorcę od uspołecznionej i tanio produkującej wytwórni przemysłowej.

Okres niedomagań naszej łączności zostawił ślady również w życiu kulturalnym. Powstało wiele regionalnych pism, które obsługiwały najbliższy teren, korzystały z miejscowych piór i noszą zrozumiałe piętno prowincji. Ale też ta decentralizacja była, jak sądzę, przede wszystkim konsekwencją niedomagań centralnego aparatu rozdzielczego. Decentralizacja jest może w zasadzie słuszną — walczą o nią u siebie Cześć. Myślę jednak, że my jesteśmy na to kulturalnie za ubodzy, zanadto wyniszczeni.

Czas już największy przyjąć do wiadomości fakt odbudowy naszego transportu i cały wysiłek włożyć w rozwijanie i doskonalenie centralnych ogólnopolskich pism, które by odpowiadały w pełni wysokim tradycjom naszej kultury.

W rezultacie bowiem dotychczasowej polityki decentralistycznej stosowano w czasopiśmiennictwie polskim na ogół zbyt łagodne kryteria przy selekcjonowaniu materiału przeznaczonego do druku. W piśmie tych było zbyt wiele jałowości i nudy. Warto o tych sprawach mówić z okazji dwuletniego jubileuszu „Odrodzenia“, pisma, które zawsze umiało stać na wysokości wymagań naszej tradycji kulturalnej i dobrze spełnia swą rolę ogólnopolskiego pisma literackiego.

Miło jest móc powołać się na ten zaszczytny wyjątek. Bo reguła jest bardziej wstydliva. W publicystyce ideologicznej mamy prymitywizm myśli, ubóstwo informacji, nieznamość tego, jak wygląda w Europie stan dyskusji nad danym zagadnieniem, a w młodej literaturze najazd „autentyzmu“. To znaczy przewagę utworów „szczyrych“, „przeżytych“, ale napisanych bez znajomości rzemiosła, będących bezstylowym zlepkiem różnego typu metafor i środków wyrazu czerpanych bez świadomego wyboru, z przypadkowych źródeł. Gdy normalnie u młodego, dobrze zapowiadającego się pisarza, tak jak i u młodego malarza czy uczonego, łatwo było rozpoznać cechy stylu jego mistrza, widać było cenną pracę osiągnięcia jednolitości

i indywidualności stylu i myśli według miary wybranego, doskonałego wzoru, w utworach publikowanych w naszych prowincjonalnych piśmie widać dowodnie zupełny brak umiejętności świadomej pracy artystycznej nad dziełem. Panuje „szczere“ wrzuseń“ i wrzuszające w swej szczerości ubóstwo środków wyrazu, nagromadzonych bez wyboru, wzajemnie się przygłuszających. Wraz ze stabilizacją naszego gospodarstwa, politycznego i kulturalnego życia ten stan rzeczy powinien przejść do dziedziny wspomnień z pierwszych trudnych i pobłażliwych lat niepodległości.

Mógłby ktoś, interesujący się naszą polityką kulturalną, zarzucić mi, że proponuję dalsze śrubowanie poziomu naszego piśmiennictwa, kiedy zbyt wielu odbiorców i dziś do poziomu osiągniętego nie dorasta. Oczywiście łatwo jest na to odpowiedzieć, że poronione, artystycznie niedołeżne utwory nie stanowią w żadnym sensie literatury popularnej. Lecz zagadnienie, zbyt poważne, nie pozwala, by tak je ominąć.

Mam możliwość, z racji mojej działalności politycznej i oświatowej, stykać się ze słuchaczami o małym przygotowaniu formalnym. Spotkania takie odbywają się rzadziej niżbym chciał; pozwalają przeciw zrobić sobie uczciwy sąd o tej sprawie.

Niewątpliwie przepaść, jaka dzieje się szerokie masy — wśród których lęgną się baśnie o mordach rytualnych — od drobnej grupy naszych intelektualistów, jest najgroźniejszym przejawem naszego życia kulturalnego. Przypomina to do złudzenia ponure stosunki w przedwojennej Rosji. Ale ten stan rzeczy nie narodził się u nas dzisiaj. Wytykał go za zgrzą choęby Norwid. Byliśmy krajem od dawna tak upośledzonym i zacofanym gospodarczo, że i stosunki kulturalne nie mogły układać się u nas według słusznych i ludzkich wzorów społeczeństw przodujących. Fakt, iż ten stan rzeczy stanowi część naszej tradycji kulturalnej, pociąga za sobą zasadnicze konsekwencje. Szerokie masy u nas przyswajały sobie za mało subtelnych technik kulturowych — od sztuki czytania po prowadzenie samochodu — technik, wykształconych przez nowoczesne, przodujące społeczeństwa europejskie. Lecz to była tylko jedna strona spadku, któryśmy otrzymali od historii za nieśmiałość reform i egoistyczne ospalstwo. Drugą jego stroną było to, iż znów zbyt szczupła garść przyswajała sobie te wszystkie subtelne techniki.

Niemniej jednak nie wolno nam

nie doceniać wkładu pracy tych niewielu. Starają się naprawić zło, zasympać przepaść dzielącą nasze społeczeństwo; nie możemy zrywać wątlej nici łączącej nas z dojrzałą kulturą, z dojrzałą techniką. To nie jest sprawa piękno duchostwa. To sprawa życia.

Kultura tworzy jednolitą całość. Wszystkie subtelne techniki właściwe jej nowoczesnej fazie, nowoczesnemu życiu społecznemu, znamionujące postęp, są wzajemnie powiązane. Nie można marzyć o mechańzacji rolnictwa bez laboratoriów dla uprawiania fizyki teoretycznej i bez wydawnictw poświęconych „bezinteresownym“ abstrakcjom matematycznemu, nie można marzyć o spółdzielczej wymianie towarów bez świetnych seminarów nauczycielskich i odkrywających artystycznie powieści, ukazujących nam wnętrza i los nowoczesnego człowieka. Nie ma tego wszystkiego bez rozważań teoretyczno-literackich, tego zaś bez nowoczesnej fonetyki i semantyki, a tego... i tak można by ciągnąć dowolnie długo niekończący się łańcuch wyliczeń. Toteż nie wolno nam, powtarzam, zrywać łączności naszej pracy kulturalnej z najwyższymi, na danym etapie rozwoju ludzkości, osiągnięciami w jakiejkolwiek dziedzinie. Jeśli zacofani jesteśmy w technice rolnej — starajmy się iść naprzód. Ale jeśli w technice powieściowej jesteśmy na poziomie właściwym przodującym kulturom, nie cofajmy się, aby zrównać się z niedostatecznym poziomem naszych technik rolniczych. Oczywiście, by móc celowo dysponować siłami społecznymi, należy w ramach dialektyki zachować rozsądne i praktycznie uchwytne proporcje uprzywilejowania. Należy zachować proporcje pomiędzy konstytutywnymi, będącymi u podstaw rzeczywistości, technikami produkcyjnymi a technikami konsekwentnymi, ideologicznymi. Proces zaradania znu winien wyglądać zatem tak: utrzymać i posunąć naprzód wszystkie dostatecznie rozwinięte u nas techniki kulturowe, ale włożyć też maksimum świadomego wysiłku w upowszechnianie tych technik, i w dociąganie do właściwego poziomu sprawności i upowszechnienia technik zacofanych. W praktyce ta abstrakcyjna formuła oznacza walkę o wysoki poziom między innymi i naszego centralnego ogólnopolskiego czasopiśmiennictwa, jak również celowe przygotowywanie popularyzujących, specjalnych wydawnictw, organizowanie TUR-ów i TUL-ów (uzdrowionych z raka mistyki), jak również przeobrażenie różnych technik naszego życia na lepsze i nowsze. A więc postać

zamienić na telefony, znachorów na szpitale i lekarzy, konie i woły na traktory, płachty na siewniki, cepy na młockarnie, wiejskie czteroklasówki na ośmioletnie szkoły powszechne.

Postulowane tutaj uleczenie naszego piśmiennictwa będzie musiało być rezultatem zbiorowego i świadomego wysiłku wielu fachowców i organizatorów. Jest przecież sprawą, jak mi się zdaje, ostatecznie dojrzałą. Centralizacja zaostrzy od razu warunki konkurencji, podniesie poziom wyagań stawianych słowu drukowanemu, pozwoli na stworzenie doskonałych wzorców opanowania rzeczywistości i problematyki. Pozwoli wreszcie wykorzystać celowo dla prac popularyzatorskich, upowszechniających, kształcących — ogromny, dziś marnowany zasób sił i środków technicznych. Wzywam do rozpoczęcia planowej gospodarki w naszym piśmiennictwie.

Stefan Żółkiewski

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA“

SIERPIEŃ-WRZESIEŃ-1946

POWIEŚĆ I NOWELA

ERENBURG

UPADEK PARYŻA

zł 300.—

K BRANDYS

MIASTO NIEPOKONANE

zł 220.—

ST. OTWINOWSKI

NAGROBEK

zł 160.—

A. MAKARENKO

POEMAT

PEDAGOGICZNY

zł 120.—

A. RUDNICKI

WRZESIEŃ

zł 35.—

LATO

zł 120.—

UŚMIECH ŻANDARMA

zł 35.—

ARAGON

NIEWOLA I WIELKOŚĆ

FRANCUZÓW

K S I A Ź K A

266

STEFAN ŁĘCZYC

Tel-Aviv

„EUROPA“ WYGNAŃCÓW

Posługując się zwrotem Emanuela Mounier, który w ten sposób pragnął na łamach „Odrodzenia“ zobrazować jeden z elementów myślowych egzystencjalizmu, można powiedzieć o Tel-Awivie, że „wyslizguje się z przeszłości, która już nie istnieje, wciąż jeszcze istniejąc, do przyszłości, której jeszcze nie ma, chociaż już istnieje“.

Architektura jego jest wynikiem wielu prób i poszukiwań, nie zawsze szczęśliwych, które musiały się liczyć z tendencją polityczną organizacji syjonistycznych, idącą w kierunku szybkiego opanowania jak najszerszej przestrzeni. I dlatego domy w Tel-Awivie nie przekraczają zasadniczo wysokości trzech kondygnacji, ani nie przylegają do siebie skrzydłami. Stąd mnóstwo ogródków, drzew, oranżeryj, słowem dużo zieleni, z którą dobrze harmonizuje linearna prostota niewysokiego domu. Stąd też niepozobawiony uroku swoisty charakter, ale i pewna „nieuropejskość“ zewnętrznych konturów tego miasta, sprzeczna z ambicjami jego mieszkańców. Trzeba jednakże przyznać, że ten system budownictwa doskonale odpowiada tutejszym warunkom klimatycznym.

Jak w życiu ludzi, tak i w życiu miast, charakter, forma i znaczenie idą w parze z wiekiem. Toteż okolicznością, która niejednokrotnie skłania krytycznego obserwatora do po-bliżliwego przymknienia oka na nie-jeden architektoniczny mankament Tel-Awivu — jest jego młodość. Cóż, że bywa czupurny, niedbały lub arogancki, jest młody i w tym cały jego wdzięk.

Może ta młodość właśnie sprawia, że o wartości rzeczy nie decyduje tutaj ani gatunek, ani wygląd; ważna jest tylko cena. Im taniej, tym lepiej. Pod tym względem Tel-Aviv mile rozczarowuje: nie ma tu zbytku. Kupuje się przeważnie rzeczy konieczne, potrzebne, standartowe; Tel-Aviv po dzień dzisiejszy nie ma ani jednej luksusowej kawiarni, ani jednego luksusowego hotelu. Ulica jest pełna szarych, nieefektywnie ubranych ludzi. Słowo „tanio“ urasta do rozmiarów przewodnej myśli społecznej, do rozmiarów legendy i nonsensu.

Zjawisko, o którym mowa, tłumaczy się czteroletnim okresem rozruchów arabskich, depresji gospodarczej, bezrobocia, częściowej reimigracji i niezwyklej drożyzny pieniądza. I okres ten, zlikwidowany przez ostatnią wojnę, ciągle jeszcze krąży po kościach tutejszego społeczeństwa, które jest oszczędne, trzeźwe i przewidujące.

Bo też Tel-Aviv jest dzieckiem długiego szeregu wojen, którym po prostu zawdzięcza swoje istnienie: powołały go one do życia i huczą nad nim po dzień dzisiejszy. Dla Tel-Awivu wojna nie rozpoczęła się we wrześniu 1939 roku, lecz jakichś 30 lat wcześniej, z przybyciem pierwszych ofiar pogromów na wschodzie Europy, czyli z dniem jego narodzin Mieszkańców tego miasta wyrzucenia z krajów, gdzie przebywali, albo wojna domowa, w ścisłym tego słowa znaczeniu, albo wojna państw czy narodów. Jako najstarsi byli zawsze i wszędzie, ofiarami konfliktów zbiorowych i dlatego na nich najczęściej odgrywali się pobici i przegrani.

Tel-Aviv to miasto uchodźców. Miasto ludzi, z których życiem spotykamy się w twórczości Erenburga, Rotha czy Jolany Feldős. Miasto, które — jak szybko zmieniane fale radiowe — woła głosami Moskwy, Berlina, Londynu i, coraz częściej, coraz donośniej — Warszawy. Tak więc z całej mieszaniny żydowsko-arabskiej, ze wszystkich typowych „smaczków“ Lewantu, z barwnego tła historycznego wojen rzymskich i Golgoty — z couleure locale Palestyny, nie ma śladu. Tel-Aviv szumi życiem niezapomnianej Europy.

CHŁOP I MIESZCZANIN

Do niedawna jeszcze dla prowincji żydowskiej Tel-Aviv był miastem bluffu i spekulacji; mówiła o nim z przekąsem i nie bez żalu. Natomiast każdy mieszkaniec tego żydowskiego miasta z dumą powoływał

się na swoich „chłopów“, mimo ich niechęci do tutejszych mieszczan. Co było przyczyną tej nieodwzajemnionej miłości?

Łatwo zrozumieć, że człowiek bezinteresowny nie znosi geszefciarzy. Ale tu dochodzi jeszcze jeden aspekt. Ludzie pracujący bez najmniejszych korzyści osobistych, w warunkach niezwykle ciężkich i niebezpiecznych, których sympatie skłaniają się w kierunku kolektywnego wysiłku i organizacji, mają w pogardzie każdą mieszczańską formę bytu. Cóż jednak mieli robić rutynowani kupcy, przemysłowcy i pośrednicy handlowi, którym zarówno wiek, zdrowie jak i przywiązanie do pieniędzy nie pozwalały na zmianę dotychczasowego życia? Świadomi faktu, że są pokoleniem przeszłości, że są niedobitkami czasów bezpowrotnie minionych i systemu, który się kruszy, uznawali uzasadnioną wyższość nad sobą żydowskiej wsi. „Bo gdy zrealizuje się kiedyś sen skatowanego żydostwa, to wyniosą go zgrubiałe ręce „chaluca“, stojącego nocą na straży zagospodarowanych osiedli; bo wartościowy jest człowiek, co nie dba o komfort i rachunek bankowy, lecz pod morderczym słońcem objędzą promadzką ziemię traktorem; bo kawiarniane transakcje są szwindłem w obliczu narodowej sprawy“ — tak rozumowali. I to poczucie winy oraz zrozumienie idei, której służyć praktycznie nie mogli, wyrażało się w nieodwzajemnionej miłości do ludzi z kolektywów rolnych.

Dlatego szowinizm narodowy osiągał znacznie większe rozmiary w Tel-Awivie aniżeli na prowincji. Zgodność bowiem myśli i pracy zapewnia ludziom harmonijne współzycie; zaafektowani zaś, skłócony ze sobą mieszczuch jest zacczepy, odywża w atmosferze patetyzmu i teatralnej gestykulacji, czym zakrzyżać pragnie własną niepewność i zaleczyć zranione ambicje. Taki jest los odrzuconych.

Ostatnia wojna wyrównała w znacznej mierze te różnice i nieporozumienia. Gdy niebezpieczne „blitze“ Rommla zawiodły go aż pod Aleksandrię, a Anglia w obronie Suezu musiała zdawać egzamin z umiejętności improwizowania — nabity inteligencją europejską Tel-Aviv okazał się czynnikiem bardzo w takiej chwili przydatnym. W krótkim czasie powstały tu poważne zakłady przemysłowe, fabryki i wytwórnie, które zasiały armię brytyjską w rzeczy niezbędne, tak, że poza samym sprzętem wojennym wytwarzano niemal wszystko, w niewielkim oddaleniu od frontu. Ba, żydowska Palestyna produkowała granaty ręczne, miny drogowe i wiele innych części składowych broni, nie mówiąc już o pracach fortyfikacyjnych, budowie szos i mostów o strategicznym znaczeniu. Rozbudowano przemysł tekstylny, konfekcyjny, szlifierski, chemiczny, budowlany; i ambicja tych wzgardzonych mieszczan było, by w jak najkrótszym czasie uniezależnić się w maksymalnym stopniu od trudnego w owym czasie importu. Wytwarza się więc tutaj zarówno okucia żelazne, jak i papier światłoczuły, precyzyjne aparaty optyczne oraz środki lecznicze, przy czym, z braku uświęconych latami praktyki przyrządów technicznych lub surowców, stworzono rzeczy całkowicie nowe, do tej pory nie stosowane lub nie znane, niejednokrotnie upraszczając systemy wytwórcze na rewolucyjną miarę.

Żydowska Palestyna urosła w czasie wojny do centrum przemysłowego Bliskiego Wschodu. Przemysł ten skoncentrował się przeważnie wokół Tel-Awivu: Dzieło wypędzonych z Europy Żydów, których większość przybyła do Palestyny drogą nielegalną, jakże często w najokropniejszych okolicznościach, krążąc statkami wzdłuż nieogóscinnej wybrzeża. Tych samych, którzy w latach niepokojów i depresji gospodarczej nadsiedzieli tutaj w kawiarniach nadmorskich, którzy wykołębili ucieczką i bezrobociem wycierali bruki młodego miasta i... których w żaden sposób nie można było nakłonić do pracy na roli. Ten ich zryw niespodziany, gruntowna znajomość „miejskich“ zawodów i za-

dziwiający talent organizacyjny znalazły uznanie nieufnych.

Nakreślony stan rzeczy doprowadził do zjawiska nie notowanego dotychczas w życiu ekonomicznym, do zgodnej współpracy kolektywów wiejskich — z prywatnym kapitałem. „Spece“, których sprowadzono z miasta do budowy olejarni lub fabryki puszek do konserw przy „kibuc“, zawierali umowy, które gwarantowały im udział w mającym powstać przedsiębiorstwie. I tej współpracy — jak do tej pory — nie mać wcale różnice ideowe, ani odrębna postawa życiowa handlowych partnerów. Na podobną drogę wszedł również tutejszy związek związków zawodowych, Histadrut, który nie tylko sprawuje „rząd dusz“ nad większością żydowskiej Palestyny, ale jest też największym kapitalistą w kraju. Przed rokiem odkupił Histadrut fabrykę przetworów chemicznych „Shemen“ za milion funtów. Grupa kapitalistów, z mało znanym kiedyś włókniarzem białostockim na czele, ma w nim 45% udziału. Przytoczony przykład nie jest wcale odosobniony.

Niewątpliwie w błędzie byłby ten, kto by sądził, że dzieją się cuda, i że w tej rzekomo wolnej od klasowych nierówności biblijnej „ziemi judzkiej“ nie spotyka się klasycznych przejawów walk społecznych. Przeciwnie, istnieją one tak samo, jak gdzie indziej. Ale niech to zostanie wreszcie powiedziane możliwie jasno, bez tendencji do koloryzowania: Z małymi wyjątkami, prawie całe — 600 000 głów liczące — żydostwo tutejsze, ożywione jest wiarą i wizją niepodległego państwa żydowskiego. I ta okoliczność wpływa hamująco na rozegranie większych batalii o równość społeczną; wydatnie natomiast przyczynia się do „zwarcia szeregów“, gdy idzie o rozbudowę kraju.

Tak oto wojna pogodziła „metropolię“ żydowską z jej wsiowym zapleciem, mimo znacznych dyferencji natury ideowej i społecznej. Codziennie rano zwożą tu autobusy długie zastępy młodych robotników, których „kibuc“ przeznaczył do prac kancelaryjnych i handlowych w swoich biurach miejskich — i te same autobusy odwożą bądź kapitalistów, bądź ich zastępców do przedsiębiorstw przemysłowych przy kolektywach rolnych. Ta wymiana współpracy, czy też rozpoznanie terenu działalności przeciwnych sobie społeczności grup, przyczyniła się znakomicie do złagodzenia omawianej animozji.

PROFIL SPOŁECZNY

Miał rację Boy: „Kapitalizm jest brzydki“. Pominąwszy jego niesłuszną i krzywdzącą pozycję społeczną, „brzydota“ ta jest przede wszystkim natury duchowej. Drapeżne sobkostwo, cynizm i pieniądz, jako jedyna w życiu orientacja, budzą naprawdę odrazę.

Reprezentanci tej klasy w Tel-Awivie są bliźniaczo podobni do swoich braci po dolarze z całego świata. Tylko że wojna wykazała, jak niepewnym oparciem jest grosz, jak potężne siły stają dziś tej rozczuchwałonej ongiś klasie naprzeciw i jak mściwy, niebezpieczny jest krzywdzony człowiek. Dlatego — opanowani przez strach i groźne zwiędzenia — są łaskawsi: można z nimi mówić. Zresztą, mówią z nimi związki zawodowe — spokojnie, rzeczowo — które, co bardzo ważne, są znacznie od nich silniejsze. Finansowo silniejsze.

Przed kilkoma miesiącami odbył się tu strajk w jednej z fabryk czekolady. Chodziło o polepszenie warunków pracy i podwyżkę płac. Wkrótce, na rozkaz związku, stanęły wszystkie fabryki podobnego typu w kraju. Zatarg trwał 2 miesiące. W tym czasie wypłacał robotnikom pełne zarobki Histadrut. Skończyło się na bezwarunkowym zaakceptowaniu robotniczych postulatów.

Sytuacja proletariatu miejskiego nie jest tu najgorsza. Wykwalfikowany robotnik zarabia za 8 godzin pracy około 50 funtów miesięcznie. A jest to grubszy grosz, nawet na tutejsze stosunki. Oczywiście zdolni i pracowici zarabiają znacznie więcej. Szlifierze brylantów lub tkacze,



Tel-Aviv

to już dzisiaj ekskluzywnie, świetnie zarabiające kasty, do których dostęp nie jest łatwy. Właściciele fabryk nie mają w tym wypadku głosu; jedyną i decydującą instancją jest związek zawodowy. Tak samo robotnicy budowlani; tylko że praca ta wymaga doskonałej kondycji fizycznej i... jest mało „atrakcyjna“. Stąd też wysokie zarobki, dochodzące nawet do pięciu funtów dziennie, i stąd również ucieczka inteligencji do robót betoniarzskich i kielni. Z finansowych względów robotnicy są najlepszą publicznością nie tylko w lokalach zabawowych, nie tylko na imprezach sportowych, ale w bibliotece i w teatrze. Poza tym mieszkają dobrze, korzystają z bezpłatnej opieki lekarskiej i w życiu politycznym tutejszego społeczeństwa są siłą decydującą.

Najgorsza, niejednokrotnie tragiczna jest sytuacja inteligencji pracującej. Tzw. wykształcenie humanistyczne jest w dzisiejszych czasach luksusem, na który pozwolić sobie może tylko człowiek materialnie niezależny. Nauczyciel, buchalter, dziennikarz czy korespondent biurowy cierpią ciężką i upokarzającą nędzę. A podaż — ogromna. Pół biedy oczywiście, jeżeli człowiek, dzięki wielkiej protekcji, złapie jakąś stałą posadę w zakładach komunalnych, w towarzystwach akcyjnych, w redakcjach partii politycznych czy w poważnych instytucjach bankowych. Ale samotna praca — i ten wypadek jest częstszy niżby można przypuszczać — u jakiegokolwiek potwornego źdźdźca, wolnego strzelca kapitału, nad którym żaden związek nie ma władzy, to już zupełna katastrofa. Nie lepiej mają się urzędnicy państwowi. Życie „tubyłca“, zwanego przez Anglików „native“, śmiało można przyrównać do powolnej śmierci głodowej, zaaplikowanej człowiekowi z przysłowiową flegmą i surową grzesznością. Urzędnik pocztowy, który ma za sobą egzamin z co najmniej dwóch panujących tu języków i trzy lata pracy — zarabia 20 funtów miesięcznie. A żeby znać Anglików, trzeba ich widzieć „w akcji“ w terenie, z dala od macierzy...

Grupą o niezdecydowanym obliczu jest wcale pokaźna masa, która wyłoniła się z ruchu spółdzielczego. To jakby synteza czy średnia między robotnikiem, inteligentem i drobnym posiadaczem.

Taki jest profil społeczny Tel-Awivu, oczyszczony z barwnej mikstury nacjonalizmu.

TRAGICZNE TŁO

Wielkie zdarzenia, jak wojny czy rewolucje, które przyniosły bohaterką śmierć wielu obywatelom na terenie własnego miasta, są więzią duchową, łączącą skupienia ludzkie. Zburzenie Bastylii, rewolucja Komunistów lub rok 1872 znaczą w spójni duchowej mieszkańców Paryża znacznie więcej aniżeli wspomniały przepychy i świetność pierwszego Cesarstwa.

Tel-Aviv ma swoją historię tragiczną, do innych niepodobną, i dlatego wspólnota duchowa jego mieszkańców znajduje tu inny wyraz. Milionowa rzeź Żydów europejskich tworzy tło duchowe tego miasta. Dymiące kominy krematoriów, płace obozowe, masowe groby i luna nad bohaterką śmiercią Nalewek, to obrazy, jakie przesładują gorączkową wyobraźnię mieszkańców Tel-Awivu. Nie ma tu człowieka, który by nie opłakiwał męczeńskiej śmierci

kogoś z bliskich; zbytecznie więc tłumaczyć, jaką smutną sensacją jest każdy list z Polski.

Nic też dziwnego, że ci, którzy zalali kiedyś cały świat dowcipem i piosenką, zamilkli teraz i we własnym mieście popadli w ponure milczenie. Wojna, degeneracja epoki, żaloba narodowa, to chyba dostateczne powody — choć humor żydowski celował właśnie w gatunku „wisielczym“. Lecz dowcip nie jest już, jak dawniej, rodzajem samoobrony, którą to funkcję spełniał w czasach liberalnej demokracji. Z bezsilności, z rozpacz, w zastraszony nieustannym lękiem duszy żydowskiej rośnie od nowa zrozumiała i ludzka potrzeba pocieszenia się w nadprzyrodzonym świecie irracjonalizmu. I tak, w miejsce sentymentalnej piosenki, ożywczo żartu, wraca historyczny motyw wiecznej Ściany Płacz.

Nie znaczy to wcale, aby Tel-Aviv nie tańczył. Młodzież jest tu nawet szczególnie skora do gromadnych porwywów radości i humoru. Brak jednak tej swobody wewnętrznej, tego pogodnego rozkołysania, jaka towarzyszy chwilom rozrywki u szczęśliwszych narodów. Pieśń partyzantów rosyjskich jest dzisiaj najulubieńszą melodią Tel-Awivu. Ma to zapewne swoje głębokie uzasadnienie zarówno duchowe jak i — częściowo — polityczne.

MIASTO CYWILÓW

Obecna sytuacja polityczna Palestyny sprawiła, że Tel-Aviv jest — jak rzadko które miasto na świecie — miastem cywilnym. Nie ma tu wojska, nie ma policji — nie widać mundurów. W prasie zagranicznej wyczytać można, że w tej chwili obozuje na terenie Palestyny około 80 000 angielskich żołnierzy. Możliwe. Ale tu ich nie widać. Pozostaje to w związku z głośną antysemitką odezwą tutejszego komendanta gen. Barkera, który zabronił żołnierzom odwiedzać Tel-Aviv. Bywają jednak dnie, kiedy władze zawierają areszt nad całym miastem, tzw. „curfew“ i wtedy z hukiem wjeżdża do Tel-Awivu obozujące niedaleko wojsko. Zaczynają się poszukiwania, aresztowania i zdarzają się akcje przypominające niekiedy sławne pacyfikacje Składowskiego. Po wykonaniu rozkazów — wycofują się.

Przed niespełna rokiem wycofano również wszystkich Anglików z ich rodzinami oraz policję. Bezpieczeństwo miasta poruczono policji żydowskiej, która ma to do siebie — że jej nie widać. Można bawić w Tel-Awivie kilka miesięcy i nie spotkać ani jednego przedstawiciela organów bezpieczeństwa. Toteż mnożą się ostatnio kradzieże i napady rabunkowe, które w tym solidnym mieście — gdzie jeszcze w r. 1930 nie zamieszkiwało podobno mieszkań — były nie do pomyślenia.

Policja angielska ma tu tak samo jak wojsko swoje chwile wyjątkowe i wyjątkowe zadania. Wieczorem, w silnie opancerzonych autach, świecąc z daleka reflektorami, widzieć ją można czasem, jak penetruje miasto w poszukiwaniu młodzieńców zajętych rozlepianiem nielegalnych gazet lub kolportażem ulotek o treści antybrytyjskiej.

Atmosfera polityczna jest niespokojna i wybuchowa. Jest dwóch ludzi, na których wyładowuje się dzisiaj powszechny ból, gniew i pogarda. Są to Bevin i b. Wielki Mufti Jerolimski — Emin El Hussein.

Urzędujący minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii był tak długo wielkim przyjacielem Żydów, syjonizmu i żydowskiej Palestyny — tak długo rozumiał tragedię tego narodu i jego cele, jak długo był w opozycji. W tym okresie nie tylko uznawał słuszność żądań żydostwa, ale miał nawet nakłaniać związkowców palestyńskich, bawiących z misjami politycznymi w Londynie, do większego oporu, do maksymalizmu wobec ówczesnego rządu angielskiego. I oto dziś, mając w ręku starą, reakcyjną maszynę polityki kolonialnej, wygrywa na niej coraz zuchwalsze posunięcia w duchu antysemickim. „Ostatecznie można się z tym pogodzić — mówią Żydzi — metamorfoza Bevina, to w polityce rzecz nie nowa, choć ona nie przystoi ministrowi-socjalistom. Ale Bevin, z miną jowialnego pioszwa, życzliwego kompana, gra... „greka“. Zachowuje się tak, jakby się nic w jego postawie nie zmieniło, jakby to, co mówi i robi, miało świadczyć o jego sympatii czy nawet przyjaźni i tylko drażliwości zdemoralizowanych wojną Żydów przypisać należy, że go nie rozumieją“. To boli, oburza i wywołuje niesmak w doborze zorientowanym Tel-Awivie.

Emin El Hussein — nie tyle były Wielki Mufti Jeruzolimy, co Wielki Kolaborator — siedział podczas woj-

ny w Berlinie i robił — politykę. Między innymi zwerbował w Jugosławii zaciąg Muzułmanów, dla których stworzono oddzielną formację, pod patronatem Emin El Hussein. Nadto z procesu w Norymberdze dowiedział się świat, że inicjatorem, propagatorem i najgorliwszym obrońcą „idei“ masowego zgładzenia Żydów w Europie był nie kto inny, jak sam Wielki Mufti Jeruzolimy. Nachodził on w tej sprawie zarówno Hitlera, Himmlera jak i Goeringa, którym cierpliwie kładł w uszy tę zbawczą i szlachetną myśl. W maju 1945 r. próbował ów dostojnik dwa razy przekroczyć granicę szwajcarską; raz oficjalnie, drugi raz „na szwarc“. Nie wyszło. Szwajcarzy nie umieli entuzjasmować się zaszczepionym, jaki na nich spłynął, gdy ów dygnitarz okazał gotowość złożenia im dłuższej wizyty. Wreszcie udało się Muftiemu ulokować na przedmieściu Paryża, gdzie wkrótce w jego eleganckiej willi zaczęli składać bilety wizytowe niemal wszyscy reprezentanci co ważniejszych państw, a władze francuskie oddawały mu honory suwerena. Aż pewnej nocy kwietniowej znikł z Francji Wielki Mufti i po paru tygodniach daremnych poszukiwań przez policję francuską i angielską, wypłynął on nagle na dworzec egipskiego króla Faruka,

prosząc o gościny. Działo się to — jak zapewniają złośliwi — nie bez przynależności do celów praktycznie politycznych. Działo się to — jak zapewniają złośliwi — nie bez przynależności do celów praktycznie politycznych. Działo się to — jak zapewniają złośliwi — nie bez przynależności do celów praktycznie politycznych.

DNE I NOCE

Tel-Awiv liczy dziś około 200 000 stałych mieszkańców, tylko i wyłącznie Żydów. Tel-Awiv jest jednym z najdroższych miast na terenie brytyjskiego władania. Cierpliwym czytelnik przypomina sobie pewnie tych kilka zdań, którymi w związku ze słowem „tanie“ staraliśmy się omówić charakterystyczną oszczędność tutejszego obywatela. Wydałoby się tedy, że panująca drożyzna pozostaje do pewnego stopnia w sprzeczności z tak znamioną cechą mieszkańców. Niekonsekwencję potęguje jeszcze fakt, że wszystkie niemal lokale świetnie prosperują.

Otóż szczególną dodatkową właściwością Tel-Awivu jest nieprawdopodobna ilość ludzi samotnych. Smutne następstwo wojny, ucieczki i zniszczenia europejskiego żydostwa. Zjawisko to pozostaje w łączności ze

stałym napływem imigrantów — legalnym lub nielegalnym — co w rezultacie powoduje zgęszczenie oraz wielki popyt na towary, a w ślad za tym zwyczaję cen i dużą frekwencję w lokalach.

Te i inne okoliczności powodują, że życie kulturalne i towarzyskie nie przekracza granic partykularza. Znaczenie domu, mieszkania, ogranicza się wyłącznie do celów praktycznie użytkowych. Niewątpliwym wpływem klimatu, ciasnoty mieszkaniowej a może i niewyżyte resztki przeszłości, kiedy życie koncentrowało się na rynku lub pod bramami świątyni.

Dochodzi tu problem o niepoślednim znaczeniu: język hebrajski. Ołbrzymia większość imigrantów nie zna wcale tego trudnego języka a po latach opanowuje go w stopniu wystarczającym zaledwie do porozumienia się przy załatwianiu codziennych sprawunków. Każdy przybysz pielęgnuje w domu, jak i w najbliższym kole, język kraju, z którego pochodzi, czy też język, którym posługiwał się zanim osiadł w Palestynie. Ma to oczywiście wpływ ujemny na rozwój życia kulturalnego, a w towarzystwie prowadzi do... milczenia i nudy. Często spotyka się tu ludzi mówiących wieloma językami naraz — w każdym zdaniu kłóca się słowa różnego pochodzenia. Powstaje więc

jakiś dziwny i śmieszny konglomerat, stanowiący oczywiście okres przejścia do jednego panującego języka. Niemożność dostatecznego porozumienia się sprzyja rozpowszechnieniu gier, przy których uprawianiu mowa spełnia tylko dodatkową zadanie. Toteż klubów bridge'owych jest tyle, ile ulic.

Centralna ulica Allembi, wraz z leżącym na jej przegięciu placem Mograbi, pełne ruchu i wечно natłoczone autami, robią istotnie wielkomiejskie wrażenie. Ulica spada łagodnie do promenady nadmorskiej, która jest najpiękniejszym fragmentem i punktem zbornym miasta. Piaski brzeg biegnie od północy równą linią, aż do wysuniętej w morze i objętej wodą — Jaffy. Powietrze wilgotne, nasycone solą i jodem.

Tu oto, po dwóch tysiącach lat włości po drogach całej kuli ziemskiej i prześladowań nieznanym innym ludom, pragnie osiąść stary i zmęczony naród, wracając do tego skrawka ziemi, skąd kiedyś — wypędzony przez najeźdźców — ruszył w świat. Już się odbił od ostatnich brzegów diaspory, już przywarł do upragnionego lądu i próbuje tu, na dawno porzuconym piachu, zbudować nowe życie — gdy oto powstają wrogie siły, by go odrzucić. Broni się rozpaczliwie: buduje i walczy.

Stefan Łęczy

PAWEŁ KONRAD

NA TROPACH MONTE CASSINO

Oficer z armii Andersa przywiózł do kraju drogą dlań pamiątkę: gruby, w płótno oprawny tom „Bitwa o Monte Cassino“ Melchiora Wańkowicza. Książka wydana przez Oddział Kultury i Prasy korpusu Andersa we Włoszech w roku 1945. 440 stron druku, 833 ilustracje, liczne fotografie, zdjęcia lotnicze, szkice terenowe, mapy, wykresy, portrety uczestników walk, rysunek na marginesie tekstu. Na okładce maki, czerwone maki spod Monte Cassino.

Książka wydana bardzo starannie. Jest to pierwszy tom kroniki i obejmuje tylko okres przygotowań do szturmu i pierwsze natarcie. Kronika, bardzo szczegółowa, napisana jest barwnie, żywo, z właściwą Wańkowiczowi swadą, językiem niewymuszonym, intymnym, lekkim.

Wańkowicz wyrósł już ze szczenięcych lat, opierzył się w pogoni za Smętkiem znalazł się w furgonach gen. Andersa, jako oficjalny warcorrespondent jego armii. Z zadania wywiązał się znakomicie. Napisał książkę, która jest nie tylko szczegółową kroniką wydarzeń i nie tylko zbiorem impresji, ale jednym i drugim. Autor prowadzi czytelnika od mapy sztabowej w teren, prowadzi na pozycje dział, do okopów, ale też i do składów amunicji, magazynów żywnościowych, na punkty opatrunkowe, wzdłuż przewodów telefonicznych do najdrobniejszych trybów mechanizmu współczesnej bitwy. Poznajemy teren bitwy i każdą sytuację w różnych przekrojach. Dzięki rozumemu wszechobylstwu kronikarza widzimy z zupełną plastycznością, jak narasta i rozwija się bitwa w sztabach, w przewodach telefonicznych, w meldunkach, na tyłach i w pierwszej linii i wreszcie w duszach uczestników, małych i wielkich. Reportaż o bitwie równie ciekawy dla cywilnego laika, dla żołnierza, jak i dla sztabowca. Nie zatracił też Wańkowicz zdolności równomiernego dawkania rzeczowych komentarzy, humoru, tragizmu i melancholii.

Decyzja szturmu na Monte Cassino zapadła wiosną 1944 roku. Sztaby wojsk sprzymierzonych uznały, że jedna tylko droga prowadzi do Rzymu, a mianowicie Via Cassilina, nad którą i nad doliną rzeki Liri flankował masyw Monte Cassino z klasztorem benedyktynów. Drogę na Rzym przegradzały dwie linie obronne Niemców: linia Gustawa i linia Hitlera. Bunkry, zasadzki, pola minowe. Przed Polakami próbowali szczęścia Amerykanie i Francuzi. Mieli częściowy sukces, ponieśli ciężkie straty i utknęli. Zapadła decyzja ponownego próby.

Sojusznicy nie oszczędzili... cudzych. Na odcinku od morza Tyrreńskie do Monte Cairo zgrupowano francuski korpus generała Juin,

Legię Cudzoziemską, Marokańczyków, oddziały senegalskie, dywizję hinduską, dywizję afrykańską, artylerię nowozelandzką i... polski korpus, składający się z dywizji „Kresowej“ i „Karpackiej“. Jedną dywizję angielską stała w dolinie rzeki Liri, dwie dywizje amerykańskie nad samym morzem. Najtrudniejszy odcinek wyznaczono Polakom. Amerykańskimi konserwami obdarzono wszystkich.

Polacy nie zawiedli. Zwycięstwo zostało osiągnięte z nieudzielnym wysiłkiem, po ciężkich stratach. Monte Cassino, Monte Cairo, wzgórze 593, wzgórze 569, Albaneta, Widmo, St. Angelo, wąwóz Inferno, dolina Rapido, Acquafondata, Castellone — oto pomniki polskiego patriotyzmu i bohaterstwa.

Jest jednak w tym poemacie sławy złowrobbna struna, w którą Wańkowicz raz po raz uderza. Nie trzeba zbyt czułego ucha, żeby rozznać ten sam fałszywy ton, który rozbrzmiewał z kwatery Bora-Komorowskiego w bohaterskie dni powstania warszawskiego. Postępujmy z czego się narodziła decyzja generała Andersa:

„...dowódca 8 armii, gen. Leese, powiadomił dowódcę Korpusu w dniu 21 marca, w czasie wizyty w Vinchiaturze, że na konferencji, która odbyła się u dowódcy frontu w sprawie ofensywy wiosennej, zapadła decyzja powierzenia Korpusowi Polskiemu zdobycia masywu i klasztoru Monte Cassino.

Po długiej ciszy gen. Leese rzucił pytanie „czyba pan generał nie chce, to wówczas będę musiał znaleźć inny korpus, który to zadanie wykona. Zecho pan generał zastanowić się i po dziesięciu minutach dać mi odpowiedź“.

Akt kurtuazji wobec podwładnego? Nie. Gen. Leese wie, dlaczego należy pytać Andersa o to, czy chce on walczyć. Przecież właśnie Anders ma za sobą smutną sławę wodza, który stojąc na czele uzbrojonej i wyćwiczonej armii, odmówił udziału w walce. Odmówił wprawdzie nie generałowi Leese, ale Stalinowi. Odmówił udziału w walce, która prostym szlakiem zawiodłaby go do Warszawy. Odmówił sądząc, że klasztor Czerwonej Armii jest nieunikniona. Czy zgodzi się walczyć dziś, gdy nieunikniona wydaje się już klęska Niemiec?

Wańkowicz kilkakrotnie wspomina o tym, jak to żołnierz Andersa wyszli z sowieckich „łagrów“ i poszli walczyć z wrogiem do słonecznej Italii. Skrupulatny reporter przemilcza jednak to, że ci sami żołnierze po wyjściu z „łagrów“ otrzymali mundury i broń, ale na rozkaz Andersa odwrócili się tyłem do wroga. Byli na głównym teatrze wojny i na głównym szlaku do Polski — dziś na

drugorzędnym odcinku frontu torują sojusznikom drogę do... Rzymu.

Andersowi dano do namysłu dziesięć minut. Zbyt mało chyba, żeby porozumieć się z rządem w Londynie. Anders namyślał się i decyduje sam.

„Gen. Anders udał się do oddzielnego pokoju wraz z szefem sztabu płk. Wiśniowskim, gdzie zrobił krótki obrachunek: Korpus i tak i owak jest na pozycjach, tak i owak będzie się wykruśzał. Będzie się to odbywać niepostrzeżenie przy akompaniamentie zarzutów Moskwy, że faszystowskie wojsko polskie nie chce się bić z Niemcami. Cassino — nie schodziło z łamów prasy całego świata.

— Korpus to zadanie podejmie — powiedział.“

Trudno o bardziej lapidarne sformułowanie. Walczyć nie na złość Berlinowi, ale na złość Moskwie. Żeby zagadała o tym prasa całego świata. Skoro trwanie z bronią u nogi i tak przynosi straty — niechże się te straty przynajmniej zamortyzują argumentem w politycznej grze. Należy się Wańkowiczowi nagana od szefa Oddziału Kultury i Prasy za to, że tak nieopatrznie przyćmił aureolę wodza.

Chyba podobnie wyglądały minuty namysłu innego kawalerzysty — Bora-Komorowskiego, zanim dał hasło do warszawskiego powstania.

Chcielibyśmy widzieć w bitwie o Monte Cassino ogniwo walki z hitleryzmem, ogniwo efektywnej walki, zbliżającej zwycięstwo, a zarazem akt poświęcenia, bohaterstwa, patriotyzmu. Chcielibyśmy w niej widzieć to, co zapewne widzieli w niej nieustraszeni polscy żołnierze, idący na spotkanie śmierci. Ale tropami bohaterstwa i patriotyzmu szli politykanci i zatruli duszę żołnierza jadem dywersyjnej propagandy. We Włoszech czynna była gestapowska radiostacja „Wanda“, która nadawała po polsku audycje „o Katyniu“ i „o rosyjskich konszachtach“, „o oportunistach Anglików“. „Z prawdą o drugim rabusiu potężnym, przychodził słabnący rabuś“. I żołnierz polski słuchał „Zmarływały siucha żołnierz“ — jak pisze Wańkowicz.

„...Gen. Anders nakazał — nie przeszkadzać słuchać. I co dzień w gajach oliwnych przed namiotami zalega tłum żołnierzy...“

Do ostatniej chwili przed szturmem słuchają żołnierze gestapowskiej propagandy, bo stary liberał Anders „nakazał nie przeszkadzać słuchać“ tych audycji nadawanych na głośniki w gajach oliwnych.

I nawet w ostatnim rozkazie przed bitwą z maniakalnym uporem mówi Anders o bolszewikach. I nawet znaki umowne dla ognia zaporowego to „Lwów“ i „Wilno“. Aby się żołnierze nie zapamiętali w tej walce z fa-

szymem, aby się nie upoił poczuciem braterskiego sojuszu.

Wańkowicz skwapliwie reprodukuje niemieckie ulotki zwrócone przeciwko Sowietom, a fotografię Stalina i Ribbentropa zaopatruje w napis: „Tak się zaczęła galeria rozwalających Europę“.

I jakże się dziwić, że w tej atmosferze taka oto zakwitła poezja w przeddzień szturmu na Monte Cassino:

„Wszystko jedno, jaki los przypadnie W tej śmiertelnej wojnie szaleńców. Nim ostatni romantyk nie padnie, Będziem walczyć. Będziem bić się. Nic więcej“.

Chciałoby się bez żadnych zastrzeżeń i bez żadnych „ale“ chłonąć romantykę wspaniałego poematu walki o Monte Cassino. Cóż z tego, kiedy „rzeczywistość skrzeczy“, nawet gdy ładnie i ujmująco pisze o niej Wańkowicz. Bo dla nas romantyką tej wojny było zmaganie się ludzi i ludów, wolność miłujących, z despotyzmem Niemiec. Bo dla nas romantyką był braterski sojusz. Bo dla nas romantyką był okres lubelski, dotarcie do Bałtyku, odzyskanie ziem na zachodzie. Bo dla nas romantyką jest dziś odbudowa kraju, walka z siłami wstecznicstwa i akcje przeciw bandom leśnym. I trudno się wczuć w romantykę ludzi, dla których ta, tak bardzo treścią ideową nasycona wojna, była wojną szaleńców. I trudno nam ufać romantykowi, który pragnął bić się i nie więcej. Trudno i coraz trudniej jest wczuć się w romantykę londyńskich kawiarzy, w romantykę Korpusu Przystosobienia. A już zupełnie nie przemawia do nas romantyka chłopców z lasu, którzy pragnęli bić się i nie więcej, ale koniecznie angielską bronią.

Warto by może na marginesie owych strof poety spod Monte Cassino, Jana Olechnowskiego, zwrócić uwagę na to, po czyjej stronie jest dziś romantyka — bo bez niej nie się w Polsce nie obejdzie. Nasza emigracja to emigracja ludzi trzeźwych i aż nadto wyrachowanych. Nasi emigracyjni pseudoromantycy to zimni realisci, ograniczeni i krótkowzroczni, niezdolni do tego, by wzruszyć się poezją wyzwolenia, odrodzenia i budownictwa kraju. Ludzie spekulujący na politycznych konstelacjach, wyczekujący w dobrobycie na fale trzeciej wojny, która ich przywróci do kraju. Wystarczy zeszkobać cienką warstewkę frazesu z emigracyjnych pięknotuchów i z leśnych chłopców — a ujawni się cyniczna, małoduszna i bezwstydną spekulacja.

Nasza młoda demokracja, zahakana i zaafrowana dziś urzędowaniem, administrowaniem, codziennością gospodarczych i politycznych kłopotów — sama zatracza niekiedy

poczucie własnej prawdziwej romantyki. Romantyki społecznego i politycznego przewrotu, romantyki rozkołysania młodych sił ludowych, romantyki budownictwa. Wystarczy jednak zeszkobać z naszego ministra czy generała cienką warstwę urzędowej trzeźwości — a ujawni się romantyk rozkochany w pięknie i rozmachu walki. Bo wykładnikiem naszej romantyki są nie marzenia i tęsknoty, lecz rzeczowość twórczych poczynań.

Jako tacy trzeźwi romantycy zachwycamy się poematem walki o Monte Cassino, ale odrzucamy politykę, która poprzedzała walkę i szła jej tropami. Lektura książki Wańkowicza budzi dwojakie refleksje. Przeżywamy bitwę o Monte Cassino jako naszą bitwę. Żołnierze tamtego szturmu to ci sami polscy żołnierze co spod Lenino, z „wau pomorskiego“, znad Nysy, ci sami co z Westerplatte i z warszawskich barykad, ci sami, co odbudowują dziś Polskę i dźwierz straż na jej granicach. A oni? Co się stało z płonieniem, który wystrzelił pod włoskie niebo? Gdzie są owoce tamtego zwycięstwa?

Przypomnijmy sobie egzotyczną podróż Wańkowicza tropami Smętki do kraju, który dziś jest jednym z naszych województw. Wańkowicz wnikliwie szukał śladów polskości. Myśmy je znaleźli i utrwaili. A on, czyżby zmylił tropy? Większość politycznych dygresji i aluzji w książce Wańkowicza dotyczy Związku Radzieckiego i naszych wschodnich granic. Zgrzyt politycznej intrygi wśród kanonady bitwy o Monte Cassino — to tak samo jak wśród kanonady warszawskiego powstania.

Jest cisza w gajach oliwnych. Jest pustka na zboczach Monte Cassino. Opustoszał klasztor benedyktynów. Opustoszała droga w wąwozie Inferno. Zagasło echo wspaniałej bitwy. Zatarły się tropy zwycięstwa.

Z ziemi użyźnionej polską krwią, przelaną na obczyźnie, z ziemi poświęconej bohaterstwem polskiego żołnierza, wyrastają czerwone maki.

Symbol — czego właściwie?

Paweł Konrad

TADEUSZ HOŁUJ
WIERŠE
Z OBOZU

Stron 68 Cena zł 100.—

„KSIĄŻKA“

KRYSTYNA KULICZKOWSKA

Epos heroikomiczny o trójce wiernych przyjaciół

NIEBO POPSUTYCH ZABAWEK
I WIECZNEJ MŁODOŚCI

Zacznijmy od okładki. Już sam tytuł: „Porwanie w Tiu-tiurlistanie“ do rymu i do rytmu, groteskowy i groźny, trąci duchem awanturniczych przygód, a zarazem dźwięczy szczeniobiotem dziecięcej mowy*). Już w nim są obietnice i reminiscencje, uśmiech i patos. A winiętka — wpisana w esy floresy z koron i zwojów pergaminu, na której dwaj monarchowie dobroduszenie sparodiowani, grają w warcaby? Cóż nam ona przypomina? Może Kochanowskiego „Szachy“, a może królewicza Bulbę i inne koronowane osoby z „Pierścienia i róży“ Theckera'a? A może po prostu „króla migdałowego“ z pulchnego piernika? W każdym razie są to nasi dobrzy znajomi. Wrażenie to nie przemija, przeciwnie, potęguje się, gdy, odwracając kartkę za kartką, zwiędzamy fantastyczne krainy Tiu-tiurlistanu i Blablacji. Czytelnik na każdym kroku odnosi wrażenie, że to kiedyś już było, że tamto skądś zna i jest w tym uczuciu radość dziecka, które na końcu piosenki odnajduje poprzednio słyszany refren, radość rozpoznania własnego przeżycia w zobjektywizowanej, utrwalonej formie.

Oto trzej wierni towarzysze: kogut Pypeć, kot Miauczura i lisica Chytraska, trzej przyjaciele w doli i niedoli, „dzielną trójka“, spotykana w tylu bajkach świata, w tylu opowieściach o szlachetnych poszukiwaczach przygód, o rycerzach-muszkietarach i romantycznych włóczęgach. Oto Wiolinka, której zły czar odebrał urodę i dobroć serca, podobna wszystkim zaklętym, a potem odczarowanym i nawróconym królowom i królewiczom. Oto muzyczny ojciec kociego rodu, unoszący się po wieki wieczne — niby Twardowski — na tarczy księżycy, oto Mysibrat, pozbawiony cienia, echo symbolicznej bajki „o człowieku, który zgubił swoją cień...“ Na kartach tej samej opowieści spotykamy i smutnego Don Kichota i awanturniczego aktora, pufale zwanego Wiliamkiem Szekspirem i poetę, który przemawia trawestacją rymów naszego wieszczka lub mierzonymi rytmami „Eneidy“ w inwokacji do koguciego eposu. Jest tutaj i rynek jak gdyby staromiejski, o kamieniczkach wysokich a wąskich, i ponure wnętrza kaźni ze wszystkimi narzędziami gestapowskich tortur, i zaciszne schronienie zakonników, braci Nieboraków. Pełno tu zarówno motywów baśniowych, jak i reminiscencji literackich, a także aluzji do współczesnego życia. Grimmowskie wątki ludowe splecione z poetyckim czarem baśni Andersena, uroczą fantastyką „Chatki Puchatki“ Milne'a z motywami średniowiecznej epepe rycerskiej i romantycznej ballady.

Trudno dokładnie zbadać i wymienić wszystkie koligacje literackie i pozaliterackie tej fantastycznej opowieści. Faktem jest, że prawo obywatelstwa uzyskała tutaj wszystkie postacie znane dzieciom i starszym, międzynarodowe i rodzime polskie, począwszy od króla Popiela, a skończywszy na kocie w butach, wszystkie one spotykają się w tym samym „baśniowym niebie, którym włada Anioł Andersen“, w którym „kapitan Silber śledzi horyzonty z papugą na ramieniu, Pięta zek kłęczy u stóp Robinsona, a Ala wybiega z krainy czarów“. W niebie „popsutych zabawek i wiecznej młodości“.

Jakże łatwo przy tak ryzykownej kompilacji o sztuczności konstrukcji, o obrazowości zbliżony do intelektualnej lamigłówki, jakże trudno przy takiej rozmaitości wątków o jedność artystyczną.

POETYCKIE WIDZENIE ŚWIATA

Pisząc o cyklu opowiadań „Z kraju milczenia“, krytycy zgodnie podkreślają u Żukrowskiego zmysłową chłonność, wrażliwość na barwy, dźwięki i wonie, która przesyca opisy przyrody i doznania bohaterów. Z tej niezwyklej intensywności odczuwania wynika pewien rys zna-

mienny, zaobserwowany przez Wilhelm Macha w „Twórczości“ (czerwiec, 1946) — odrealnienie świata, jego podobieństwo do kolorowej baśni. „Gdyby nie wojna — pisze — byłaby to ziemia ze złotego wieku ludzkości, tak mocna jest mitologizująca i legendowa sugestia książki; gdyby w tej wojnie nie czołgi i karabiny, byłaby to jakaś dawna romantyczna wojna, taka, w której słychać brzęk szabel Skrzetuskich i Wołodyjowskich, o ile nie dawniejsza“. Tutaj właśnie występuje wojna nie tylko niewspółczesna, lecz po prostu nieprawdziwa, nierealna, w której przeciwnicy, nie tracąc zresztą swego rycerskiego fasonu, biją się kaczanami kukurydzy, jabłkami lub pięciokilową szynką (bitwa nierycerska przejawia się dopiero w strzelaniu kłuskami z makiem!); tutaj można było pomieszać wszelkie logiczne związki czasowe i przestrzenne, stworzyć płataninę anachronizmów, odrealnić widzenie rzeczywistości, nie pozbawiając jej jednak konkretności szczegółów. Psycholog udowodniłby może, że na twórcę baśni trzeba się urodzić i że właśnie owa prostota odczuwania, ów biologiczny, a nie nastrojowo-sentymentalny stosunek do przyrody u Żukrowskiego, właśnie jego mocne, oparte na moralności chrześcijańskiej rozgraniczenie pojęć dobra i zła, predestynują go do twórczości baśniowej. Tym się tłumaczy fakt, że „Porwanie w Tiu-tiurlistanie“ nie jest sztucznym zlepkiem międzynarodowych wątków, lecz jakby syntezą wszystkich znanych motywów baśniowych, zespoloną jednością wizji artystycznej, która wspiera się na poetyckim widzeniu świata.

Owo poetyckie widzenie świata uderza naiwną a zarazem odkrywczą prostotą. Ożywienia i personifikacje, naturalne i wdzięczne, czasem nawet rzecz by można — rodzinne, zespalają całą przyrodę, wszystko, co żyje w całość przesyconą uczuciowym ciepłem, w obraz ruchliwy i migocący, w którym wrażenia zmysłowe zaplatają się, wypożyczają sobie wzajemnie swe doznania; granice między rośliną, zwierzęciem i człowiekiem, między osiągalnym a nieosiągalnym zacierają się. „Chmury motyli kosztując siodłacz z kwiatów, powiewały białą i żółtą chusteczką...“ Słońce rozczesywało złote kędziorki... „Przez świeży błękit, w którym pluśkały się skowronki, żeglowały obłoczki, które właśnie tata wiatr z mamą pogodą wprowadzali na przechadzkę...“ „Świerki sprawdzają kłujący zarost“. Chłopcy w Skapicach „drą garściami słoneczne promienie, wiążą w pęczki i rzucają do worków“, gdzie indziej „dzieci zrywają nuty w pięcioliniach jak wiśnie“. Realność zaplata się z nieuchwytną wizją, światło jest dotykane, gwiazdy roztapiają się w strumieniu, księżyc chłapie mlekiem na bruk, wzrokiem można pożerać, a do baśniowego nieba zawieszono między ziemią i błękitem — dotrzeć balonem wypełnionym sandałowym dymem. Możliwość z niemożliwością zlewa się tu w jedną całość, tłumaczącą się zupełnie jasno logiką wyobraźni, w obraz taki właśnie, jaki widzą oczy dziecka.

Baśniowy świat Żukrowskiego jest odrealniony, lecz dzieje się to na drodze odczuć zmysłowych i emocjonalnych, a nie mechanicznych przegrupowań o charakterze intelektualnym. Należy to podkreślić dlatego, że w wielu momentach „Porwania w Tiu-tiurlistanie“ uderza pozorne podobieństwo do modnych w literaturze dla dzieci igraszek słownych: „blablacki“ bełkot, dadaistyczne naśladownictwo dziecięcej mowy, uroczyste przekreślenie wyrazów, trawestowanie przysłów. Te wszystkie „baniałuki“ na tle awanturniczej fabuły mają jednak zupełnie inny charakter — nie są one celem same w sobie, nie są pretekstem do czysto rozumowej ekwilibrystyki, lecz wokół nich opłata się anegdota, która skupia na sobie całą uwagę. Gdy Chytraska dosłownie „wyskakuje ze skóry“ z przerażenia, kogut Pypeć wyprawia się na jej poszukiwanie

z narażeniem życia i wreszcie przynosi zdobycz, którą obronił przed zakusami złodziei wierne pchy; gdy w chwili niebezpieczeństwa kogut mówi „ładny kwiat“ lub „dwa grzyby w barszcz“, a królowa, nie rozumiejąc tych powiedzonek, złości się i wybucha kłótnią, moment ten potęguje napięcie dramatyczne. Nie jest istotny fakt, że tylko dorośli mogą uchwycić subtelną aluzję w zwrotach: „badacz pisma świętego przyrody“ lub: „tamten świat niezmiernego błękitu“, gdy nawet dzie-



Wojciech Żukrowski

ko może z zapartym tchem śledzić tocząca się naprzód akcja, gdy może z bohaterami współczuć i przeżywać... Zresztą nie zostało dotąd powiedziane, czy „Porwanie w Tiu-tiurlistanie“ należy uważać za książkę dla dzieci...

GROTESKA I BOHATERSTWO

„Porwanie w Tiu-tiurlistanie“ powstało w czasie wojny. Nie jest to moment obojętny. Rzeczywistość była zbyt straszna, by porywać się na próbę odtwarzania jej na gorąco; pozostały więc dwie drogi: milczenie albo ucieczka. Dzisiaj, obserwując twórczość powojenną widzimy, że trzecia droga nie otworzyła się dotąd, że utwory, których autorem udało się przetworzyć artystycznie niedawno przeżyta przeszłość, należą do rzadkości. Zarówno milczenie, jak ucieczka w kraj fantazji była i jest może jeszcze dotąd samoobroną rzetelnych indywidualności twórczych przed zamianą tak ciężkiej rzeczywistości na literaturę, lękiem przed borykaniem się z materiałem wstrząsających wspomnień, które wciągają pisarza i czynią swym niewolnikiem — a może jest to po prostu instynktowna odraza do wielkich słów. Na przykładzie „Porwania w Tiu-tiurlistanie“ widzimy, że ucieczka od przeżywanego rzeczywistości jest tylko pozorna, gdyż w istocie daje możliwość opanowania jej i przezwyciężenia.

Może się wydać dziwne, że Żukrowski w trakcie trwania prawdziwej wojny ukazuje jej parodię, wojnę groteskową, zabawną, w której pociskami są smakołyki z zastawionego stołu, łobuzerscy chłopcy platają psikusy i w ten sposób wpływają na bieg bitwy, a królowie — papierowi, ośmieszeni władcy, w największym ferworze wojennym toczą następującą rozmowę: „O co my się właściwie bijemy? Co? O taki drobniak...? Cicho, bo nie zechcą się za nas bić!“ Czy to jednak nie była najlepsza droga — zamiast patosu potępiających słów, zamiast deklamacji o pacyfizmie, ukazać całą śmieśność, całą marionetkowość wojny, kierowanej z góry kaprysem lub błażństwem? Czy takie spojrzenie z góry, jak na szachownicę obsadzoną pionkami, nie dało autorowi możności opanowania wojny, uniezależnienia się od niej. W ten sposób właśnie uwypukla się to, co jest najwyższą pozytywną wartością nawet bezcelowej, nawet kierowanej zbrodniczą ręką wojny — zdolność do bohaterstwa. Tak, i tutaj, podobnie jak w zbiorze „W kraju milczenia“, Żu-

krowski uważa bohaterstwo za jedyną pozytywną wartość, która pozostała z upodlenia tej wojny. „Porwanie w Tiu-tiurlistanie“ jest sparodiowaniem wojny, upodobnieniem jej do groteski, a jednocześnie apoteozą bohaterstwa, któremu autor przydaje wszelkie blaski rycerskiej przeszłości i tej niedawno minionej. „Kogut z opuszczonymi skrzydłami godził w ciemność stępienym dziobem, przybrawszy odwieczną postawę rycerską...“ i wreszcie umiera w walce z przeważającym wrogiem mężnie, niby Longinus Podbięta, a kot Miauczura cierpi w więzieniu wyrafinowane tortury i nieugiętym milczeniem dochowuje bohatersko wierności przyjaciołom. Autor wyraźnie zaznacza swe stanowisko w zakończeniu, gdy przedstawia pośmiertną podróż koguta-bohatera w powietrznej gondoli w ten sposób: „Nagle z nieba zaczęło spadać jedno, jedyne pióro. Wirowało, błyskając w słońcu. Pochwyciłem je mocno w tęskniące dłonie. I tym piórem, dymiącym jeszcze barwami nieba i wolnością przestworzy, spisałem całą opowieść“.

SZLACHETNY MORALIZM

Apoteozą bohaterstwa nie jest, jak mogłoby wynikać z powyższych rozważań — jedyną pozytywną wartością moralną „Porwania w Tiu-tiurlistanie“. Mimo, iż lektura tej powieści nasuwa nieodparte reminiscencje rycerskich walk i wędrówek, nie jest to owo efektowne „pobrząkiwanie szabelką“, dęty honor, dwu-wymiarowe człowieczeństwo. Wojna od strony szarego obywatela krain Tiu-tiurlistanu i Blablacji nie jest podniecającą zabawą i jedyną okazją wywyższenia się, lecz przeszkodą, którą należy pokonać, skoro na drodze stanie, a droga — poprzez właściwą wiedzę ku zaciśniętej przystani życiowej, w której Chytraska mogłaby prowadzić zasobne gospodarstwo proboszcza, Mysibrat żyć dostatnio w młynie, a kogut Pypeć grać na słońcu stare kości po długoletniej służbie wojskowej. Na pierwszy plan występują uczucia szlachetnej przyjaźni, miłości macierzyńskiej (pchy lisicy Chytraski) i ojcowskiej (czupurny synek koguta Pypicy), obrony i ratowania słabszych (królowa Wiolinka), wdzięczności za przysługę (ofiara i śmierć biedronki Trzykropki). Poza tym światem dobrych serc i szlachetnych intencji rozciąga się niezmierny świat zła, reprezentowany przez Cygana Nagriotka, sowę Drumle, szpiega Koziołka, świat, którym włada siedem grzechów głównych. W odwiecznej walce dobra ze złem zwycięża — śladem wszystkich baśni świata — dobroć, która zostaje nagrodzona, a zło — ukarane. Hierarchia wartości wypływa z samego rozwoju wypadków, a moralizacja, bezpośredni morał zostaje wypowiedziany tylko raz jeden, naiwnie i po prostu, bez fałszywego wstydu, że mówi się rzeczy oczywiste: „Wiolinka nie rozumiała, że piękno ciała jest ni trwałe, z latami mija, wieczna i niezniszczalna jest dobroć serca i pogoda duszy, które nawet późną starości opromieniają“. „Porwanie w Tiu-tiurlistanie“ — to nie zlepek wyszukanych nonsensów, lecz prawdziwa baśń, w której panuje fantastyka naiwna i świeża, baśń zespolona jednością wizji artystycznej i przesycona duchem szlachetnego humanitaryzmu.

DLA DOROSŁYCH CZY DLA
DZIECI?

A więc trzeba nareszcie zadać to pytanie, zadać po to, by właściwie nie dać na nie odpowiedzi. Można by długo rozpisywać się na temat wszystkich tych cech, które kwalifikują „Porwanie w Tiu-tiurlistanie“ jako książkę dla dzieci: bohaterowie pod postacią zwierząt (żywi i plastyczni w porównaniu do płaskich sylwetek ludzi) — humor jędrny i świeży, pełen ciągle nowych, zaskakujących niespodzianek, momenty emocjonalne „chwytające za serca“, ulubione wyrażenia dźwiękonaśladowcze, uroczyste pomieszczenie prawdy i nieprawdy, frapująca fabuła... Jednocześnie jednak można by pod-

kreślić, że dzieci nie rozumieją ani filozoficznych wyrażań, ani subtelnych aluzji literackich, ani wspaniałego w swej symbolice opisu miasteczka Skapice, ani co to znaczy „jak uniknąć błędów Hannibala w wojnie z Blablacją“ itd. Byłoby jednak bezcelową, drobiazgowością bawić się w takie dociekania. Mamy bowiem do czynienia — po raz pierwszy od dawna w naszej literaturze — z książką, której nie trzeba w ten sposób klasyfikować, bowiem jej poziom artystyczny jest tak wysoki, że jeśli nawet była przeznaczona dla dzieci, stanie się własnością starszych, gdyż należy do literatury pięknej — i odwrotnie, jeśli była przeznaczona dla dorosłych, to z racji swej tematyki i wartości wychowawczych powinna stać się własnością dzieci.

Warto przypomnieć jeszcze raz słowa Kornieja Czukowskiego z jego poetyki dziecięcej: „Poeta dla dzieci, dogadując ich wymaganiom, nie może zapominać o wymaganiach stawianych w danej epoce literaturze dla dorosłych. Poezja dla dzieci musi być także i dla starszych poetów“.

A jeśli „Porwanie w Tiu-tiurlistanie“ odbiega od wymagań stawianych literaturze dzisiejszej, od postulatów realizmu i „zamówienia społecznego“, to nie dlatego, jakoby znajdowała się na marginesie literatury pięknej, lecz dlatego, że literatura piękna, do której właśnie należy ją zaliczyć, nie da się ująć w żadne formułki, że nikt nie zdoła jednoznacznie określić oblicza wyłaniającego się z powojennego chaosu przemian... Że może na szlachetny epicki realizm jest dzisiaj jeszcze za wcześnie, jeśli z największą mocą przemawia słowo odrealnione i groteska o podkładzie idealistycznym...? W każdym razie mamy do czynienia z utworem prawdziwie poetyckim, który nie powinien budzić jałowych dyskusji — na przecieciu jakich hasel należy go umieścić i dla kogo jest przeznaczony. Nareszcie można uniknąć sztucznego podziału na literaturę dla dorosłych i tę mniejszego kalibru, dydaktyczną, „przystosowaną“, a tak wypraną z wszelkiej artystycznej wartości, że człowiek dorosły rzeczywiście tylko z uśmiechem pobłażania może ją wziąć do ręki. Nareszcie książka bez podtytułu „powieść dla młodzieży“, bez etykiety „książka nie dla każdego!“ Właśnie dla wszystkich, właśnie dla każdego, jak kiedyś „O krasnoludkach i sierotce Marysi“, jak „W pustyni i w puszczy“!

Jedna jest tylko sprawa przykra i bolesna. Barwna okładka i rysunki, słowem wygląd zewnętrzny „Porwania w Tiu-tiurlistanie“ stwarzają pozór książki dla dzieci czy młodzieży i uroczą baśń Żukrowskiego, w myśl najgorszych tradycji, została potraktowana przez wydawcę jako literatura pośledniego gatunku, w której korektę można zrobić nie dbale... Czytelnik jest przerażony i nie wie kogo ma winić, wydawcę czy może autora? Błędy bowiem rozciągają się nie tylko na wyrazy, lecz na całe wyrażenia nawet zdania, niegrammatyczne, a czasem wręcz bezsensowne! Jakżesz, liściami zapszczone, jak cię nie wstyd, dać się uwieść rozrywkom, co od nas chcesz, nieotarlwszy, kapła, to wzmogło w nim siły moja trąbka — oto parę przykładów, wybranych na chybił trafił. Któż obszedł się z piękną książką Żukrowskiego tak po macosze? Z tego powodu należało by pierwsze — (a na pewno nie ostatnie) — wydanie dla młodocianej publiczności zdyskwalifikować.

Krystyna Kuliczowska

Zaprenumerować

„ODRODZENIE“

można w każdym urzędzie pocztowym

Prenumerata kwartalna 120 zł

Adres administracji: Kraków Wielopole 1

* Wojciech Żukrowski „Porwanie w Tiu-tiurlistanie“, Ilustrował Adam Marczyński. Kraków, Stefan Kamiński, 1946; str. 260.

MIECZYŚLAW DEREŻYŃSKI

Toruń przypomina się starym drukiem, piosenką i piernikiem

Nie wiadomo, od czego właściwie zacząć tę relację: od Kopernika (który nareszcie odzyskał swój dom rodzinny), starego druku toruńskiego, prapremiery „Orfeusza“, czy znakomitego piernika, który w dawnej swej formie znalazł się na straganach Rynku Staromiejskiego pod ratuszem. Najpierw trzeba wyjaśnić, że ogołocone z urzędów (Toruń był do 1939 r. typowym miastem urzędniczym) rodzinne gniazdo Mikołaja Kopernika zdobyło się w ostatniej dekadzie wrześnie na „Dni Torunia“, mające pokazać piękno, skarby sztuki i dorobek kulturalny starej Civitatis Thorunensis i młodzieżkiej Almae Matris.

Osią uroczystości stał się gotycki ratusz na Rynku Staromiejskim wraz ze swym otoczeniem ostrołukowych kamieniczek, domów renesansowych i barokowych. Dworem Artusa i spiżowym pomnikiem Kopernika. Sędziwy ratusz toruński pomieścił w swym wnętrzu aż trzy interesujące wystawy, udzielił na swym dziedzińcu gościny aktorom, śpiewakom, muzykom i tancerzom. Odbyły się barwne pochody mieszczanstwa toruńskiego, urządzono theatrum pod dachem i gołym niebem, a nawet porwano się na... turnieje zapasnicze i igrzyska... sportowe.

Pod ratuszem ustawiono stragany w dawnym stylu z zabawkami, strawą i piernikami. Uliczki toruńskie wypełniły się mrowiem ludzkim, które z bliższych i dalszych stron przybyło podziwiać nietkniętą wojną zabytki architektury monumentalnej. Na domu rodzinnym Kopernika umieszczono tablicę ogłaszającą, iż tu urodził się wielki astronom, który „wstrzymał słońce a poruszył ziemię“.

W gotyckiej sali ratusza znalazła się wystawa druków toruńskich.

Najstarsze druki toruńskie, jak stwierdza J. Przybyłowa, stanowią do roku 1939 imponujący dział zbiorów miasta Torunia, złożonych w Książnicy Miejskiej im. Kopernika. Niestety pięcioletnia gospodarka okupacyjna zadała tym zbiorom cios dotkliwy; wiele bowiem cennych starodruków wywieziono do Niemiec. Serię starodruków rozpoczyna drugi druk toruński, który szczęśliwie ocalał, a jest nim „Catechistisch Examen...“ pióra Musaeusa z 1569 r. z oficyny Worffschaufla.

Wystawa podzielona została na cztery działy: W pierwszym dziale pokazano szereg białych kruków od najstarszego druku toruńskiego do pism ulotnych z okresu rozbioru Polski, w dziale drugim obfity dorobek księgarski i wydawniczy z czasów

zaboru pruskiego do roku 1919, w dziale trzecim druki toruńskie z lat 1920—1939, a w dziale ostatnim nasz młodzieżycki dorobek powojenny.

Poza głównymi działami, ilustrującymi rozwój sztuki drukarskiej w Toruniu, wprowadzono na wystawę stoiska dodatkowe, których treść nie jest bezpośrednio związana ze wzmiankowanymi tematami, lecz wchodzi w zakres zagadnień łączących się z książką.

Obok więc inkunabułów toruńskich znalazły się zbiory Towarzystwa Bibliofilów im. Lelewela w Toruniu, obok dzieł Kopernika i życiorysów wielkiego astronoma, kolorowy i bogaty zbiór ekslibrysów toruńskich, obok elementarzy Rakowicza, księżeczek Chociszewskiego, Prejsa, Danielewskiego i Fiałka, roczniki gazet i czasopism od „Gazety Toruńskiej“ aż do prospektów „Dni Torunia“.

Wśród autografów wybitnych pisarzy polskich znalazły się listy Mickiewicza, Goszczyńskiego i klasówka łacińska Jana Kasprowicza.

Zwracały uwagę wydawnictwa Lindego, Skarbka, Rubinkowskiego, archiwalia toruńskie, stare mapy i plany miasta oraz urządzenia drukarskie.

Wędrowkę po wystawie ułatwił gościom opracowany przez Janinę Przybyłową przewodnik, który stanowi niejako suplement do dzieł drukarstwa toruńskiego, przedstawionych w źródłowych publikacjach śp. dyrektora Zygmunta Mocarskiego.

W sąsiedztwie druków toruńskich schroniły się ocalałe z pożogi wojennej zbiory rzeźby gotyckiej i innych dzieł sztuki oraz wytwory rzemiosła toruńskiego.

Przejrzyście i planowo rozmieszczono rzeźby ze świątyń toruńskich, ozdobne paramenty kościelne, obrazy, witraże, wietrzniki, kufle, dzbany, misy, skrzynie cechowe, wywieszki, ceramikę średniowieczną, odrzwia, odciski pieczęci toruńskich, portrety burmistrzów i rajców (m. in. cenne dzieła malarza śląsko-pomorskiego Bartłomieja Strobla), kołatki, klucze i wiele innych eksponatów, dotyczących świetnej przeszłości Torunia.

Toruński Klub Miłośników Fotografiki urządził w jednej z sal ratusza wystawę swego dorobku powojennego, obrazującą piękno Torunia. Wystawa zgromadziła 85 artystycznych zdjęć, wśród których zasługują na uwagę idylliczne fragmenty zieleńców toruńskich, sylwetki kościołów, partie starych bram, murów, spichrzów i domów, rozległe widoki na Wisłę i osobliwe zakątki śródmieścia, kręte wnętrza ulic i mrocznych zaułków.

Wspomnieć wypada jeszcze o wystawie malarskiej urządzonej w Domu Plastyków. W wystawie tej, tematycznie związanej z architekturą i pejzażem Torunia, wzięło udział kilkadziesiąt artystów. Wystawiono akwarele, rysunki i grafiki. Dział malarstwa reprezentowali profesorowie UMK Jamontt i Niesiołowski oraz artyści Tomkiewicz i Gęstwicki, a w dziale grafiki notujemy osiągnięcia profesorów Hoppena i Dargiewicza, który poza tym pokazał serię interesujących rysunków.

Wydarzeniem artystycznym była wystawiona w ramach „Dni Torunia“ sztuka Anny Świrszczyńskiej pt. „Orfeusz“. Trzecia za dyrekcji Willama Horzycy prapremiera sztuki rodzimej zgromadziła w Teatrze Ziemi Pomorskiej elitę umysłową ziemi Toruńskiej.

Anna Świrszczyńska z dużą swobodą potraktowała postać Orfeusza i powiązała dowolnie dwa mity orfejskie: mit o Orfeuszu-śpiewaku, czyniącym cuda pieśnią i siedmiostruną lirą oraz mit (późniejszy) o Orfeuszu-kapłanie, pokutniku i twórcy sekty mistycznej, wynajdującej poglądy panteizmu i ascezy. Autorka na kanwie interpretowanych subiektywnie wątków mitologicznych, usiłuje w błyskotliwych dialogach rozwiłać silnie zadzierzgnięty spłot zagadnień psychologicznych i metafizycznych.

Mity starogreckie służą Świrszczyńskiej do scenicznego ucieleśnienia pewnych, niezbyt wyraźnych i niezbyt ostro zarysowanych idei.

„Orfeusz“ autorki krakowskiej ma charakter monumentalnego widowiska, lecz jest równocześnie sztuką o zajmującej akcji, dramatem o walorach scenicznych i doskonałej formie literackiej. Zarzuca się sztuce nadmiar uscenizowanej filozofii i przesylenie utworu pierwiastkami metafizycznymi, lecz należy w niej widzieć także baśń, pełną uroku i grozy, która silnie działa nawet na stępione zmysły i nerwy. W „Orfeuszu“ Świrszczyńskiej można doszukiwać się również akcentów społecznych, gdyż intencją bohatera sztuki jest podniesienie do godności ludzkiej upośledzonych, poza nawiasem życia wegetujących istot — menad.

Dyr. Horzyca wystawił sztukę świetnie. Torwirt dał jej godną uwagi oprawę sceniczną, a ilustracja muzyczna Stefana Kisielewskiego (orkiestra dyrygował prof. Jerzy Stefan) dopełniła całości.

Jeżeli chodzi o grę aktorów, to jest ona zespołowa i znać na niej rękę ambitnego reżysera, który świadomie zacierza cechy indywidualistycznej ekspresji poszczególnych wykonawców. Stąd gra jest wyrównana i trudno kogokolwiek specjalnie wyróżniać.

Tę samą skalę wzruszeń estetycznych daje widowi duchowiona gra Maśliskiej (Eurydyka) i poetyczna kreacja Gołębiowskiego (rola tytułowa), co posagowy Hermes Salabur-

skiego, groźna Persefona Frejtażanki lub plastyczny gest menad i żalony chór dusz.

Wystawienie sztuki Świrszczyńskiej jest poważnym sukcesem Teatru Ziemi Pomorskiej i dyr. Wilama Horzycy.

W tymże teatrze odbył się konkurs, w którym wzięło udział kilkuset młodocianych muzyków i śpiewaków od lat 10 do 15, a do eliminacji stanęło 70 wirtuozów, wybranych spośród dzieci pomorskich. W grze na fortepianie pierwsze miejsce zajęła Barbara Bruska z Bydgoszczy, w śpiewie Danuta Dubasówna z Torunia, w grze na skrzypcach Tadeusz Kaźmierczak z Grudziądza, w grze na akordeonie Longin Moszakowski z Ciechocinka, w grze na wolonczeli Roman Suchecki z Bydgoszczy, w melodeklamacji Teresa Gniazdowska z Włocławka.

Z imprez plenerowych zasługuje na uznanie przede wszystkim koncert „Lutni“ toruńskiej pod dyrekcją Rutkowskiego i jedynego w Polsce chóru rzemieślniczego „Dzwon“ pod batutą prof. J. Wiczorka. Chór rzemieślniczy wykonał szereg pieśni związanych z Toruniem, które zebrał i opracował przed wojną obecny dyrygent chóru. Pieśni te (poza popularną piosenką „Wisło moja“, ułożoną u schyłku XIX wieku w więzieniu pruskim przez pisarza pomorskiego Ignacego Danielewskiego) pochodzą

przeważnie z wieku XVII i XVIII, pieśń zaś o burmistrzance, zrodzona na Kujawach, po raz pierwszy ukazała się jako pismo ulotne w jednej z drukarni toruńskich i śpiewana była przez wędrownych grajków na jarmarkach i kiermaszach, zanim strawestował ją Jan Kasprowic.

W Robotniczym Domu Kultury prof. Karol Górski mówił o „Pokuju toruńskim w 1466 r.“, dr J. Puciata-Pawłowska zajęła się zabytkami toruńskimi, prof. Pawłowski przedstawił rolę Torunia jako stolicy Księstwa Warszawskiego, Marian Sydor pokazał nam Toruń w epoce średniowiecza i renesansu, prorektor Dzięwiński uczcił wiekopomne zasługi naukowe Mikołaja Kopernika, Helena Piskorska nakreśliła dzieje archiwum toruńskiego i podniosła jego znaczenie w pracy badawczej, a prof. Koranyi z punktu widzenia prawnika wyjaśnił „Jak Toruń rządził swoimi dobrami“. Cykl interesujących odczytów o Toruniu zakończył wykład Haliny Załęskiej o zbiorach Muzeum Miejskiego.

Podając garść powyższych faktów i z konieczności pomijając szereg pomniejszych imprez, możemy stwierdzić, iż w dziedzinie kulturalnej „Dni Torunia“ spełniły swoje zadanie, przyczyniając się poważnie do spopularyzowania grodu Kopernika w regionie pomorskim i w innych dzielnicach Polski.

Mieczysław Dereżyński

Temat warszawski

Jerzy Pytlakowski. Powstanie mokotowskie. Reportaż. „Czytelnik“, str. 111 i 1 nl.

Wyodrębnianie akcji mokotowskiej z ogólnych ram powstania warszawskiego jest o tyle uzasadnione, że dzielnica ta, podobnie jak Wola czy Żoliborz, pozostawała w odosobnieniu, a łączność ze śródmieściem Warszawy prawie nie istniała. Sam zresztą Mokotów „był jakby szachownicą, której białe pola należały do powstańców, czarne zaś do Niemców“.

Autor nie tai swojej niechęci do wybuchu powstania nie tylko nieprzygotowanego pod względem wojskowym, ale najfałszywiej zorientowanego pod względem ogólnopolitycznym. Opisuje i utrwała wiernie ujemne zjawiska w mniaturowym państewku powstańczym na Mokotowie, co zresztą można przenieść również na znane nam stosunki w śródmieściu, a na pewno i w innych dzielnicach Warszawy.

„Bez przesady można stwierdzić, że na oficjalną atmosferę, panującą na Mokotowie, oddziaływała w głównej mierze mentalność podpułkownika, na którą składało się coś z kwaśnego zapachu koszar, zamiłowania do munduru i szarży, niechęci do książek i wszelkiej wiedzy naukowej, oraz z przesadnej dyscypliny wojskowej, w powstańczych warunkach przybierającej formy raczej karykaturalnej“.

Z upływem tygodni system przybrał formy zwyrodniałej soldateski. Wyrażała się ona w jaskrawym i drastycznym wielokrotnie stosunku do ludności cywilnej, w czym celowała znieprawiona powszechnie żandarmeria na Mokotowie i grupa „Jeleń“, będąca w bezpośrednim rozporządzeniu dowództwa. Rekwizycje mieszkań i żywności, samowolne „kombinacje“ żołnierzy, upośledzenie w dostępie do studzien i „łapanki na pracę“, miały swe źródło nie tyle w potrzebie dyktowanej wyższą koniecznością, ile w demoralizacji i nasładowaniu wzorów niemieckich z lat okupacji.

NSZ, choć oficjalnie uprawiał bojkot powstania, specjalizował się w tropieniu Żydów. Zawstydzający i haniebny epizod o pchor. M., który przesłuchiwał i badał pojmanego wiedeńczyka, notuje Pytlakowski

obszerniej w swoich wspomnieniach. „Scena była dość osobliwa: jeniec niemiecki z pomocniczej formacji wojskowej musiał się tłumaczyć przed Polakiem ze swojego aryjskiego pochodzenia, musiał się bronić przed zarzutem jaki mu postawiono. Zresztą długo się nie bronił. Przyznał się, że ojciec jego był Żydem. Matka — Austriaczką“. Nie obeszło się ze strony adherenta Londynu, a obłądnego rasisty, bez „wizji lokalnej“, podczas której „podchorząży przybierał pozy i gesty jakby żywcem zapożyczone z Alei Szucha“.

Absolutna dysproporcja sił i środków walki; partyzantka przeciw zmechanizowanej wojnie; elementarny brak amunicji i broni; nieznanymi niektórymi jej rodzajów („I tak, granatnik sowiecki żołnierz długo tylko oglądał. Nie wiadomo było co z nim robić“); akcje przeprowadzane bez nadzienia i możliwości sukcesu (pierwsza bitwa o Brun-Werke); ogromne ofiary wśród żołnierzy i ludności; naiwne próby przeciągnięcia wojsk węgierskich na stronę powstania, zakończone aferą podpułkownika, który prowadził z Węgrami rokowania i znikł „wraz z pewną ilością dolarów“, podjętych z kasy dowództwa; nedoręczny i samobójczy stosunek do ZSRR — składają się na obraz bardzo plastycznie odtworzonej w reportażu Pytlakowskiego rzeczywistości powstańczej dni na Mokotowie.

„Londyńczycy odczuli w sierpniu i we wrześniu 1944 r., jak bardzo daleki jest Londyn Polsce“. Nic nie zmieniła propaganda „Bipu“, znieprawiona w masach warszawskich. „Bocian“ lub inaczej „kukuźnik“, śmieszny a niezwytyczony samolot sowiecki, który niemal noc w noc zrzucał broń i żywność, budził więcej nadziei niż szumne zapowiedzi pomocy z odległych baz w Anglii i Włoszech. Pomiędzy polityką dowództwa AK a nastrojami ludności i żołnierzy była przepaść. Nie licząc się z losem mieszkańców, starców, kobiet i dzieci, i z życiem powstańców, odrzuciło wspomniane dowództwo współpracę z wojskiem polskim na praskim brzegu Wisły i z Armią Czerwoną. Na samym Mokotowie były realne możliwości ratunku. „W tym czasie Dolny Czerniaków

znajdował się w rękach powstańców. Istniały warunki na to, aby za pomocą koncentrycznego uderzenia całych sił powstańczych wyrąbać sobie połączenie z przyczółkiem. Siły niemieckie na Czerniakowie nie były tak wielkie, aby mogły uniemożliwić ten plan“.

Do świadectwa majora Baczkli, na tym miejscu niedawno cytowanego („Odrodzenie“ nr 95, „Osiem dni na lewym brzegu Wisły“) przybywa w reportażu Pytlakowskiego nowy materiał dotyczący jednej z najistotniejszych stron warszawskiej tragedii.

Ogólny obraz naszkicowany przez Pytlakowskiego jest jednostronny, co nie zmniejsza jednakże przedmiotowej wartości poszczególnych obserwacji, epizodów i faktów. Ze stron malujących grozę wyróżniają się te, na których podano wstrząsający opis wędrowki przez kanały z Mokotowa, gdy dzielnica ta padła, do Śródmieścia 27 września 1944 r. („Przekłete wyjście“)

„Wtenczas nie było czasu na wzruszające pogrzeby: każdy grób był dobry“.

Bolesna lektura książeczki o „mieście największego i największych błędów“ — jest bardzo potrzebna i winna być powszechna.

Józef Sieradzki

PRZEGLĄD SOCJALISTYCZNY

Ukazał się już nowy numer „PRZEGLĄDU SOCJALISTYCZNEGO“ 8—9 (10—11)

z następującą treścią:

- J. Hochfeld: Rachunek sumienia Cz. Bobrowski: Ekonomia i polityka w Planie Odbudowy
- J. Rudziński: Plan Odbudowy Gospodarczej
- T. Głowacki: Polityka zagraniczna USA
- W. Skowron: Ziemia Odyskane
- A. Kwiatkowski: Administracja państwa a gospodarka planowa
- S. Szwalbe: Wspomnienia o Norbercie Barlickim

KARTKI Z HISTORII SOCJALIZMU:

- J. Durko: Józef Montwiłł-Mirecki
- J. D.: Zamach na „Pierzynę“
- S. P.: Norbert Barlicki

NA HORYZONCIE;

W Polsce, w ZSRR, w Europie, za Morzami

IDEE — MYŚLI — ZAGADNIENIA:

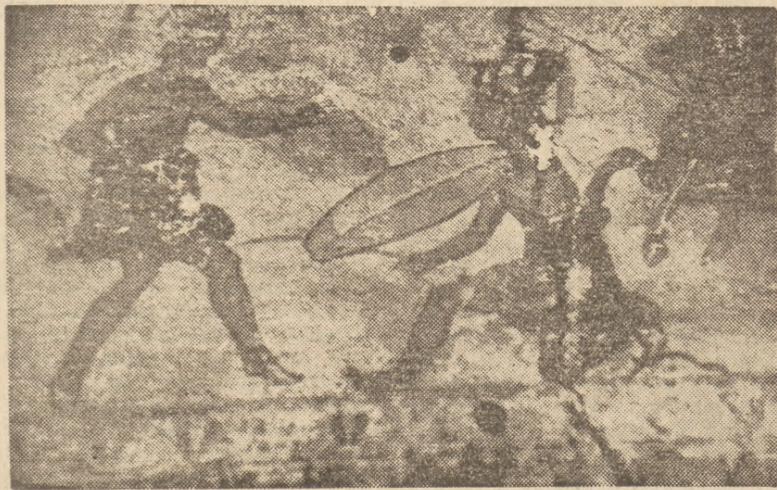
- K. Dorosz: Uwagi o Narodach Zjednoczonych
- M. Elczewski: Kierownictwo przedsiębiorstwa państwowego
- M. Rybicki: Srodczne oblicze sądownictwa polskiego
- St. Płoski: Terror jako metoda rządów niemieckich w Polsce
- L. Bukowiecki: Fotogeniczność literatury
- M. Drobner: O upowzechnieniu muzyki
- M. Anhalt: Z literatury marksizmu
- Z życia partii
- Książki i czasopisma nadesłane
- Notatnik referenta

Cena zł. 20—

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
WARSZAWA, ul. WIEJSKA 18

HELENA BLUMÓWNA

Hellenistyczne malowidło w grobowcu trackim



Walka pieszych wojowników. Fragment malowidła korytarza

Profesor Tadeusz Sinko zwrócił moją uwagę na artykuł w „American Journal of Archaeology”, (1945, vol. XLIX, nr 4), który przynosi wiadomość o odkryciu wspaniałego zabytku malarstwa ściennego greckiego. Po zapoznaniu się z tym artykułem, dziełem entuzjazmu prof. Sinki dla tego cennego przejawu greckiej sztuki i pragnę, aczkolwiek nie jestem archeologiem, rozpowszechnić w Polsce wiadomość o tym odkryciu.

Więść o odkryciu przynosi w amerykańskiej publikacji Włoch Carlo Verdiani, odkrycia samego dokonali jednak uczeni bułgarscy, a pierwsza relacja została opublikowana przez Nikoła Movrodinowa (obecnie dyrektora Muzeum w Sofii) w prasie bułgarskiej („Iskra”, 31 sierpnia, 1944). Zapowiedziana duża publikacja da nam możliwość poznania zabytku w całej jego świetności oraz przyniesie jego interpretację.

Odkrycia dokonano na ziemi bułgarskiej, w dawnej prowincji rzymskiej Tracji, która wraz z Moesją była w ostatnich czasach polem cennych odkryć. Ostatnie, ze względu na wartość zabytku, jest bardzo doniosłe.

Przy kopaniu, w związku z budową obserwacyjnego punktu lotniczego niedaleko osady Kasanlik, natknęli się żołnierze na głębokości 5 m pod powierzchnią na starożytne mury, które umiejętnie odsłonięto. W ten sposób odkryto grób z wąskim krytym korytarzem, długim na 2 m; sam grób w typie tholos posiada w średnicy 2,6 m, wysokość w najwyższym punkcie sklepienia osiąga 3 m. Grób był naruszony, przypuszczalnie w okresie najazdów barbarzyńskich. Obecnie zawiera już tylko — poza śladami kości ludzkich i końskich, u wejścia, pogrzebanych w tym samym czasie — prostą glinianą amforę, złote nitki z pogrzebowego stroju, kilka drobnych małych krążków z kobiecego naszyjnika i kilka niezmiernie delikatnych, jasnoniebieskich rozet, również z zaginionego ubioru. W ścianie zamurwane były trzy brązowe sierpy. Metalowe zawiasy od wewnętrznej strony wskazują, że znajdowały się tu kiedyś drzwi ruchome, prawdopodobnie z brązu. Wejście do grobu znaleziono zamknięte płytą niezwykle grubości.

Grób posiada kopułę o stożkowym profilu, typowo trackim. Nas jednak interesuje nie tyle architektura, co malowidło ścienne, które Carlo Verdiani określa entuzjastycznie jako pierwszy autentyczny przykład hellenistycznego malarstwa ściennego. Znanie nam wprawdzie już inne w Macedonii, jednak na pewno mniej świetne, a zestawienie ich posłuży do podkreślenia wartości tego niewątpliwie doniosłego odkrycia.

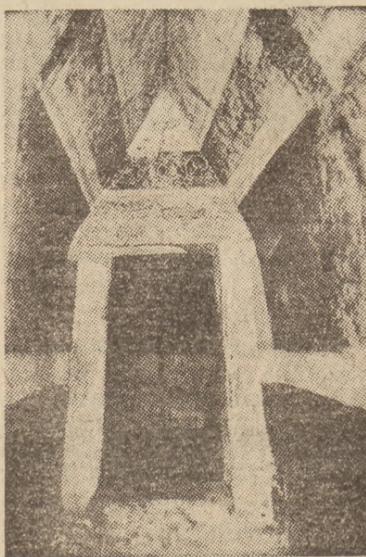
Malowidła wykonane w technice freskowej znajdują się na ścianach korytarza oraz samego grobu i na jego sklepieniu. O ile stan malowideł grobu jest doskonały i wprost olśniewa świetnością barw, malowidła w korytarzu ucierpiały wskutek wilgoci. Skala kolorytu sprowadza się do kilku barw — niebieska, czerwony cynober, ciepła ciemnożółta oraz róż czerwony.

Ściany w korytarzu (dromos) pokryte są malowidłem dekoracyjnym, występującym w pasach o różnorodnych motywach ornamentalnych. Podobnie i sufit rozczłonkowany jest na cztery pasy. W pierwszym z nich

stawia wartość, jako przejaw pewnych lokalnych elementów, o których na razie nie powiedzieć nie można — można się ich jednak domyślać.

Inne zupełnie wrażenie wywołują malowidła w samym tholosie, mimo że w układzie dekoracji ściennej pałuje ten sam porządek, co w dromosie. Dają nam one wspaniałe przeżycie. Stoimy wobec przejawu wielkiego malarstwa hellenistycznego w którego piękno wprowadza nas świeżo odkryty grobowiec. Monumentalny charakter malowidła potęguje się przez układ koncentryczny w czterech pasach, ułożonych na sklepieniu w kręgach o zmniejszającej się średnicy, co stwarza efekt ustępującej perspektywy.

Motywy głównego pasa sklepienia jest uczta zmarłych, a powyżej w ostatnim pasie, oddzielonym pasami ornamentnymi, przedstawione są wozy zaprzężone w biegnące konie. Uczta zmarłych jest częstym motywem w sztuce antycznej; przedstawienie jej jednak w malowidle w Kasanliku zdaje się wносить nowe, nieznane szczegóły ikonograficzne, które wymagają jeszcze bardzo specjalnych studiów. Przede wszystkim interesuje przedstawienie samych zmarłych: mężczyzna znajduje się



Korytarz i wejście do grobu

na skrzyni z poduszkami, czy też na prostokątnym stołku, wyścielonym czerwono-białym pasiastym materiałem. Zmarła zaś umieszczona jest na tronie ze sfinksem rzeźbionym na poręczach. Połączenie obu postaci w geście wyciągnięcia rąk jest bardzo znamienne i nie tak łatwo znaleźć do tego analogię. Przed stołkiem zmarłego ustawiony jest niski prostokątny stół o trzech nogach, który przechyla się ku przodowi, by ukazać rozstawione na nim przedmioty, jak mięso z chlebem, owoce i nóż.



Fragment uczty zmarłych. Malowidło sklepienia

Carlo Verdiani wyraża przypuszczenie, że twarz zmarłego może mieć rysy portretowe, podczas gdy twarz kobiety wyraża pełną smutku zadumę i jest szczególnie pięknie rysowana.

Po obu stronach zmarłych ustawiono ich asystę; za zmarłą jej podręczna z tacą albo pudłem kwadratowym w rękę oraz druga służebna kobieta. Za nią mężczyzna prowadzi zaprzęg z czterema końmi (trzy kasztany i jeden biały). Po przeciwnej stronie widzimy parę wierzchowców, przy których znajdują się dwaj mężczyźni; grupę tą wyprzedzają dwie muzykantki oraz służący w krótkiej tunice. Najbliższe postaci zmarłego stoi niezwykle wysoka postać kobieca z tacą z owocami w ręku. Verdiani określa ją jako postać raczej tajemniczą.

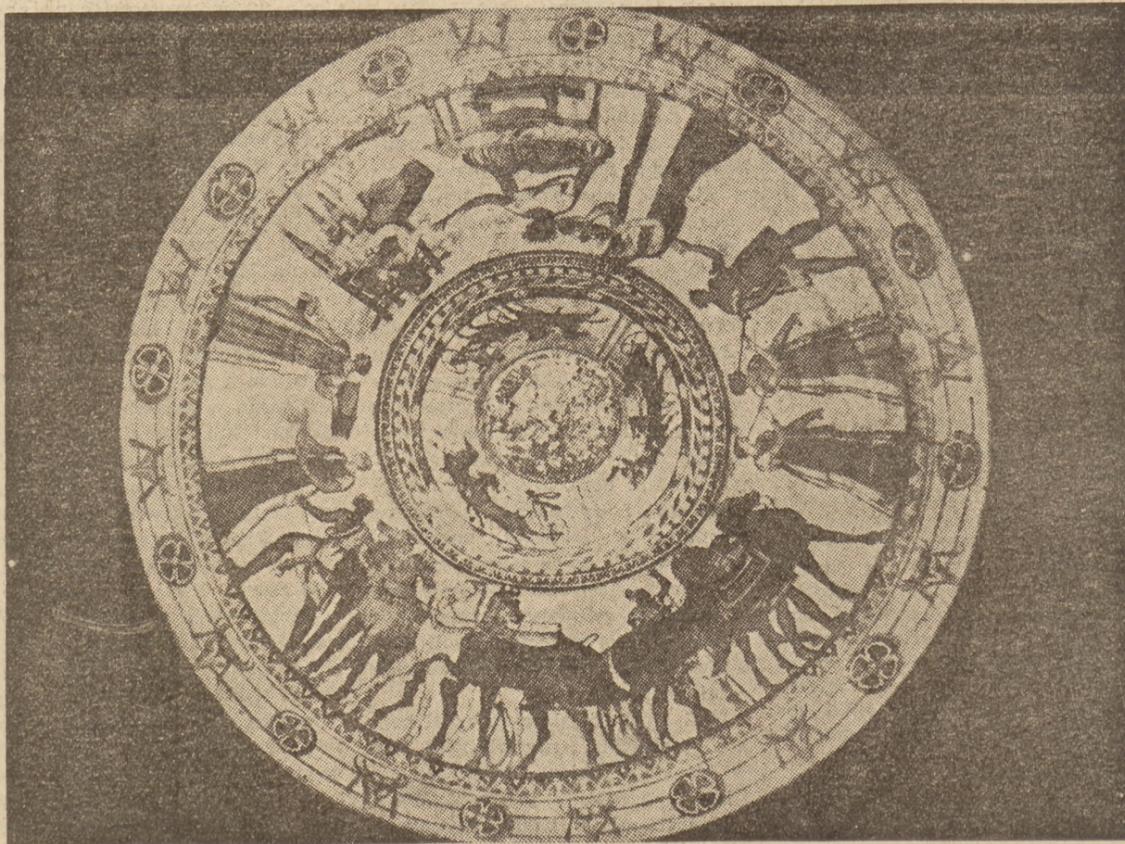
Verdiani, zachwycony wspaniałością odkrycia, ostrożnie nie datuje dokładnie tego malowidła. Określa je ogólnikowo jako hellenistyczne, co oznaczałoby okres III—I w. przed Chrystusem. W obecnym stanie badań stanowisko to jest zupełnie słuszne, gdyż dopiero dokładna znajomość szczegółów ikonograficznych, i związane ich z innymi zabytkami, pozwoli je czasowo dokładnie określić. Sama analiza formalna tu nie wystarcza, gdyż mimo przeważającego w malowidle niewątpliwie hellenistycznego ducha, mamy przed sobą jednak objaw sztuki prowincjonalnej, w jednym z najdalej wysuniętych punktów na peryferiach imperium rzymskiego. Sztuka prowincjonalna jest zazwyczaj opóźniona w stosunku do rozwoju artystycznego kraju. Zabytek z Kasanliku należy datować ostrożnie tym bardziej, że nasza znajomość innych zabytków malarstwa hellenistycznego jest znikoma.

W przeciwieństwie do malowideł z grobów macedońskich malowidło z Kasanliku tchnie czystym duchem malarstwa hellenistycznego. Niezależnie od czasu jego powstania, który może nawet być nieco późniejszy, w swym artystycznym charakterze należy ono do okresu hellenistycznego i nie zawiera w sobie nic z późniejszych elementów. Można tylko przypuszczać, że w porównaniu do nieznanych nam doskonałych jego prawzorów odznaczało się pewnym prymitywizowaniem i wulgaryzacją formy.

Jeśli wolno nam spojrzeć na to malowidło okiem nowoczesnym, odkryjemy w nim niepospolite wartości artystyczne. O ile w ogólnej kompozycji umiar i ład, które znamionują całe malarstwo greckie, znane nam z waz i nielicznych fragmentów — malarskie opracowanie formy w grobowcu kasanlickim posiada jeszcze inną cechę. Nie jest to zapewne przejaw sztuki lokalnej, gdyż w całym greckim malarstwie monumentalnym tej epoki występował może większy rozmach niż w malarstwie wazowym, ograniczonym dużą dyscypliną, która zresztą wynikała z materiału. W malowidle grobu widać większy rozmach, formy syntetyczne, uproszczone. Nie ma tu przewagi konturu jak w malowidle na ścianach korytarza; forma jest bardziej malarska, przez odpowiedni modelunek zaznacza się plastyka kształtów. Jest to najbardziej znamienny rys tego malowidła, co zbliża je niezmiernie do nowoczesnego pojmowania sztuki. Fragment główny uczty zmarłych — postacie mężczyzny i niewiasty, są tego doskonałym potwierdzeniem. Nie tylko kompozycja obu postaci, przepojona harmonią i wewnętrznym rytmem, który wiąże układ ich członków, a zwłaszcza rąk, ale także opracowanie formy malarskiej przez modelunek jest znamienne. Występuje to zwłaszcza w układzie fałdów szat, spływających łagodnie i harmonijnie. Podziwiać trzeba także ujęcie samych postaci, przede wszystkim partię głowy i postaci zmarłej; nie ma tu nic z oschłości linearizmu, którą zwykle się wiąże z pojęciem sztuki klasycznej, jakie ustaliło się w XIX wieku u naśladowców. W autentycznym malowidle hellenistycznym występuje idealne zespolenie wszystkich czynników kształtowania.

Znamienne też jest operowanie dużymi syntetycznymi skrótami. Zwłaszcza w niewielkich postaciach asysty nieznany nam artysta nigdy nie rozdrabnia się w opracowaniu zbędnych szczegółów, gdyż szło mu o rozczłonkowanie całości i pomieszczenie w niej niezbędnych motywów ikonograficznych, przetransponowanych na wartości formalne.

Malowidło to należy do świata hellenistycznego nie tylko przez swą kompozycję, ale przede wszystkim przez malarski modelunek postaci, co tym bardziej zadziwia, że zachowana jest monumentalność ujęcia. Nowo poznany zabytek różni się swym charakterem od znanych nam malowideł pompejańskich, które są przejawem innego już ducha i ujmowania.



Uczta zmarłych. Malowidło na sklepieniu grobowca

POWIEŚĆ I TRAKTATY

Eugenia Kocwa. Marla wyrusza w świat. Powieść. Kraków, Gebethner i Wolff, 1946; str. 415 i 1 n.

Książka Eugenia Kocwy nosi podtytuł „powieść”. Tak ją przynajmniej określa autorka. Jednak dla czytelnika zaszerzanie tego utworu do któregoś z gatunków literackich sprawia wiele trudności, gdyż książka ta zatracca często swój literacki charakter, stając się pracą o naukowych aspiracjach. Jest to raczej powieść poprzegradzana dłuższymi dygresjami na temat filozofii, psychologii, fizjologii, socjologii i dyskursami światopoglądowymi. Dzieje bohaterki powieści, Marli, stały się pretekstem do ogłoszenia zawiłych studiów. Są one nieznacznie uzupełnione, a ponieważ wplecione zostały do refleksji psychologicznych Marli przypadkowo i niefortunnie, rozpuszczają i tak wątku akcji w powodzi patetycznych frazesów. W 415 stronach książki zamknęła autorka, prócz skromnych losów Marli, całą posadzaną wiedzę o życiu. Wobec takiej rozpiętości, a raczej objętości problemów dość trudno przychodzi omówić nawet samą literacką stronę powieści.

Marla, jako osiemnastoletnia dziewczyna, już na początku powieści „wyrusza w świat”. Przesuwa się przez małe, prowincjonalne miasteczko, przez obcą, wielkomiejską Warszawę, zatrzymuje się, jako urzędniczka, w szarych, beznadziejnie nudnych biurach, nigdzie nie może znaleźć upragnionego szczęścia. W ostatnich partiach książki, nie mogąc uwolnić się od glinianek, korzysta z zaturu pracowniczych fabryki z dyrektorem i wywołuje strajk. W ten sposób, do pewnego stopnia oszukawszy siebie, zostaje zwolniona z pracy. Puszczając się teraz w romantyczną pieszą podróż do rodzinnego miasta. W drodze, będąc już starszą panią, przeżywa ostatnią miłość. I tu w czystej atmosferze wiejskiej znajduje szczęście i siłę do dalszego życia w rodzinnym mieście Krakowie, do śniłonego „jakiegoś wielkiego trudu”.

W ciągłych poszukiwaniach nieuchwytnego szczęścia przeżywa Marla pięć miłości. A raczej pięć odcieni miłości. Od czysto fizycznej do „gladiatora”, przez subtelne zbliżenie z Pawłem-muzycykiem, do flirtu ze Stachem, ekspasustkiem wiejskim. Każda z tych miłości urywa się, mija, zawsze z winy partnera. Czyżby oskarżenie mężczyzny? Może niewiada; zawsze jednak mężczyźni są przyczyną zerwania. Czy to, gdy raz ją brutalność („gladiator”), czy to, gdy rozwija się jej złudzenia co do niezwykłości (Paweł), czy wreszcie, gdy stwierdza brak wzajemności (Marek). Ten ostatni towarzyszy myślom Marli przez dłuższy czas, dlatego tylko chyba, że był jej pierwszą miłością. Stroną pokrzywdzoną jest zawsze kobieta — Marla, Krystyna, Ewa, żona Walewskiego — i one to w ostatnim, prawie dantejskim śnie-wizji wyciągają ku

Marli prosiąco ręce. Niestety, autorka nie tłumaczy tego snu. Może oczekują od Marli, że ona zemieli się za ich krzywdy? Sny w ogóle często trapią Marję. Są ciężkie, na wzór biblijnych, przeladowane mnogością szczegółów i wyrazistymi obrazami. Niepoślednią rolę odgrywają też w nich mężczyźni.

Mężczyźni występujący w życiu Marli są piękni i kładzą z nich przedstawiła inny typ urody. Ciekawy jest tylko sposób widzenia mężczyzn przez autorkę. Zauważa w nim przede wszystkim najpierw oczy (najczęściej zielone) a potem ręce.

Świat widziany oczami Marli jest szary i smutny. Rzadko spotykamy w książce jasniejsze, barwniejsze krajobrazy (ogładane zresztą tylko podczas krótkich urlopów). Nie przykłada one ciepła ani rumieńców wywołanych, zadżgonemu mlasku i przytłoczonym jednostajną pracą ludziom fabryk. Jednostki ambibne (Walewski), żądne użycia (Krystyna) walczą, wybijają się — inni wegetują przy stolikach maszynistów, rachmistrzów itp. Krystyna, chociaż osiąga te szczyty, o których zawsze marzyła, jest w dalszym ciągu niezadowolona ze swego losu. Wśród tych ludzi autorka każe tęsknić Marli za wolnością, za przestrzenią, którą symbolizują tutaj albo szyny kolejowe, albo piaszczysty brzeg morski. Z żarliwym przejęciem zapytuje nie raz Marla, a raczej wprost sama autorka, o siłę „która go (człowieka) zmusza, by wleźnie czegoś szukał”. Jednak gubiąc się w gestwie trapiących pytań i zawiłych odpowiedzi wyjaśnia niefortunnie: „A Marla nie chce być zwaną Brać z życia to, co jest do wzięcia a potem się dalej, po nowe doznania, nie zatrzymując się, nie oglądając za siebie”. Metafizyczna wartość szyn — symbolu tęsknoty z nieskończonością — traci więc tu swe mistyczne znaczenie. Mimo to wciąż niedwuznacznie materialistyczne stwierdzenie, autorka zaraz, w najwinnie banalnym i przydługim opisie rynku krakowskiego w nocy, podkreśla supremację ducha nad materią.

Eugenia Kocwa zawarła w swej książce dużo obserwacji. Spostrzeżenia jej są często trafne i, szczególnie w partiach erotycznych, wykazują pewne zjawstwo duszy ludzkiej. Jednak skłonność do ich rozwlekania, do ubierania w patetyczne i oklepane zwroty, psuje dodatnie wrażenie. Uderza brak umiaru w obrazowaniu. Daje się zauważyć niepotrzebny patos, górna frazeologia, wzmnośne inwokacje (np. do wiosny) i werbalizm. Ulubionym tem jest, prócz odciekających deszczem pejzażów, księżyc i jego światło.

Jedną z charakterystycznych cech tej książki jest — że tak powiem — milczenie jej bohaterów. Spotyka się w niej zaledwie parę zdań zamienionych między Marlą a otaczającymi ją ludźmi. Jest to niezbyt udane (wskutek wyżej wspomnianych dygresji i dłużyzny) wzorowanie się na Prouście.

Tadeusz Kocwicki

PSYCHOLOGIA ZWIERZĄT

Jan Dembowski. Psychologia zwierząt. (Kraków), „Czytelnik”, 1946; str. 365 i 3 n.

Polska literatura psychologiczna nie posiadała dotąd książki z zakresu psychologii zwierząt. Książka prof. Jana Dembowskiego uzupełnia tę lukę. Brak odpowiedniego podręcznika utrudniał studentom pracę; student psychologii powinien bowiem znać psychologię zwierząt niegorzej od psychologii człowieka.

Ukazanie się książki prof. Dembowskiego ma jednak poza tym znaczenie ogólniejsze. Chodzi mianowicie o wpływ, jaki zapoznanie się z psychologią zwierząt wywiera na poglądy szerokiej warstwy społeczeństwa w odniesieniu do zagadnień psychiki ludzkiej. Psychologia zwierząt uczy biologicznego rozpatrywania i rozeznawania zagadnienia „duszy” człowieka, bo „biologia życia duchowego jest u wszystkich zwierząt, łącznie z człowiekiem, analogiczna” (Dembowski, str. 83). Nauka, którą nazywamy psychologią zwierząt jest poza tym nauką o rozwoju życia psychicznego — poprzez różne jego szczeble — od samych jego prostych zaczątków aż do wielkiej złożoności i aż do tego stopnia funkcjonalnego udoskonalenia, jaki osiąga u człowieka. Badanie stopnia rozwoju psychicznego różnych rodzajów i gatunków zwierząt wykazuje przede wszystkim wielką współzależność rozbudowy organizmu (a szczególnie centralnego systemu nerwowego) i tych czynności i form zachowania się poszczególne zwierząt, jakie nazywamy psychicznymi. Studiowanie psychologii zwierząt uczy więc myśleć psychofizjologicznie — w zakresie psychologii. W ten sposób student tego przedmiotu zaczyna coraz lepiej rozumieć, że również życie psychiczne człowieka jest poniekąd wykładnikiem specyficznej i udoskonalonej struktury aparatu nerwowego.

Psychologia zwierząt jest nauką, która z konieczności, ze względów metodycznych, pomija introspekcję, jaka do niedawna była klasyczną i prawie jedyną metodą w psychologii człowieka. Psychologia zwierząt — w tym swoim ograniczeniu — jest nauką ściślejszą i obiektywniejszą niż psychologia człowieka.

W książce prof. Dembowskiego znajdziemy się z wielką pomysłowością uczonych, stosowaną przy badaniu życia różnych zwierząt i dowiadujemy się z niej różnych przedziwnych rzeczy o zwierzętach — i dla zwykłego czytelnika zupełnie nieoczywistych. Znamieniewa się przede wszystkim przytoczone przez autora przykłady sprawności „ślepych”, wrodzonych umiętniętych i zdumiewająco jasnych instynktów i zdumiewająco jasnych instynktów i zdumiewająco jasnych instynktów — zagadnienia w szczególności przez autora pilnie studiowane i uwypuklone. Książka popularyzująca wiedzę są mimo wszystko w przedstawił prostych faktów potrzebą zadziwić czytelnika.

Zoopsychologia jest nauką młodą, która jednak w krótkim czasie potrafiła nagromadzić wielką ilość ścisłych danych o zachowaniu się zwierząt w różnych eksperymentalnych i naturalnych sytuacjach. Do opisu tego zachowania się i do wykręcenia jego ogólnych praw i czynników sprowadza się w rezultacie naukę zwaną psychologią zwierząt. Profesor Dembowski z ogromnego materiału wybrał i wyzerując przedstawił szereg charakterystycznych przykładów. W osobnych rozdziałach została przedstawiona „psychologia” następujących zwierząt: wycieczka, dżdżownicy, pszczoły, kury i szczeni. Pierwszą część dzieła jest poświęcona podstawowym, teoretycznym i metodycznym zagadnieniom psychologii zwierząt (behawiorizm, zasada postaci) oraz podstawowym formom i czynnikom postępowania zwierząt (tropizmy, odruchy

warunkowe, instynkty). Wstęp historyczny wprowadza w zagadnienie.

Na psychologii szczeni książka się urywa, z zapowiedzią następnego tomu, w którym zostanie przedstawiona psychologia małych czeladkowskich, łącznie z antropologią.

Autor jest powściągliwy i ostrożny w wysnuwaniu zbyt daleko idących wniosków. Nie neguje on faktu, że zwierzęta (przynajmniej wyżej uorganizowane) posiadają tzw. przeżyca wewnętrzne, w zasadzie podobne do ludzkich. Stwierdza on, że w swoim postępowaniu zwierzęta nie są po prostu automatami. „Zwierzęta — mówi autor, streszczając poglądy chińskiego biologa Kuo — jest pewnym mechanizmem, który rozwija się i zmienia pod wpływem określonych warunków” (str. 113). Zwierzęta uczą się i zdobywają doświadczenie (odruchy warunkowe) i są nawet zdolne wytwarzać pewne wyobrażenia. Zwierzęta działają pod wpływem instynktowych potrzeb i wrodzonych instynktowych umiętniętości, ale ich instynkty są plastyczne, co umożliwiło im w pewnych granicach przystosowanie się również do zmieniających warunków środowiska.

Autor nie neguje istnienia „przeżyca” psychicznych (tj. zjawisk introspekcyjnych) u zwierząt, ale nie przypisuje im, zdaje się, żadnego znaczenia (jeżeli chodzi o postępowanie zwierząt). Jeżeli się nie myli, to podtrzymuje on twierdzenie Loeba — „iż trzeba zerwać z tezą, że zwierzęta stale porusza się w jakimś celu, czegoś chce i do czegoś dąży” (str. 33). Zwierzęta, zdaniem moim, dążą do pewnych przedmiotów, pragną ich i pożąda — chociaż nie należy twierdzić, że czynią to stale. Pragnienia, dążenia i chęć są przeżyciami psychicznymi zwierząt, przeżyciami ich potrzeb instynktowych. Zwierzę kieruje się ku przedmiotom swego instynktu pod wewnętrzny napór (psychiczny) odczuwanej potrzeby, a nie po prostu automatycznie i mechanicznie. Przeżycia psychiczne zwierząt biorą czynny udział w postępowaniu zwierząt i w pewnej mierze nim kierują. Można metodycznie (behawiorystycznie) abstrahować od tego, co zwierzę czuje i przeżywa, gdy podstępnie tak lub inaczej, nie można jednak twierdzić, że w zachowaniu zwierząt czynnik psychiczny nie odgrywa żadnej roli i że nauka nie potrzebuje brać go w rachubę. Autor nie wyznaje bez zastrzeżeń behawioryzmu, bo omaria go krytycznie, ale jego teoria psychiki zwierząt ma charakter teorii czysto behawiorystycznej.

Autor wzbogacił polską literaturę psychologiczną o bardzo piękne i wartościowe dzieło. Zajmowano się dotąd przeważnie tak wyłącznie psychologia człowieka, że wytworzono sobie całkiem jednostronny jej obraz. Tymczasem psychika ludzka jest w pełni zrozumiała dopiero na tle psychologii zwierząt, m. in. na tle ewolucji psychogenetycznej, jaka się odbyła w świecie zwierzęcym. Ale zwierzęta są dla człowieka psychologicznie zrozumiałe tylko dzięki temu, że zna on z własnych przeżyć popydy i pragnienia, obawy i lęki, zainteresowania i zaciekawienia i inne podobne stany psychiczne. Gdyby tak nie było, to zwierzęta byłyby dla niego właśnie tylko udoskonalonymi, bezdusznymi automatami.

W końcu jeszcze jedna uwaga, która wydaje mi się na miejscu ze względu na to, że moje sprawozdanie z książki prof. Dembowskiego ukazuje się w „Odrodzeniu”, tj. w czasopiśmie literackim. Autor (na str. 25) odmawia psychologicznej wartości „cenionym utworom literackim Suttona, Kiplinga, Londona, Dygasńskiego i innych” — jeżeli chodzi o psy-

*) np. Jana Wiktora — przypisek recenzenta.

chologię zwierząt. Utwory takie operują bowiem prymitywnie antropomorfizującą psychologią. Otóż, wydaje mi się, że autor nie do końca psychologicznej przenikliwości tych autorów, którzy byli jednak wielkimi znawcami zwierząt, mimo że pisali o nich językiem nie naukowym i przedstawiali ich życie (psychiczne) z koniecznością językiem antropomorfizującym. Literatura powieściowa artystyczna — wprowadzająca m. i. zwierzęta do powieści — przestałaby istnieć, gdyby pisarzowi było wolno pisać o zwierzętach wyłącznie tylko behawiorystycznie. Każdy człowiek antropomorfizuje np. postępowanie psa lub kota, obcuje

Z WYSTAWY W GDAŃSKU

Przeszło rok temu, gdy front wschodni przeorał tysiące kilometrów, powracając do punktu zapalnego wojny, zwiastując rychły koniec hitleryzmu, do Gdańska na powrocie fall polskości przypłynęli artyści. Było ich kilku. Poza nich stało łatwo. Tylko artysta stać może nieruchomo wśród dymiących jeszcze gruzów i szabrowników pelających z pochylonymi głowami po „ciepłych” jessze ruinach — z zadartą głową, podziwiający wspaniałą masę Mariackiego kościoła, czy renesansowe koronki Arsenau. Gdańska nie ma. Nie istnieje. Te pierwsze raporty przeoczyły ciemne sylwety starych bram, kościołów i budowli, które z jakąś uciążliwą potęgą trwania oparły się żywiołowi zniszczenia, zachowując resztki swej gotyckiej czy renesansowej świetności. Te resztki trzeba było ratować przed zupełną zagładą. Pracę tę podjął polski historyk sztuki i polski artysta. Zaczęła się walka z najgorszym wrogiem ich poczynań — z obojętnością. Wiele trzeba było wysiłków, kołałań do władz i urzędów, nim udało się zorganizować pierwszą „drużynę ratunkową”, która pod kierunkiem polskiego artysty ruszyła w teren. Zaczęła się uciążliwa, systematyczna praca. Usuwano gruz, zabezpieczano w lapidariach ocalałe fragmenty zdobnicze, wydobywając spod ruin bezcenne nierzadki okaz dawnowiejszej sztuki. W tej „czarnej robocie”, chodząc po spięzonych zwaliskach co krok napotykał artysta na ślady polskości. Nie dziw, że zakochał się w ruinach Gdańska. Stary, nieufny Gdańsk, przedstawiający dla laika kupę gruzów, ze steroczącymi gdzieś wieżami, zaczął mu odsłaniać swe tajemnice, pisane przez wieki hieroglifami rzeźb, dat i fresków. Umarłe miasto wysadzone architektonicznymi kłopotami van Obbergena, van dem Blocke i Strakowskiego — Belgów i Polaka — stało się artysty polskiemu bliskie i drogie. Miłość swą zaczął wypowiadać po swojemu: kolorem i formą. Więcej: — zamieszkał wśród ruin.

Wśród gruzów i pułki najruchliwszej niegdyś ulicy Gdańska, Długiej, nazywanej w starych dokumentach szlakiem królów polskich, w Prawomiejskim Ratuszu, steroczącym w niebo okalającą wieżę, na której szczytce stał posąg Zygmunta Augusta — ocalała w całości jedna tylko komnatka o gotyckim sklepieniu, z bogatymi freskowymi zdobieniami, wśród których na środkowym planie królują Orzeł Polski. W mrocznej tej komnacie, o ciężkich, okutych drzwiach i zakratowanych oknach, zagłębił się malarz. Fakt ten ma historyczną wartość. To nie przypadek, że w Ratuszu Gdańskim, gdzie przez sto pięćdziesiąt lat słyseć można było tylko niemiecką mowę, gdzie wśród zwalisk walała się jeszcze różne „verboten” i „heimlich” niemieckie, jako pierwszy zamieszkał polski artysta, czując, że właśnie w tej komnacie, pod skrzydłami patrzającego nań z odległości wieków Polskiego Orła — jest jego miejsce, że wrócić do siebie, by jako spadkobierca dawnej tradycji gdańskiej szerzyć polską kulturę i polską sztukę. Artysta polski stanął samorzutnie na właściwym posterunku i spełnił swe społeczne zadanie.

Komnata w Ratuszu stała się bazą pra-

KSIĄŻKA FIEDLERA

Arkady Fiedler. Dywizjon 303. (Kraków), „Czytelnik”, 1946; str. 152.

Spośród wielu „rozstrzygających bitew” ostatniej wojny pierwsze chronologicznie miejsce przypada bitwie o Brytanię, zakończoną z końcem września 1940 r. zahamowaniem planów niemieckiej inwazji na wyspę angielską. Udział w tej walce dywizjonu 303, polskiego ze społu myśliwców, opisuje Fiedler w książce, której kilkulatni rozgłos i olbrzymia popularność zwałniają sprawozdawcę od obowiązku streszczenia tomu i dokładniejszego przypominania sobie i czytelnikom jego tematyki. I jeśli popularność i rozgłos Fiedlera, uzasadnione obiektywnymi zaletami jego książki podrozdziałowej wrości jeszcze dzięki jego książkom wojennym — jest to słuszna nagroda dla pisarza, który liczy się z czytelnikiem i jak mało kto umie mu trafić do przekonania.

Czym był „Dywizjon 303” dla kraju w okresie okupacji, pamiętamy dobrze. Wydania podziemne tej książki krążyły z ręk do ręk, czytano je z największym wzruszeniem i z wyjękami na twarzą, kolportowano na wszelkie sposoby. Znam pewnego doktora, który nie ważył się przepisać egzemplarza w całości na maszyni, byle parę odbitek puścić w kurs w kole zaufanych. Czemu się tak działo, czemu „Dywizjon 303” stał się najbardziej rozpowszechnioną książką podziemną — wytłumaczyć łatwo. Przyłapano i wycięto w uczuciach czytelników atmosfera książki. Rzeczywistość okupacyjna była nie tylko bezgranicznie okrutna, ale była też bezgranicznie przytępiona. Niemiecki wróg nie stosował rycerskich sposobów walki: wyparował a równocześnie ponizł i upokarzał, tworząc mit panów i slug. Niemcy to byli nasi śmiertelni wrogowie. W tych warunkach Fiedler zaspokajał głód romantyzmu, głód walki równych z równymi, walki, by tak rzec, w słońcu i w świetle. Tradycję wojennej i charakterowej Polaków przeżyła i zadawała fizyczny i psychiczny gwałt rzeczywistość okupacyjna. Fiedler przywracał normy moralne i reguły uczciwej gry wojennej, podtrzymywał w duszy polskiej mit wojny taki, jaki wpoił Polakom Ślenkiewicz. Nawet bojowcy nie byli wołni od tego kompleksu.

Opisy wojenne Fiedlera są barwne, plastyczne, sieniłowiczowskie. Oficerowie dywizjonu to nowi Kmitcie i Wołodyjowsy, nie brak mędnego Hławy, nie brak zastużonych, godnych najwyższego wyróżnienia, górmków i ciurów (tak w istocie należy rozumieć gorliwy opis armii mechanicznej, przystojujących swą pracą zwycięstwo, nie nagradzanych nigdy krzyżem walecznych internistów, chirurgów i felczarów maszyn). Walki

z tymi zwierzętami. Nasze wyobrażenia o życiu psychicznym zwierząt nie pokrywają się z ich przeżyciami. Mimo to jednak człowiek jako „rozumie” (choćby niektóre) zwierzęta, a one (np. psy) jako „rozumieją” człowieka. Dziedzina przeżyć i stanów wewnętrznych zwierząt należy także do ich psychologii, mimo braku metod (a może w ogóle możliwości) ścisłego naukowego zbadania tej właśnie dziedziny. Cenna i niezmiernie ważna nauka o postępowaniu zwierząt niekoniecznie pokrywa się z nauką, która by w pełni miała prawo do nazwy: psychologia zwierząt.

Stefan Szuman

CZY NORWID BYŁ WIKINGIEM?

W swojej autobiografii umieścił Norwid taki oto ustęp:

„Norwidy, a pierwotnie Norwity (na Litwie i na Żmudzi Norwity, w wymianiu mazowieckim przez d stwardniałe) datują się od wycieczek normanńskich na brzegach mórz północnych. Unia dała im w głównej linii rodów herb Topór, mający jeszcze przed uchwałą kozyńską przywilej książęcia (dux), koronę książęcą i purpurę (czego jednak nie używano).

Do dziś jest osada Norwidy w Mariampolskiem, niegdyś własność ojca Cypriana Norwida; jest też w tym rodznie kawalerstwo małańskie...”

Z Wasilewskiego przytoczywszy ten urzywek („Norwid”, s. 49) ciągnie tak dalej:

„Niewątpliwie Norwid był Mazurem z przymieszką krwi normanńkiej, która obficie zabarwiła naszych Mazurów od północy. Antropologia pocytuje tę przymieszkę za czynnik dodatni, a jakie ona daje wyniki w najgłębszych pokładach psychicznych, o tym bodaj pierwszy raz na Norwidzie nauka może się przekonać, jemu bowiem pierwszemu wśród Mazurów tego pochodzenia, nie tylko w rodzie Norwidów, wypadło dobywać z tych najgłębszych pokładów atuty psychiczne w grze o genialność twórczą i sławę. W wyobraźni mojej, pod wpływem popularnych wiadomości o Normanach... tajemnica duszy Norwida i jego losu tłumaczy się w pewnej mierze przemożną rolą owej przymieszki normanńkiej do krwi słowiańskiej, mianowicie jego niepokój, prędy do wędrownictwa i zdobywania świata, jego samotnictwo na jakiejś niedostępnej skale...” itd., itd.

Z tego cytatu widać, jak krytyk nie tylko serio potraktował wiadomość Norwida, ale nawet użył jej do wyjaśnienia pewnych cech jego charakteru i twórczości. Dziwne jest to tym więcej, że Wasilewski zdawał sobie dobrze sprawę ze snobizmu i zabiegów poety, aby swój ród pokazać w jak największym blasku. Pod tym bowiem względem Norwid tkwił głęboko w przesądach i ambicjach stanowych swoich współczesnych. Po wtóre, powinien był Wasilewski zastanowić się trochę nad liczbą pokoleń, które dzieliły poetę od owego mitycznego przodka Normana, wynikającym stąd krzyżowaniem się typów fizycznych i psychicznych oraz nieodwołalnym rozplynięciem się ewentualnych normanńskich cech. Ale wtedy trzeba by było napisać zdania znacznie bardziej prozaiczne niż tu cytowane.

Cóż jednak jest w końcu z tym normanńskim pochodzeniem? Po prostu nie, a raczej trzy wspólne głoski i litery w słowie Norwid i Norman. Te to trzy głoski były źródłem legendy, dzięki której drobny szlachetka miał się czym wyróżnić wśród tłumu podobnych. Jeszcze przecież dziś chętnie ludzie widzą w swoim rodzie, jeżeli nie szlachcica, to przynajmniej cudzoziemca, jak nie Francuza lub Włocha, to chociaż Tatar. Nazwisko Norwid nie przedstawia zagadki. Jest pochodzenia bałtyckiego, tzn. litewskiego czy może staropruskiego, a składa się z dwóch części. Pierwsza ma w sobie rdzeń ten sam co lit. noras „wola”, noręti „chcieć”. Znajdziemy ją także w dobrze znanym nazwisku Norbutas, czyli Narbut. Druga część nazwiska łączy się z bałt. rdzeniem wid — spokrewnionym ze słowiańskim wiedzic. Jest ona w nazwiskach bałtyckich bardzo pospolita, m. in. w nazwisku dawnego poety litewskiego, Mażwida. Pisownia przez t Norwit lub Narwit, jak u Niesieckiego, jest błędna, mniej więcej jakby ktoś napisał zwiit, röt zamiast zwiid, röt. Innymi słowy, nie ma sensu to, co Norwid w autobiografii napisał o „strawdzeniu i na d.

Chyba po tych wyjaśnieniach nikt nie będzie nazywał Norwida młodym Wikingiem (Wasilewski, s. 67), a tajemnicy duszy jego nie umieści w rasie i krwi normanńkiej.

Stanisław Urbańczyk

BOMBA ATOMOWA NA POLSKĘ

„Rycerz Niepokalanej” pisze: „Kościół rzuca klątwę na każdego, kto zabija dziecko nienarodzone lub bierze udział w zabijaniu lub doradza dzieciobójstwo. W samej Polsce zabija się podobno do miliona takich dzieci rocznie. Ludzie chcą przez to osiągnąć wygodę, ale zamiast wygody ześle Bóg na takich dzieciobójców bombę atomową”.

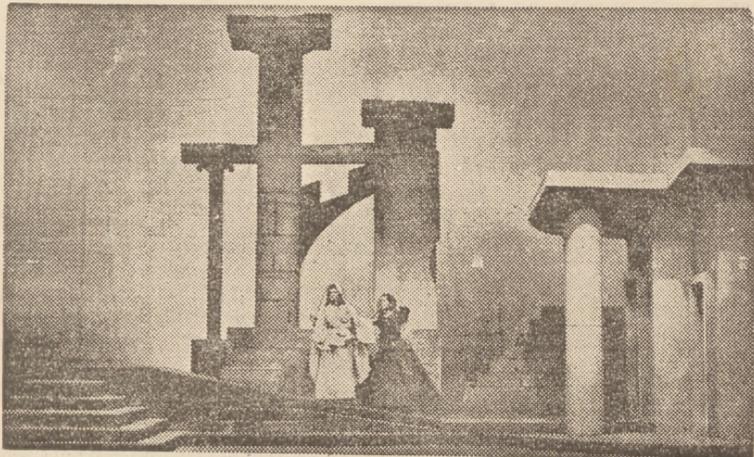
Ludzie po wojnie mają nerwy nadzarpięte i proszą, by ich straszyc piekłem, a nie bombą.

J. A. Szczepański

jaszcz

STANISŁAW WITOLD BALICKI

ODWIEDZINY TEATRALNE



Scena z „Antygony“

1

Z Warszawy, Łodzi i Krakowa zjechali goście na inaugurację nowego okresu działalności upaństwowionego już Teatru Śląskiego (pod dyktando Bronisława Dąbrowskiego, przy literackiej współpracy L. H. Morstina). Ludzi teatru ściągnęło niewątpliwie nie tyle samo miłe zaproszenie, co fakt śmiałego złączenia w jeden wieczór wrażeń — „Antygony“ i „Warszawianki“. Wprawdzie żadna z oficjalnych wypowiedzi, przed kurtyną czy w programie, nie wskazywała, że były głębsze, istotniejsze powody tego zestawienia niż inspiracja kierownika literackiego i zarazem tłumacza „Antygony“, oraz chęć utrzymania tradycji, żeby sezon rozpoczął utworem patrona sceny — Wyspiańskiego; niemniej jednak Sofokles i Wyspiański mogą i powinni mocno do współczesnego widza przemówić — właśnie równocześnie i nawzajem się uzupełniając. Przemówić nie tylko jako dokumenty epok kultury teatralnej czy wzruszające esencje piękna, ale głównie żywą treścią, którą z rozumieć i wchłonąć wreszcie powinno nasze pokolenie.

Sprawa „Antygony“ jest sprawą prostą i niezmiennie aktualną. Wymowa jej mądra, groźna i tragiczna. Gdy do władzy dochodzą tyranści Kreonowie i dopóki rządzą po dyktatorsku lub w zamaskowany sposób machiawelicznie gwałcą najświętsze prawa i dążenia ludzkości, dopóty mogą być potrzebne bohaterskie męczennice, świadomie podejmujące posłannictwo buntu i walkę o wolność sumienia, serca i życia. O wolność jednostki i zbiorowości przeciw przemocy wszelkich faszystów, przeciw zbrodniczemu imperializmowi jednostki czy zbiorowości. I wtedy ryzykowanie męczeństwa i śmierci ma swój ludzki, społeczny sens. Jest czynem świadomym, wynikającym z obowiązku zdobywania wolności i człowieczeństwa.

Zrozumienia tej prawdy najczęściej nie dostawało i jeszcze często nie dostaje polskiemu społeczeństwu. Ukazuje to wyrażenie „Warszawianka“ i jej dzieje.

2

Ten piękny przez pół, tragiczny pamiętnik liryczny poety szamocącego się z zagadkami psychiki Polaka, tragicznie usiłującego zderzyć ze siebie skorupę nawarstwień przetrzonych szkodliwych przesądów, tkwiących w narodzie, a najniesłuszniej urastających w opinii do wielkości nienaruszalnej i czi godnej tradycji; poety, usiłującego w całej swej twórczości walczyć z nieodpowiedzialnymi schorzeniami romantyzmu i wadami społecznymi, nierządkiem sięgającymi megalomańsko po aureolę świętości narodowej; — ta „Warszawianka“, wystawiona po raz pierwszy przez Pawlikowskiego w r. 1898 jako utwór patriotyczny „ku czci...“ — przez nieporozumienie i później, niemal stale, urastała w opinii do hymnu-apoteozy polskiego czynu i bohaterstwa.

Nie sięgajmy daleko po wymowne przykłady. Zaraz w pierwszym numerze „Odrodzenia“, w pierwszych tygodniach wolności skrawka Lubelszczyzny, sprawodawca teatralny wołał o romantyczne dramaty: „niechby choć „Książd Marek“ czy „Warszawianka“ przemówiły swą poezją...“ Równocześnie polska emigracja chcą i w teatrze uczcić wal-

czącą Warszawę na gwałt sięgała po „Warszawiankę“. A nawet w samej, ruchem powstańczym ogarniętej stolicy...?

Właśnie na katowickim przedstawieniu siedział obok mnie wybitny dramaturg-myśliciel, który w pierwszych dniach września 1944 r. rzucony w trwogę krakowską wyszarpywał z siebie potworną, przeżyta tragedię powstania warszawskiego, a równocześnie, w chwilach opadającej gorączki nerwów i krytyki, wspominał z narastającym entuzjazmem własne przygotowania do uruchomienia żołnierskiego teatru powstańców i próby — czego? — oczywiście — „Warszawianki“. Pieśń wieszczą zgon — miało przeżywać walczące o wolność miasto. O, nieśmiertelny obłędzie zatrutej polskiej psychiki narodowej!

Pod tekstem pierwodruku „Warszawianki“ widnieją dwie, różniące lat kilku rozdzielone daty: paryska i krakowska. W Paryżu zrodziło się w Wyspiańskim zrozumienie wolności i bunt przeciw naszej cierpiennej historii, która przerabiała widma klęsk na ewangelię postanienictwa. „Chciałbym żyć wśród ludu silnego i pewnego siebie, posiadającego byt niezależny, jednym słowem narodu wolnego, w ognisku cywilizacji pełnej i rozwiniętej“ — pisał z Paryża, gdzie uliczne zabawy w rocznicę rewolucji, melodia i słowa „Marsylianki“ musiały mu narzucić rozmyślenia o rozkochanych w trumnach celebrowaniach polskich, przypomnieć melodię i słowa „Warszawianki“. Od takich porównań nie można się było uwolnić także i wtedy, gdy nasza grupka literatów i publicystów uczestniczyła tego roku przed L'Hôtel de Ville w pogodnym obchodzie i niefrasobliwej zabawie, upamiętniającej drugą rocznicę paryskiego powstania. Paryż sierpnia 1944 i Warszawa sierpnia 1944. Zwycięstwo i zgon.

Lata bowiem ostatnie powtórzyły u nas raz jeszcze akcję „Warszawianki“. Nieodpowiedzialność polityków, niefachowość, kabotyńskie aktorstwo lub prywatna dowódców, pogoń za przygodą i odznaczeniem się romantyzującą młodzieżą, atmosfera kultu śmierci (zaczyna już z tym walczyć sama młodzież na łamach „Młodej Rzeczypospolitej“, dyskutując o konspiracji, romantyzmie i „narodowym“ patosie), dalej zaś ściankowy egotyzm, egoizm i megalomania, oszukańczo strojące się w barwy źle rozumianego patriotyzmu — zostały już właśnie w tej „Pieśni z roku 1831“ oskarżone i potępione przez poetę. Jedynie prosty żołnierz, stary wiarus, ma świadomość swoich zadań i wypełnia swój obowiązek dla drugich, dla wyznawanej idei, wypełnia milcząc o aż po kres sił żywotnych. Jest — jak Antygona — naszą nadzieją i wskazaniem.

3

„Warszawianka“ wciąż jeszcze czeka na odważnego, twórczego inscenizatora, który by wreszcie nie widział w tej „Pieśni“ dramatycznej anegdoty czy skrótu historii roku 1831, ale — silnie podkreślając atmosferę zbiorowej hysterii (motywnie przewodni: daleki odgłos dział i przelewająca się przez scenę melodia pieśni) — zamienił widowisko w trybunał narodowy, sadzący na ławie oskarżonych wewnątrz niemal całego społeczeństwa. Taki charakter

„Warszawianki“ narzuca sam poeta pierwszymi scenami i tyradami Chłopcickiego; jeżeli nie każde słowo drugiej części utworu brzmi równie konsekwentnie, to nie tyle wina sugestii faktów historycznych czy okoliczności, w jakich utwór debiutującego autora przerabiany był na scenę, ile atmosfery Krakowa (druga data powstania utworu!), z której wyzwolić się będzie trudno poecie. O charakterze utworu decyduje jednak nie jego piękność, ale nurt protestu i walki, ton pamfletu i oskarżenia — tragiczne, nieustanne samowyzwalenie się autora.

Katowickie przedstawienie choć odbiegało od myślniej tradycji i szablonu, przecież nie było rewizjonistyczne. Chociaż Andrzej Pronaszko dał już celową i sugestywną dekorację, będącą prowokacją do nowego reżyserskiego ujęcia całości. Zachowując wskazany przez poetę plastyczny kolor, usuwając zbędne rekwizyty, wysunął na pierwszy plan wielką trumnę czarnego fortepianu. Jakby otwartym jego wiekiem jest tylna ściana salonu w stylu cesarstwa. Gdyby jeszcze usunął niepotrzebny dodatek w postaci pęku polskich i francuskich sztandarów, a na ich miejsce, z prawej (od widza) dał drzwi wejściowe, będące obecnie tuż przy oknie, i przede wszystkim zamknął dekorację nie kłosem błękitnego horyzontu ale może czernią kotar — wrażenie byłoby silniejsze, bardziej zwarte.

Dekoracja nie szła po linii koncepcji reżysera. Henryk Szleptyński swą reżyserią, opierającą się w ujmowaniu postaci na dotychczasowych przekazach teatralnych, oraz rzetelnym wypracowaniem szczegółów po linii tradycyjnej ani nie usprawiedliwiała dekoracji, ani nie wytłumaczyła sensu, a co za tym idzie społecznej potrzeby grania tego utworu. Maria, w jego reżyserskim ujęciu i w interpretacji katowickiej artystki, staje się zwłaszcza w finale niemal Marią boleściwą u stóp Golgoty, symbolem cierpięcej Polski. Podobno już Modrzejewska czyniła z Marii symbol „zakutej w kajdany Polski“, podczas gdy większość — jak pisał Przybyszewski o Siemaszkowej — wyolbrzymiała Marię „do potęgi jakiejś zło-wrogiej Kassandra“.

Jedno i drugie jest — moim zdaniem — omyłką. Maria, egzaltowana, pełna egoizmu i zazdrości pannica, to w wizji Wyspiańskiego upiór egotycznego i egoistycznego, gorzej, bo równocześnie śmiertelnościowego romantyzmu, szalejącego nad Polską i w polskiej duszy.

To nie jest bohaterka. Jedynym, zapamiętajmy, jedynym bohaterem jest Stary Wiarus. I dlatego w realizacji scenicznej on jeden musi być postacią na serio, — w przeciwstawieniu do kabotyństwa, marionetkowości czy upiorności innych. Jego kulminacyjna, milcząca scena musi być wypunktowana najprostszymi, najnaturalniejszymi środkami, by wywołać grozę i wiarę. A tymczasem właśnie ze Starego Wiarusa od czasów prapremiery aż po dzień albo robi się marionetkę, sztywno skandującą kroki w rytm melodii, lub też „zagrywa się“ tę rolę na całego, że aż człowieka pasja bierze na chamskich salonowych gości, oficerów, panien domu, wybałuszających ślepią na ślaniającego się i potykającego żołnierza, i pozwalających mu, bez zainteresowania się tym faktem, upaść zaraz za progiem. Tak było i w Katowicach. A scena ta dla swych wstrząsających wartości czysto teatralnych zasługuje na sumienne studium reżyserskie.

Trzeci ważny element aktorski — to Chór (w afiszu poety nie ma Paców, Skrzyneckich, literatów, pani domu, jest — chór). Chór z poszarpanymi nerwami, zagubiony lub megalomańsko wzywający, zaparty w przygotowywujących się do odmarszu żołnierzy, zasłuchany w daleki odgłos dział, koncentrujący uwagę na narzuconej mu pieśni o zgonie i nią opętany. Usunięcie przez Pronaszkę mebli ułatwia reżyserowi rozwiązanie gry Chóru (który nie może się bawić w salonowych gości) i jego ustosunkowanie do centralnych aktorów dramatu, nie wyłączając trumny fortepianu. W Katowicach nie

było Chóru jako jednej z dramatis personae, byli teatralni statyści niefortunnie szturkający się na zbyt wąskiej co prawda przestrzeni między fortepianem i oknem, lub najniepotrzebnie gromadnie umykającą dziurą w ścianie gdzieś w horyzont.

Najmniej rewolucyjne zmiany „grozą“ dotychczasowemu ujęciu Chłopcickiego, jeżeli tylko roli tej nie podejmuje się aktor obdarzony tzw. szlachetnym patosem, przez którego usta nie przejdzie wewnętrzne skłócenie, fałsz, pycha pieszczona się błędami drugich i aktorskie zgrywanie się na zbawiciela. Bo to jest prawda wewnętrzna Chłopcickiego z „Warszawianki“. Kazimierz Wichniarz — grający tę rolę w Katowicach — jest dobrym materiałem na przyszłego Chłopcickiego, tekst mówi rozumnie, ma „wnętrze“, musi tylko rzetelnie popracować nad dziwactwami modulowania głosu.

4

Szleptyński i Pronaszko przygotowali także inscenizację „Antygony“, korzystając wybitnie i z reżyserskich inspiracji tłumacza Morstina, który już przekładem dążył do „odkrotnowania“ dzieła i uprzestępnienia go czytelnikowi a zwłaszcza widzowi przez akcentowanie naturalności, potoczności, przez podkreślenie wdzięku i baśniowości tragedii. Pod tym względem realizacja katowicka była konsekwentniejsza i na ogół szczęśliwsza od zesłorocznej krakowskiej, choć nie dorównała jej aktorsko. Stuznie we wstępie do książkowego wydania swego przekładu powiada Morstin, że mądrość grecką należy podawać na marginesie piękna. Tym pięknem była przede wszystkim inscenizacja plastyczna Pronaszki, pomysłowe architektoniczne zabudowanie sceny, synteza helleńskiego pejzażu w głębi (tylko znowu mało „monumentalny“ domeczek po pechowej prawej stronie) oraz kostiumy, zestrojone barwą z oprawą dekoracyjną i wraz z dekoracją harmonizujące z tonem widowiska. Muzyka Witolda Krzemińskiego, trafnie zjawiająca się w przerwie między scenami, zapowiadająca wejście nowych osób i sugerująca nastroj epizodów, potęgowała sumę wrażeń; brakło jej jednak właśnie wtedy, gdy trzeba było odrzucić dramatyczne napięcie i umotywić nagły szal radości chóru, chwaleńczego Bakchusa. Stąd i taniec Tryjad był ledwo że przyfastrygowany do akcji. Chór i tutaj nie czuł się dobrze, a rozbiecie liczących kwestii pomiędzy poszczególnych starców nie powiodło się, bo byli za młodzi, bez należytej ekspresji i o poważnych błędach dykcji. — Na czoło wykonawców wysunęła się Janina Jabłonowska, która bardzo bezpośrednio, po ludzku i wzruszająco ujęła postać Antygony.

5

Rzetelnie pracujący nad upowszechnieniem kultury teatralnej Teatr Śląski gra równocześnie na Małej Scenie jedną z naszych najciekawszych i najdowcipniejszych komedii: Fredrowskiego „Męża i żonę“, którą przypomniała i odkryła dopiero słynna przedwojenna fredromachia, stoczona przez Boya-Zeleńskiego i profesora Eugeniusza Kucharskiego.

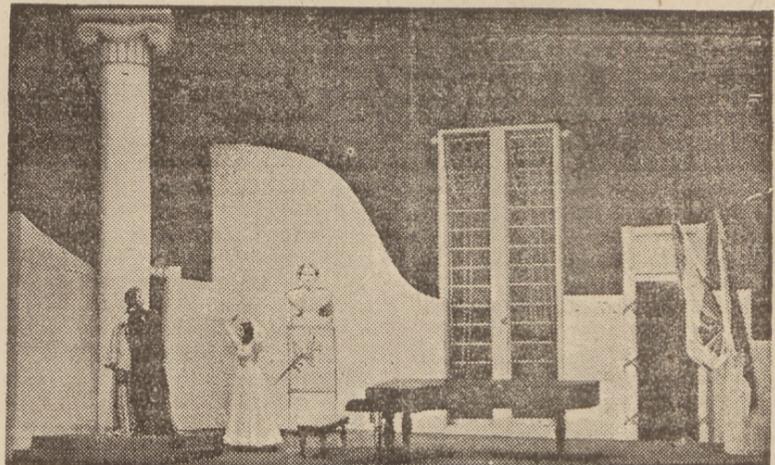
Fredro, dwudziestoletni autor, zuchwale zerwał z szablonem salonowych komedii, wprowadził zmysłowy czworobok; żartując z erosa, zrzęcznie, często nadzwyczaj finezyj-

nie kreśli „igraszki traju i miłości“, śmiało, celnie demaskuje równocześnie obyczajowe konwenanse, obłudę i cynizm. Doczekał się więc, że nie tylko w r. 1822 „stare kwoki gorzły się“, że groził zakaz grania sztuki, ale i tego, że w piątym wydaniu jego dzieł, pośmiertnym, zmieniono mu zakończenie utworu, by w ten sposób uczynić zeń, jak powiada obecny inscenizator Władysław Krzemiński „jakis moralitet o winie i karze zatwardziałych grzeszników“. Co więcej — „Mąż i żona“ znaleźli, że powtórzą dowcipne określenie Boya, „przyjaciela domu“ właśnie we wspomnianym profesorze, który aprobując pośmiertne, sztuczne zakończenie komedii, wysnuł z niego wiele umoralniających i rzekomo poetę rehabilitujących kazań. Wtedy Boy huknął: „Nie fałszujcie nam Fredry!“

Ten okrzyk pod adresem polonistów, komentatorów i wydawców może śmiało padać i pod adresem inscenizatorów oraz aktorów. Katowice natomiast dały jeden z najświetniejszych fredrowskich wieczorów teatralnych! Inszenizator i reżyser już w r. 1938, w krakowskim kawiarnianym teatryku „Cricot“, pokazał skróty tej komedii i — jako komentarz do niej — inscenizację fredromachii, ujętą przez Adama Polewkę, w dowcipny i wyborowy wiersz. Obecnie oczyścił swe opracowanie z niedociągnięć i błędów amator-szczynny, oparł je na dobrze dobranym zespole i pokazał doskonałą, czystą robotę reżyserską.

Spór komentatorów, Boya i Kucharskiego, prowadzony na marginesie akcji na proscenium (gdzie i aktorzy będą wygłaszać monologi, nadając im również charakter komentarza, ale do akcji wewnętrznej), toczy się przy silnej przewadze autora „Obrachunków fredrowskich“. Nie tylko dlatego, że swywalne zakończenie aktu drugiego upoważnia go do podpatrywania przez szparkę w kurtynie dalszego ciągu pocałunków, ale głównie dzięki pomocy reżysera, który tak szczęśliwie prowadzi akcję, że ani nam przez myśl nie przejdzie, iż Fredro gromi, chłoszcze i świszcze biczem satyry. Pełen smaku i reżyserskiego taktu jest kulminacyjny punkt tej niemal dell'arte zabawy: przerwanie komedii na kilkadziesiąt wierszy przed zakończeniem, wkroczenie w akcję komentatorów i przymierzenie do całości obu spornych zakończeń. Zwycięża Boy, ale wtedy znowu wkracza jako jeszcze jeden komentator — reżyser sztuki i wierszem Polewki obwieszcza, że tertium datur: bawmy się figlami amora, rozkosznym widowiskiem, a nie wyolbrzymiajmy każdego szczegółu wesolej igraszki do rozmiarów ciężarnych problemów, o których, a cóż dopiero ich owocach, poecie ani się śniło.

Makojnik pomysłowo rozwiązał szupło scenki, stwarzając wcale przyjemną i stylową dekorację, Krzemiński, Winczewski i Lewicki przekonywająco i lekko dyskutowali, a Niwińska (Elwira), Jacewicz (Alfred), zwłaszcza zaś O. Bielska (Justysia) i nade wszystkich T. Surowa (Wacław) dali tej komedii — mówiąc stylem Boya — rozmach, jurność, wdzięk, tak że zachowała w tej postaci swoją bardzo soczystą ironię i „na pewno nie miała nic z gestu księdza Skargi. Raczej wszystkie inne gesty...“ Stanisław Witold Balicki



Scena z „Warszawianki“

Szkoła krytyków

SYTUACJA POEZJI

Sytuacja poezji przedstawia się dzisiaj dosyć odmiennie aniżeli w pierwszych miesiącach niepodległości. Przedstawia się bardziej niepokojąco. Pamiętamy dobrze Jawiszkę, jakie towarzyszyły wyjściu poezji z okupacyjnego podziemia. O ich powstaniu trudno dzisiaj marzyć. Wypełnione sale na porankach, wypełnione, choć nieopalone. Cztery pierwsze tomiki lubelskie chłonięte przez czytelników z niewidzianą dotąd nigdy gotowością pójsia za słowem poety. Pierwsze wydawnictwa poetyckie po tej stronie Wisły, które rozeszły się równie szybko.

Później sytuacja zaczęła się psuć w sposób wprawdzie mało widoczny, niemniej jednak konsekwentny. Stoimy dzisiaj w obliczu wielu objawów zupełnie przypominających najgorszą dla poezji koniunkturę ostatnich lat przedwojennych. Trzeba o nich pisać już teraz, by nie doszło do zupełnej powtórki sytuacji z tamtych lat.

W dużym mieście na poranek poetycki w dobrze opalonej sali przyjdzie tylko kilkudziesięć osób. Wydawcy coraz niechętniej patrzą na przedkładane im zbiory poezji. Tomy najlepszych poetów zaczynają już zalegiwać na półkach. Miał rację Przybóś, że ze swym powojennym startem pospieszył się już w roku ubiegłym. Młody poeta, który chce wydać swoje utwory, znajduje się teraz w położeniu zupełnie podobnym jak jego starszy kolega przed wojną. Z tą zmianą na gorsze, że nie ma Sztajnsberga, do którego można było pójść, zapłacić za firmę Hoesick i wydać tomik własnym nakładem. Jeżeli Gomulicki w Ministerstwie Kultury i Sztuki nie da przydziału papieru, a prezes Oddziału Związku subwencji na druk, może się młody przeczekać, a druku nie doczeka. Ponieważ zaś subwencja pochodzi również z kasy ministra Kowalskiego, młoda poezja gotowa wnet przejść w całości na etat państwowy. Nie tematycznie, ale w istotnej organizacji rynku kulturalnego.

Przyjmijmy jednak, że naszymu debiutantowi udało się jakoś ten arkusz poetycki ułożyć, wydać, redakcją i znajomym panią rozelać. Długo znów będzie czekał, aż mu ktoś poda chętną rękę, poradzi, wejdzie w jego intencje, naproście błędy. Nie ma nikogo, kto by w polskiej prasie literackiej omawiał nową poezję. Wypowiedzi nielicznych oceniających krytyków przedwojennych wykazują przeważnie zdumiewającą dezorientację w tym, co zdawałoby się, powinni śledzić z trochę mniejszą nonszalancją. Z dwóch panów B., Maksymiliana Borwiczka i Zbigniewa Bienkowskiego, prawdziwym poetą dla K. W. Zawodzińskiego jest Borwicz. Czegóż dopiero wymagać od znajomych panienek?

Młodzi dzieci w atmosferze krytyki przyjacielskiej, tyle samo umiejącej lub jeszcze mniej niż oni sami. Można by po nazwiskach wymienić kilku młodych poetów, których pierwsze jaskółki budziły zainteresowanie, a już drugie i trzecie systematycznie tracą pióra.

Tymczasem ktokolwiek się znalazł na prowincji, tej nieepsutej nadmiarem kulturalnych i niekulturalnych wrażeń, zgodzi się z mną, że atmosfera chętna dla poezji bynajmniej nie wygasła. Na odczyt lub wieczór poetycki we Włocławku czy w Szczawnicy zjawia się na pewno więcej osób aniżeli w Krakowie. Przebiegamy nocą miasta i miasteczka, by przez chwilę, kiedy pociąg obudzi zanadto szarpaną przy ruszaniu, zapytać siebie — mój Boże, jak tutaj się żyje właściwie w tym... „Osiadłbym jesienią, osiadłbym od razu, w Rawie lub Łęczycy w Kutnie lub Sieradzu” — pisał tak kiedyś Tuwim.

Z Kutna i Sieradza, Rawy i Łęczycy, Bielska, Szczepieszyna, przynosi nieraz poczta tomiki poezji wydane na dobrym papierze. Umie to na prowincji ukryć, jak dobrą wódkę chowaną na wielką okazję. Papier dobry, wiersze, ach te wiersze, przedmioty zachwyty pani doktorowej czy pani rejentowej. Nie ironizuję, powiadam tylko z uśmiechem, że źródła poezji bynajmniej nie wyschły. Skąd więc te objawy, również niewątpliwie jak te, od których rozpoczynaliśmy?

Radźcie. Pomyślcie. Porozmawiamy za życia.

kpw

Wyborcy drobnomieszczańscy

1
W głosowaniu dnia 13 października 1946 za nową konstytucją francuską padło 9 226 000 głosów. Przed pół rokiem, w dniu 5 maja, mniejszość, która głosowała za odrzuceniem pierwszym projektem konstytucji, wynosiła 9 327 000 głosów, więcej, niż dziś za projektem przyjętym. Przed 5 miesiącami, 5 czerwca 1946, komuniści i socjaliści w wyborach do Zgromadzenia Narodowego uzyskali łącznie 9 332 000 głosów, a przed rokiem w październiku 1945, przy wyborach do pierwszego Zgromadzenia Narodowego, 9 213 000 głosów.

2
Konkluzja: siła polityczna obu stronnictw robotniczych we Francji jest względnie ustabilizowana. Wahania w liczbie głosów, które padają na te stronnictwa, lub które padają w referendum zgodnie z ich stanowiskiem, są drobne. Socjalizm i komunizm we Francji nie rośnie, ale przypuszczenia, że fala jego wpływów była wywołana tylko bezpośrednio powojennym zradikalizowaniem i że zacznie opadać, nie sprawdzają się.

3
Stronnictwa prawego centrum (radykałi socjalni) i prawicy (Republikańska Partia Wolności i drobne grupy) zyskały w wyborach z października 1945 łącznie 3 980 000 głosów, w wyborach z czerwca 1946 łącznie 4 521 000 głosów, obecnie zaś padło przeciw nowej konstytucji (tylko te partie wzywały do głosowania przeciw niej) 8 043 000 głosów. Prawica francuska w czasie od października 1945 do czerwca 1946 wzrosła tylko nieznacznie, dziś za jej hasłami głosowało blisko dwa razy tyle wyborców, co na jej liście przed pięciu miesiącami. Co to znaczy?

4
Odpowiedź na to pytanie tkwi w zagadnieniu, które się nazywa M. R. P. To stronnictwo postępowych katolików miało w październiku 1945 roku — 4 446 000 głosów, w czerwcu 1946 zyskało 5 589 000 głosów, dziś poleciło swoim wyborcom głosować za projektem konstytucji. Jednak liczba głosów za konstytucją nie wynosi tyle, ile głosów padło w czerwcu 1946 na komunistów, socjalistów i M. R. P. — około 14 800 000, lecz tylko 9 226 000 głosów, tj. mniej więcej tyle, ile zyskali sami komuniści i socjaliści.

5
Przypuszczenie, że wpływy socjalistyczne i komunistyczne we Francji gwałtownie spadły, byłoby niestwierdzone — byłoby sprzeczne z dotychczasową ewolucją, która wykazuje wzrost tych wpływów. Przypuszczenie, że wyborcy socjalistyczni i ko-

munistyczni nie zaaprobowali kompromisu swych przywódców z M. R. P., którego wynikiem była obecna konstytucja, byłoby także niestwierdzone — nie ulega wątpliwości, że te dwa stronnictwa francuskie mają wyborców zdyscyplinowanych.

6
Pozostaje tylko jedno przypuszczenie: dotychczasowi wyborcy M. R. P. nie poszli za swym stronnictwem, głosowali bądź przeciwko nowej konstytucji, bądź znaleźli się w liczbie 7 776 000 tych, którzy wstrzymali się od głosowania.

7
Jeśli tak jest — a wszystko każe przypuszczać, że tak jest — to okazuje się, że wyborcy drobnomieszczańscy, nawet w najbardziej postępowym stronnictwie drobnomieszczańskim, nie przeszli tej koniecznej ewolucji, jaką już przeszli ich przywódcy. Przywódcy M. R. P. zrozumieli, że w tej chwili przed społeczeństwami Europy stoją tylko dwie drogi ustrojowe: albo ewolucja ku socjalizmowi, albo reakcja wielkokapitalistyczna.

8
Ewolucja lat międzywojennych dowiodła, że myśl o powrocie do dawnej, liberalnej postaci kapitalizmu, do kapitalizmu liczących i niezależnych warsztatów produkcji, gospodarujących w warunkach względnie wolnej konkurencji, ustrojowo stojących na stanowisku demokracji formalnej — jest utopią. Ta forma ustroju gospodarczego i jej nadbudowa ideologiczno-polityczna należy do przeszłości. W tej fazie koncentracji produkcji, w jakiej obecnie żyjemy — musi dyktaturze gospodarczej nielicznych posiadaczy wielkich przedsiębiorstw (ściślej: wielkich, rządzących przedsiębiorstwami banków) odpowiadać dyktatura polityczna, kierowana faktycznie przez feudałów gospodarczych, a której najwymowniejszym wyrazem politycznym jest sprawnie działająca dyktatura jednej partii.

9
Przejdźmy więc jeszcze, nawet przy tej formie ustroju gospodarczego, istnieć w krajach starej demokracji, jak kraje anglosaskie, demokracja formalna. Ale nawet nie dzięki temu, że są to stare demokracje, lecz raczej dzięki temu, że mogą korzystać z „renty kolonialnej” i dzięki tej rentie utrzymać pewną stopę życiową mas metropolii — albo dzięki temu, że istnieją w krajach o niewyżytych jeszcze w pełni możliwościach gospodarczych, gdzie masy żyją nadal mitem o nieograniczonych możliwościach awansu społecznego i gospodarczego dla każdego (jak w Stanach Zjednoczonych). Ale i w tych krajach konflikt między wielkimi posiadaczami a masami tak się zaostrza (przykładem sta-

nowisko konserwatystów wobec rzędu Partii Pracy lub stanowisko wielkiego kapitału amerykańskiego wobec organizacji robotniczych czy wobec Wallace'a), że dalsze normalne funkcjonowanie demokracji czysto formalnej jest coraz trudniejsze — Anglicy to już zrozumieli.

10
Tymczasem wybory francuskie — i nie tylko wybory francuskie, lecz także wiele faktów z życia stronnictw drobnomieszczańskich kontynentu — wskazują, że masy drobnomieszczańskie tego nie rozumieją. Zachowują tę samą mentalność, która charakteryzowała chłopstwo-drobnomieszczańskie socjalizm utopijny z połowy XIX wieku. Widzą wyidealizowany obraz przeszłości, obraz kapitalizmu drobnomieszczańskie i jego odpowiednika politycznego, demokracji, która nie wtrąca się do stosunków gospodarczych. Żyją w złudzeniu, że to tylko socjalizm jest winien, iż epoka ta należy do przeszłości i głosują przeciw socjalizmowi, nawet przeciw własnym przywódcom, jeśli ci idą na kompromis z socjalizmem.

11
I to wydaje się dziś największym niebezpieczeństwem dla spokojnej ewolucji Europy ku nowym formom ustrojowym, dla ewolucyjnego a nie rewolucyjnego, dla demokratycznego budowania socjalizmu. Masy drobnomieszczańskie nie są taką siłą społeczno-polityczną, by potrafiły narzucić swój ideał ustrojowy, ale przykład austriacki, włoski czy niemiecki pokazał, że są dostateczną siłą, by umożliwić zwycięstwo wielkokapitalistycznym dyktatorom. A dziś przykład francuski pokazuje, że się niczego nie nauczyły. Nie dlatego, że głosowały przeciw konstytucji, ale dlatego, że głosują nadal przeciw swym przywódcom, jeśli ci doradzają kompromis z socjalizmem. To zaś musi mieć dalsze konsekwencje.

12
Wewnętrzna konsekwencją francuską będzie zapewne osłabienie tych przywódców i tych grup drobnomieszczańskich, które są gotowe do współpracy ze stronnictwami robotniczymi. Konsekwencją i wewnętrzno-francuską i ogólnoeuropejską będzie zwiększenie wśród stronnictw robotniczych nieufności do szczerości i istotnej wartości przemian, jakim — zdawało się przez czas jakiś — uległa wielka część drobnomieszczaństwa, będzie zwiększenie obawy, by nie powtórzyła się sytuacja, którą określili kiedyś trafnie Otto Bauer mówiąc, że 53 procent społeczeństwa wyruszyło na podbicie 47 (robotniczych) procent społeczeństwa. A obawa — rodzi chęć obrony przed niebezpieczeństwem.

Konstanty Grzybowski

ŻYCIE MUZYCZNE W KRAKOWIE

Koncert Filharmoniczny w dniu 12 października stał się ważną datą w historii naszego odradzającego się po wojnie życia muzycznego. W dniu tym Grzegorz Fiteberg, który po sześćdziesięciu latach powrotu do Polski, bycie na granicy powrócił do Polski, by odtąd stać już z nami współpracować, dyrygował pierwszym swoim koncertem w Krakowie. Historycznym można też nazwać program tego koncertu: mieścił w sobie trzy utwory kamienne węgle w całości współczesnej muzyki polskiej, „Młodej Polskiej”, której Fiteberg, wraz z Karłowiczem, Różyckim i Szymanowskim, był przedstawicielem, poprzez Karola Szymanowskiego aż do Romana Palestrę, reprezentanta młodszej generacji kompozytorów współczesnych. Niezwykle wzruszenie ogarnęło każdego z nas przy tym pierwszym po latach spotkaniu z Grzegorzem Fitebergiem. Przytomiały się prawykonywania niektórych utworów Karola Szymanowskiego, które Fiteberg, od pierwszych do ostatnich opusów, prowadził do zwycięstwa najpierw w kraju, a potem poza Polską, w Europie i w Ameryce. Przypomniały się pierwsze wykonania naszych młodszych i najmłodszych twórców, na koncertach w Filharmonii Warszawskiej, we Lwowie, w Krakowie, w Polskim Radiu. Powrócił zawsze ten sam, młody, pełen entuzjazmu i tego wewnętrznego ognia, który jest sprawdzianem każdego prawdziwego artysty.

Fiteberg dyrygował trzema utworami o zupełnie odmiennym stylu i kierunku twórczym. W „Epizodzie na maskaradzie” Karłowicza każda fraza była pięknie wyśpiewana, koncepcja całości przemysłana, wszystkie szczegóły instrumentacji (utwór ten, nie dokończony przez Karłowicza, został wykonany z instrumentowania — jak wiadomo — przez Fitebergę) wydobyte z precyzją. Koncert Palestrę miał lekkość i wdzięk, akompaniament, który zresztą ściśle biorąc — nie jest tam tylko akompaniamentem — pracujący finezyjnie. Ale przede wszystkim porwała wspaniała, niezapomniana koncepcja „Harnasi”, jej ścisłość, bezpośredniość, żywiołowy rozpęd, którego poza Fitebergiem nie odczuje chyba żaden inny kapelmistrz, bo tylko on jest tym jednym, jedynym już dziś, na którego oczach dokonywała się kompozycja „Harnasi”, jemu bezpośrednio przekazał Szymanowski tradycję odczucia i zrealizowania swej wizji. Nie tylko publicz-

ność, która urządziła Fitebergowi gorącą owację, ale i orkiestra była pod nieodpartym urokiem dyrygenta. Grała pięknie, ze skupieniem i entuzjazmem, dając ze siebie wszystko, co najlepsze.

Zrozumiałe zainteresowanie wzbudził koncert skrzypcowy Romana Palestrę, wykonany pierwszy raz w Polsce po premierze londyńskiej na festiwalu M. T. M. W. Utwór ten wnosł do twórczości Palestrę nowy typ inwencji, który można by określić jako kameralny (zwłaszcza w części pierwszej), lekki, misterny w opracowaniu, coś, co dałoby się porównać z inwencją koncertów i suit bachowskich przeniesionych na fakturę XX wieku. Element solistyczny traktowany jest ściśle nowoczesnie, tj. nie w sensie wirtuozowskim, ale jako część całości dźwiękowej w utworze. Traktowanie formy jest — jak zawsze u Palestrę — mistrzowskie. Zwłaszcza pierwszą część można określić ze względu na jej umiar i misterną, konrokową robotę, jako niemal klasyczną. Tej części pierwszej i pełnej temperamentu i ruchu części ostatniej przeciwstawiła się część druga charakteryzująca się dawniej tak rzadką, a obecnie coraz częściej pojawiającą się u Palestrę, nutą liryczną, pełną słupienia, o wybitnej piękności brzmienia.

Eugenia Umińska wykonaniem partii solowej dowiodła raz jeszcze, że jest znakomitą muzykiem, który potrafi nie tylko opanować bez reszty olbrzymie trudności techniczne, ale wyciąć się w styl każdego wykonywanego przez siebie utworu. Był to wyczyn artystyczny na wielką skalę.

Edward Wojski ładnie wykonał solo tenorowe w ostatniej scenie „Harnasiów”. Poza tym należało by tym razem wymienić wielu instrumentalistów, którzy w trudnych partiach dzieł nowoczesnych spełniają funkcje często wysoce odpowiedzialne, stając zawsze na poziomie wymaganym przez dyrygenta. Na zakończenie jedno życzenie: żeby wraz z projektowanym przyjazdem Fitebergę w marcu i wykonaniem wszystkich dzieł symfonicznych Szymanowskiego w roku 1947 zdobyć się na nagranie tych wykonań na płytach. Byłoby to jedyna możliwość utrzymania tych bezpośrednich tradycji Szymanowskiego, których poza Fitebergiem nikt już dziś w Polsce nie zna.

Stefania Łobaczewska

ERNST WIECHERT
I „KRAKUER ZEITUNG”

Ernst Wiechert jest dziś czołowym myślicielem i nauczycielem demokratycznych Niemiec. Jego „Rede an die deutsche Jugend” rozchodzi się pod protektorem amerykańskim w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Wydrukował ją z pochlebnym komentarzem jeden z czołowych miesięczników francuskich. Oto w końcu jeden sprawiedliwy w hitlerowskiej Sodomie. Zawsze w niemieckich „latach pogardy” stał na uboczu. Zawsze zachowywał niezależność myśli i wolność sumienia.

Tymczasem — Ernst Wiechert to nasz stary znajomy. Swego czasu urzędowy organ „generalnego gubernatora”, „Kraukauer Zeitung” uraczył swych czytelników dodatkiem ilustrowanym „Deutsche Ströme”. Najważniejszą i najbardziej niemiecką rzeką była oczywiście Wisła. Ale poświęcono tam osobny artykuł i niemieckiej rzecze Niemen. Autorem artykułu był Ernst Wiechert. Wierze demokracji niemieckiej pochodzi z naszych Mazurów, był w czasie wojny współpracownikiem prasy Hansa Franka. Dziś chlebodawca doczekał się wyroku śmierci, a jego sługa buduje nowe Niemcy.

FAKIR LITERACKI

„Poezja Kasprowicza to nie jest portret pięknej damy, który zawsze jest jednakowy, bez względu na to, na jakim gwoździu go się powiesi; jest ona elementem procesów, pulsujących w społeczeństwie polskim, które w czasach dla siebie ciężkich nie straciło ducha, nie dało się złamać przejściowym koniunkturom i nie dało oszukać się ortom żyjącym z grabieży”.

„Spróbujmy zrezygnować z usługi literackich fakirów, którzy z poezji Kasprowicza chcieli zbudować tylko prometejską drabinę do nieba, a nie widzieli w niej nic więcej. Wtedy twórczość Kasprowicza położy się przed naszymi oczami szerokim polem, gdzie można zobaczyć wszystko, co jest ludzkie. Znajdzie się tam i świątynia, w której ludzka dusza płacząca modli się, sponowiada, a nawet bluźni”.

Tak pisze Wiktor Bazylewski o „Kasprowiczu nieznanym” w dodatku literacko-artystycznym „Gazety Ludowej”. Gromi „literackich fakirów”, czyni rewelacyjne odkrycie, że „poezja Kasprowicza to nie jest portret pięknej damy”, zamienia „prometejską drabinę” na „świątynię, w której itp.” i myśli, że nie jest fakirem.

Właśnie jest i to w złym gatunku.

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

PROZA LITERACKA

Sewer. (Ignacy Maciejowski). Dzieła. Wydanie zbiorowe. Matka. Powieść z życia ludu. Warszawa, Wł. Bąk, 1946; str. 175 i 3 nl. — 140 zł.

Adam Grzymała Siedlecki. Juliusz Szyllong czyli ludzie są ludźmi. Komedja w 3 aktach. Bydgoszcz, „Nauka”, 1946; str. 128. — 170 zł.

Wacław Siedziński. Governor Frank's Dark Harvest. London. Montgomerys, 1946; str. VIII i 250 i 4 nl.

Krzysztof T. Wand. Wilk. Powieść z życia współczesnej Alaski. Katowice, „Awir”, 1946; str. 200 i 2 nl. — 200 zł.

Krzysztof T. Wand. Białe piekło. Powieść z życia współczesnej Alaski. Druga część powieści „Wilk”. Katowice, „Awir”, 1946; str. 195 i 3 nl. — 200 zł.

Stefan Zeromski. Popioły. Powieść historyczna. Kraków, „Czytelnik”, 1946; t. I, str. 268 i 4 nl, t. II, str. 281 i 3 nl, t. III, str. 277 i 3 nl. Wznowienie. — 400 zł.

PROZA DOKUMENTARNA

Henryk Baczkó, mjr. Osiem dni na lewym brzegu. (Warszawa 15—22 września 1944). Warszawa, Główny Zarząd Wychowania Politycznego. W. P., 1946; str. 60. — 30 zł.

Główna Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce. Władysław Bednorz. Obóz straceń w Chełmie nad Nerem. Z przedmową Wacława Barcikowskiego. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1946; str. 74 i 2 nl, i 1 mapa i 10 fot. — 40 zł.

Helena Boguszevska. Wspomnienie o Halinie Górskiej. Łódź, „Książka”, 1946; str. 18. — 42 zł.

Wydawnictwa Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej: Nr. 8. Róża Bauminger. Przejście i trytylu. (Obóz pracy przymusowej w Skarżysku-Kamiennym). Kraków, 1946; str. 62 i 6 nl. — Nr. 22. Noe Gruss. Rok pracy Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej. Łódź, Centralna Żydowska Komisja Historyczna, 1946; str. 61 i 1 nl, i 4 tablice. — Nr. 25. Natán Elias. Sztternfinkiel. Zagłada Żydów Sosnowca. Tamże; str. 80 i 6 nl, i 1 plan. — Nr. 26. Józef Kiermasz. Powstanie w ghetcie warszawskim (19. IV. — 16. V. 1943). Tamże; str. 112 i 4 nl, i 6 fot. i 1 plan. — Nr. 27. Gerszon Taffel. Zagłada Żydów Żółkiewskich. Tamże; str. 71 i 1 nl.

Antoni Gładysz. Powrót z plekta hitlerowskiego. Wspomnienia z obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen i Litomierzycach. Wydanie III. Kraków, 1946; str. 175 i 1 nl. — 130 zł.

Zofia Kossak. Z odciami. Wspomnienia z lagru. Częstochowa—Poznań, Władysław Nagowski, 1946; str. 258 i 4 nl. — 240 zł.

Tadeusz Kudliński. Mantelupa. Wspomnienie. Kraków, 1946; str. 246 i 2 nl. — 240 zł.

Adam Paszkowicz. („Kapitan” 11146). Wrócić do Mauthausen. Łódź, „Poligrafika”, 1946; str. 38. — 40 zł.

Tadeusz Polak. 63 dni Powstania Warszawskiego. Dziennik przeżyty cywila. Kraków, Instytut Wydawniczy „I. W.”, 1946; — 180 zł.

Jan Ross. Dr. Von Blaskowitz wkrocza do Kępna. Uwagi o Niemcach na tle wspomnień z r. 1939. Kraków, Krakowskie Towarzystwo Wydawnicze, 1946; str. 78 i 2 nl. — 80 zł.

BIBLIOGRAFIA I KRYTYKA

Stanisław Arct. Odbudowa ksiądzki w Polsce. Podstawy faktyczne i liczbowe. Warszawa, Arct, 1946; str. 74. — 100 zł.

Kazimierz Budzyk. Utwór literacki oraz książka, gazeta i czasopismo na poziomie ośmiolatek szkoły podstawowej. Wskazówki do nowego programu. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 120. — 40 zł.

W. Dąbrowska, J. Czarnańska, J. Słomczewska. 555 ksiązek wydanych w okresie powojennym. Warszawa, Ludowy Instytut Oświaty i Kultury, 1946; str. 86. — 85 zł.

Stanisław Jerschina. Teorie literatury i fonobior literacki w nowej szkole. Podręcznik dla nauczycieli i samouków. Przemysł, „Nowe Horyzonty”, 1946; str. 130 i 2 nl. — 120 zł.

Mieczysław Kafel i Antoni Olcha. Wiedza piśmienna. (Warszawa). „Czytelnik”, 1946; str. 141 i 3 nl. — 140 zł.

John Masfield. Thanks before Going. Notes on some of the Original Poems of Dante Gabriel Rossetti. London—Toronto, William H. Nemann LTD, 1946; str. VI i 68 i 4 nl.

Helena Radlińska. Książka wśród ludzi. Warszawa, „Światłód”, 1946; str. 80 i 1 nl. — 280 zł.

Z TEKI DRA PROTA SOWIZDRZAŁA

FRAGMENT DZIENNIKA

6 luty 1945. — Czytam sobie Mickiewicza. Zapominam w ten sposób na jakiś czas o zimnie, panującym miłościwie i z Bożej łaski w moim pokoju. Cóż, kiedy mróz dobrze o mnie pamięta, zwłaszcza o moich biednych nogach! Na świecie krzątania. Jedni są jeszcze pijani wolnością, a druzi, po dłuższym stanie oszołomienia, szeroki powiew swobody wytrącił z równowagi przez nagłe otrzeźwienie. Szok trzeźwości bywa nie mniej groźny niż obuch zamroczenia. Wszystko raptem się poplątało i powywracało na nice. Stąd zabawne nieporozumienia prywatne, a także poważne nieporozumienia ogólniejszej natury.

Czytałem właśnie:

Ludzie na czystym polu stawili dom nowy,
Opodal z ropuchami kłóciły się sowy.
Rzekła sowa: to dla mnie budują pokój;
A ropucha ziewnęła: moje to są, moje!
Rzekł człowiek: sowy dotąd żyły
w rozwalinach,
A ropuchy w pognitych ścianach
i szczelnych,
My budujem podłogę czystą i dach nowy,
A gdzie tam będzie miejsce dla żab i dla sowy.

— kiedy zapukał mój gospodarz. Oznajmił mi, że względy natury wyższej wymagają, żeby oszczędzać światło. Nie po to górniczy, robotniczy, transportowi i pracownicy elektrowni urabiają sobie ręce po łokcie, żeby światło wypalać bez wyraźnej publicznej potrzeby. Wyszło na to, że postępuję nieobywatelsko, czytając dwie godziny na dobę.

— Oświadczam panu — rzekł uroczystym głosem — że skończyły się czasy, kiedy jedni obywatele zaharowywali się na śmierć, a druzi leżeli do góry brzuchami i książki czytali. Pan musi zrozumieć, że robotnik to także człowiek, który musi mieć trochę wolnego czasu na wiec albo rezolucję. Mówię to panu nie jako gospodarz, broń Boże, tylko jako przedstawiciel świata pracy, jako pomocnik monterski elektrowni, który...

W tym momencie niedyplomatyczna interwencja żony pomocnika monterskiego elektrowni przerwała oświadczenie. Są to najpocześniejsi lu-

dzie w Krakowie. Ona utrzymuje dom kobiecą zapobiegliwością. Jego trochę porwał ogólny zapał. Ponieważ zaś wszyscy naokoło mówią o potrzebie uspołecznienia, więc, jak sobie na intencję wolności i równości podchmiele, zaczyna „uspołeczniać“ swą niechęć do niepożądanego rozbitka z Warszawy. Potem wstydy się i żaluje.

20 marzec 1945. Dzień już dłuższy, ale czytam niewiele. W epoce — „ciemno i komarowo“, jakby dzisiaj niechybnie powiedział Norwid:

Komar niewielkie licho, lecz bardzo czupurne,
Wyciągnawszy pyszczyk i skrzydła poczwórne
I żądleko krwi chciwe, latał ponad śpiącym.
I krwi, krwi, krwi, wołał głosem bzykającym.
Drżyl człowieku! wybiła ostatnia godzina,
Jestem Marat owadów, lotna gilotyna.
Aż przebudził się człowiek, czatował po głosie
I za pierwszym ukięciem paf, zabił na nosie.
Szedł z nieboszczykiem w okno, nie mógł znaleźć śladów
Tej lotnej gilotyny, Marata owadów.
Człowiek, gniotąc go w palcach: Nie budź śpiących bracie,
Atomie terroryzmu, owadów Maracie.
Kiedys tak małe licho, nie rób tyle krzyku,
A kiedy chcesz ukąsić, kąsaj bez bzyku.
Jeśli ci tak krwi potrzeba, gdzie chcesz nos nie wtykać,
Tylko, kiedys tak mały, kąsaj a nie bzykaj.

18 maj 1945. Odwiedził mnie pewien znajomy, który zaczął pięknie od entuzjazmu, tak iż można mu było zazdrościć, a dzisiaj twierdzi, że nigdy nigdzie nikomu talent nie otworzył drogi w życiu i że na świecie nie zmienia się wyjątkiem przesądów i uprzedzeń. Raz będzie dobrze urodzić się na parterze, a kiedy indziej znowu lepiej ujrzyć światło dzienne w suterynie — utrzymuje mój zawiedziony znajomek.

Są ludzie, którym do twarzy z zadowoleniem, a innym znowu do składu fizjonomii lepiej pasuje nos na kwintę. Mój znajomy był stanowczo oświecony, kiedy się entuzjazmował. Na ziemi więcej mamy powodów do żalów aniżeli do wesela. Zapewne dlatego człowiek, który się cieszy, staje się oryginalny i interesujący,

albowiem stan jego ducha jest rzadki i niezwykły. Gdy się zaś zżyma na coś, lub kwasi przeciw komuś, wówczas łatwo wpada w pierwszą lepszą koleinę, utartą wiekami małych ludzkich utyskiwań. Przycmione wzruszeniem władze umysłowe nie strzegą nas wówczas przed popoliłością. Radość jest również oszołomieniem, ale jest to jakby najbardziej przejrzysty stan oszołomienia.

Gość mój zauważył, że słucham dość obojętnie. Kiedy spostrzegł, że ukradkiem rzuciłem okiem na otwartą tomik, pożegnał się. Wróciłem do przerwanej lektury:

Gdy tchórz tak gadał, Rada, wrac entuzjazmem,
Gotowa za krasomówstwo
Dać mu naczelne wodzostwo,
Odezwała się nagle w jeden głos: „Zyj tchórz!“
On, stropion krzykiem tym wśród perory,
Zmieształ się, owszem dał czuć najwyraźniej,
Ze był w gwałtownej bojaźni.
Dopiero rozruch: „Precz z nim! pfe, tchórz, a do nory!“
Szczęściem, tuż była. Wśród sarkau i śmiechu
Wpadł w nią i rył bez oddechu.
Aż gdy na sążeń czuł się pod podwórzem,

NOMINACJA



STANISŁAW FURMANIK
został mianowany dyrektorem Departamentu Literatury Ministerstwa Kultury i Sztuki

SZTUKA NIE JEST TOWAREM

„Tygodnik Warszawski“ zangażował widocznie na sprawozdawcę teatralnego kupczyka z małego miasteczka. Bo oto w sprawozdaniu z zamierzeń repertuarowych Teatru Polskiego w Warszawie tak się pisze o jednym z polskich autorów dramatycznych: „8. 6. Dwa Teatry Szaniawskiego. Pozycja 6. może ulec zmianie w wypadku, gdyby w czasie najbliższym wpłynęła do Komisji Repertuarowej jakaś nowa wartościowa sztuka współczesna“.

Sprawozdawcy widocznie się zdawało że autor dramatyczny to jakby hurtowny dostawca np. koszul męskich, a teatr — to mały handelek: wezmę od tego dostawcy, o ile tymczasem nie wpłynie lepsza oferta. Ten geszefciarski i koltuński ton wobec pisarza razi w błąd co bądź poważnym piśmie.

Rzekł do siebie z ironią czystego sumienia:
„Ot proszę, co też to jest przesąd urodzenia!
Obrano by mnie wodzem, żebym nie był tchórzem“.

24 sierpień 1945. Widziałem przyjaciela, którego porwała mi wojna. Rejestracja naszych strat wojennych nie wiedzieć, kiedy się skończy. Wrócił z daleka, lecz nie przybliżył się do mnie nawet na odległość oddechu, która nas przez półtorej godziny wczoraj dzieliła. Robiliśmy wrażenie ludzi, którzy bawili się w sklepanie jakiegoś cacka z porcelany. Mimo że dokładaliśmy pilnych starań i wzajemnie przeciągaliśmy się w zręczności, nic z tego nie wyszło. Wydawało mi się, iż on, podobnie jak ja, wini siebie samego za to, co się stało bez naszej winy. Mogliśmy tedy na ostateczne przyjazne rozstanie podać sobie ręce pewnym i mocnym gestem. Wieczorem dumalem nad czworowierszem „Do księcia Golicyna“:

Jeżeli wolność czuć i kochać umiesz,
W naszej rozmowie nie potrzeba słowa.
Ja twe westchnienia, ty me izy zrozumiesz,
I dłoń uściśniesz — oto polska mowa.

10 październik 1945. Nie wychodzę z domu, bo gorzej się czuję. Mój poczytywy gospodarz posłał na ulicę Loretańską po „balsam kapucyński“. Loretto i balsam cudowny — czy to nie za duży honor dla mego chucherstwa i mizeractwa. Ostatecznie, jeśli nie wadzi to memu gospodarzowi rewolucjonście, to i mnie to chyba zaszkodzić nie powinno.

Po południu wstąpił do mnie pewien poeta, który odgrywa obecnie wcale znaczną rolę społeczną. Był dzisiaj oswiały. Na pytanie: co słychać? — odpowiedział, iż wszystko idzie jak z kamienia i w ogóle po grudzie. Mówił dużo ciekawych rzeczy. Chwyciłem się tego wieczoru na niekonsekwencji. Nie lubię pesymistów z przyzwyczajenia. Diabli mnie jednak biorą na dobre dopiero wtenczas, gdy spotykam jakiegoś optymistę z konieczności. Mój poeta mocą swych dostojenstw został wy-

rażnie zdeterminowany na optymistę. Z tego powodu robi nieraz żalostliwe wrażenie. Dzisiaj niespodzianie okazał się prostym, czującym człowiekiem. Jego zatroskanie było naprawdę ludzkie, bo narzekał nie tyle na sprawę, co na ludzi, tych wiecznych popsujów królestwa bożego na ziemi.

Potem przeczytał mi parę wierszy. Dobrze czyta. To jest Mickiewicz, kiedy się go tak czyta!

Raz Grzymała na Taranie
Wniósł projekt pod kreskowanie
I rzekł wymownymi ustami:
Obywatele oszusty!
Obywatele lajdaki!
Chcę z was mieć pożytek jakiś.
Z hrabików, mędrków i popków
Chcę porobić polskich chłopków. —
Polska cała poklask dała,
Wziął się do pracy Grzymała.
Dotąd się mąż wielki trudzi
Z rak mozołem, w pocie czoła
I dotąd zrobić nie zdoła
Dobrych chłopów z kiepskich ludzi.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Gospodarz oznajmił, że zostawia mnie samego na mieszkanie, bo ma meeting.

— Panie, co oni mają tyle do mówienia? — pytam poety.

— A co to panu szkodzi? — odpowiada z uśmiechem.

— Niby nie, ale zawsze mi to przeszkadza w czytaniu Mickiewicza. A to widzi pan jedyna rozrywka, na jaką mogę sobie w obecnych czasach pozwolić.

Przyjrzał mi się uważnie i pożegnał. Gdy zabębniły jego kroki krótki werbel po schodach, zrozumiałem jego uważne spojrzenie... Skąd on ma wiedzieć, że światło zostaje w jakimś związku z uspołecznieniem i że rewolucja przepływa przez licznik domu, w którym znalazłem schronienie. To była elizja zbyt duża nawet jak na poe, który w dodatku z wielkiego admiratora awangardy przedzierzgnął się niedawno w jej zaciętego przyganiacza — z tych samych zresztą powodów, dla których został heroicznym optymistą.

poadał do druku

Wacław Kubacki

„MAŻ I ŻONA“ FREDRY W KATOWICACH



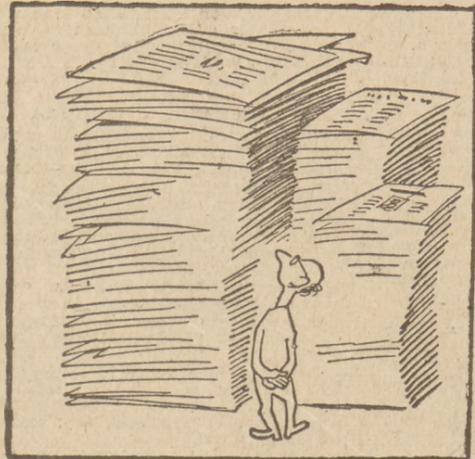
Akt II. Z. NIWIŃSKA (Elwira), T. SUROWA (Wacław), O. BIELSKA (Justysta) i O. JACEWICZ (Alfred)

„MAŻ I ŻONA“ FREDRY W KATOWICACH

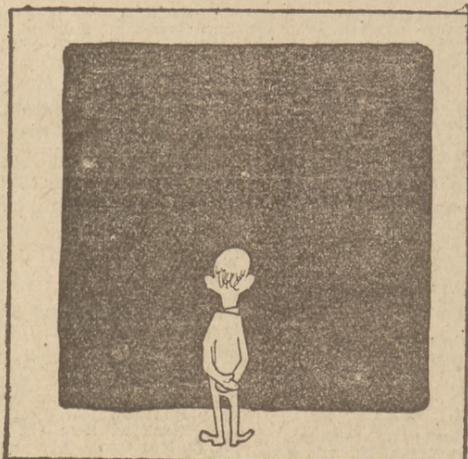


Z. NIWIŃSKA I T. SUROWA

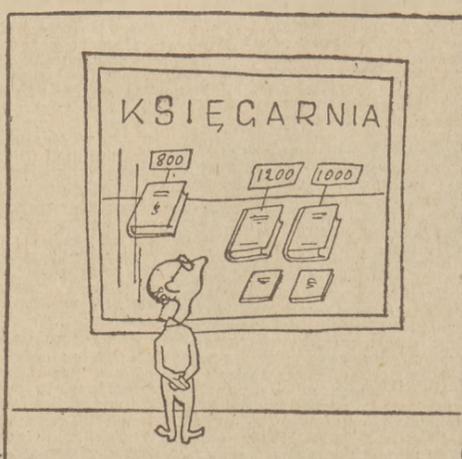
SZARY CZŁOWIEK I...



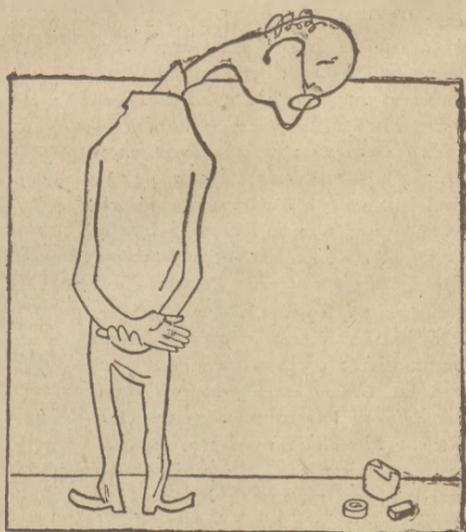
... prasa



... polityka światowa



... książka



... przydziały